



**ŻYCIE
GODZIENNE
NASZYCH
ANTENATÓW
1794 - 1945**

E-BOOK GENEALOGICZNY ZBIGNIEW PENKAŁSKI

ŻYCIE CODZIENNE NASZYCH ANTENATÓW 1794-1945

Wstęp

Książeczka ta ma za cel pokazanie korzeni naszej rodziny, której najdalsi znani antenaci to: Jan Pękalski (1820-1855), Szymon Eborowicz (1794- 1849) oraz Szymon Niewiarowicz (ok. 1780-ok. 1833). Rozpoczniemy ją od Szymona Eborowicza, gdyż na temat jego imiennika z rodu Niewiarowiczów wiemy bardzo mało. Archiwa z dawnej Litwy, albo zaginęły, albo są obecnie trudno dostępne, a gniazdo rodu leży obecnie na terenie Białorusi.

Samo imię Szymon jest pochodzenia hebrajskiego, gdzie **szim on**, co znaczy „Bóg wysłuchał”. Znany z Ewangelii św. Szymon głosił nauki w Persji, tam poniósł śmierć męczeńską. Natomiast św. Szymon Słupnik uparł się, aby przez 37 lat siedzieć na platformie umieszczonej wysoko nad ziemią. Nie oznacza to, że wszyscy nosiciele tego imienia są uparci, czy święci. Ale z reguły są to ludzie poważni do tego stopnia, iż uważa się ich za nudziarzy. Cechuje ich pewność siebie granicząca z fanatyzmem. Znajdują pełną samorealizację tylko w działaniu i to w działaniu za każdą cenę. Czy taki właśnie był bohater tej książeczki, nie wiemy. Na pewno jednak borykał się z trudnościami życia codziennego i walczył o dobrobyt dla siebie i swojej licznej rodziny. Trudy życia i niski poziom medycyny w XIX wieku spowodowały, że nasi antenaci nie żyli długo, Szymon nie dożył swoich 60. urodzin.

Nie zachował się żaden sygnowany portret Szymona Eborowicza, fotografia za jego życia dopiero raczkowała. Karol Beyer otworzył swoje studio fotograficzne w Warszawie w roku 1845, Szymon żył wtedy, ale pewnie nikt nie pomyślał, aby skorzystać z tej nowinki technicznej. Nie dowiemy się zatem czy był wysoki, czy niski, przystojny czy szpetny, ale na podstawie znanych postaci z okresu jego życia możemy w pewnym stopniu zgadywać, jak się nosił i jak wyglądał. Zachował się w rodzinie pewien stary dagerotyp, ale nie mamy pewności czy przedstawia on Szymona z jego żoną Marianną. Wiemy jednak, że wykonano go w Warszawie w połowie XIX wieku, istnieje więc możliwość, że mimo wszystko zachował się portret małżonków Szymona i Marianny z Millerów.

W życiu Szymona Eborowicza wiele jest tajemnic i niepewności, trzeba je będzie uzupełniać intuicją, ale nie fantazją i zmyśleniami. Tak, jak życie każdego z nas, tak i żywot mojego przodka musi zaistnieć w konkretnym kontekście historycznym i społecznym. Znajomość tych realiów wymagała dogłębnych studiów historycznych w tych wycinkach rzeczywistości, w których toczyło

się codzienne życie i praca Szymona i jego potomków. A więc przede wszystkim w Warszawie od roku 1815 do końca XIX wieku, a tym mieście z kolei szczególnie wyróżnionym miejscem była dla Eborowiczów ulica Bednarska. Tam zaczynali swoje interesy, tam mieszkali, rodzili się i umierali. Historia tego fragmentu miasta stołecznego będzie mnie interesować szczególnie. Wyruszymy więc w podróż przez historię widzianą oczami zwykłych ludzi i opisaną przez ich codzienną, mrówczą pracę o jak najlepsze miejsce na drabinie społecznej.

W dalszych rozdziałach tej opowieści skupię się na tej linii rodowej, która prowadzi bezpośrednio do małżeństwa Józefa Chmielowskiego z Felicją z Eborowiczów oraz ich córce Zofii, która była babką naszej matki. Wszystkie inne wątki zostaną także omówione, ale ze zrozumiałych względów koncentrować się będę na dziejach własnej rodziny. Całość narracji zostanie doprowadzona do roku 1945. Zofia Chmielowska była żoną Aleksandra i matką Stefana i Wacława Niewiarowiczów. Ich życie codzienne było pełne przygód i niezwykłych wydarzeń na tyle, że ich opisanie przekroczyłoby ramy tego opracowania. Dlatego też przygody Aleksandra Niewiarowicza w Mandżurii będą opisane w odrębnym e-booku. To samo dotyczy dziejów rodu Pękalskich, gdyż w tym przypadku trwa zbieranie i analiza materiałów źródłowych.

Trudny to i obszerny temat. Jak pisał znawca realiów XIX wieku Stanisław Wasylewski: *„Życie polskie w XIX wieku. Jakże elastyczny i dalekosiężny temat! Ogarnąć wypada okiem ogrom zjawisk kulturalnych, społecznych, potocznych, zajrzeć do polityki, szkolnictwa i prasy, przewertować literaturę piękną, odwiedzić salony i chatupy, hrabiny i babiny, szulernie, fabryki, dyliżanse, lokomotywy, zapytać o zdanie architektów, poetów, kompozytorów...”*

Wszystkie nazwiska tutaj wymienione, jak i opisywane miejsca są prawdziwe podobnie, jak fakty historyczne. Prawdziwe są setki szczegółów takich np. jak jadłospisy, ceny i obyczaje. Wkraczamy zatem w krainę, w której żyli nasi przodkowie, a był to świat bardzo odmienny od tego, który znamy w XXI wieku.

Aby nie zaciemniać tekstu nie podaję przypisów i źródeł, zastąpi je zamieszczony poniżej.

Spis wykorzystanej literatury i najważniejszych źródeł internetowych.

1/ Zbigniew Chądzyński „Pamiętnik powstańca z lat 1861, 1862 i 1863” –edycja komputerowa www.zrodla.historyczne.prv.pl, 2002 r.,

2/ Jarosław Zieliński „Ulica Bednarska, wyd. VEDA, www.wyczerpane.pl,

3/ Stanisław Wasylewski „Życie Polskie w XIX wieku”, wyd. ISKRY, 2008 r.

4/ Stanisław Milewski „Ciemne sprawy dawnych warszawiaków”, wyd. PIW. 2009 r.

5/ Agnieszka Lisak, „Życie towarzyskie w XIX wieku”, wyd. Bellona, 2013.

- 6/ Agnieszka Lisak „*Miłość, kobieta i małżeństwo w XIX wieku*”, wyd. Bellona, 2013.
- 7/ Stanisław Szumski, „*W walkach i więzieniach-pamiętniki z lat 1812-1848*”, Wilno, 1931;
<http://kpbk.umk.pl/dlibra/plain-content?id=32234>
- 8/ Dokumenty Wydziału Wojny Rządu Narodowego w Powstaniu Styczniowym 1963-64 – edycja komputerowa www.zrodla.historyczne.prv.pl, 2002 r.
- 9/ Strona genealogiczna autora <http://niewiarowicz.republika.pl/>
- 10/ Drzewo genealogiczne Eborowiczów, Szletyńskich i Chmielowskich <http://www.myheritage.pl/site-186608692/eborowicz>
- 11/ Władysław Milewski „*Na morzu i na lądzie*”, Wyd. Morskie Gdańsk, 1976.
- 12/ Roczniki miesięcznika „Morze” 1924-1979 <http://www.magemar.com.pl/cms.php?cid=176>
- 13/ Encyklopedia Gdyni, wyd. Verbi Causa, 2006.
- 14/ Strona internetowa autora o Kopenhadze <http://zbigkurzawa.cyberdusk.pl/copenhagen.html>

Szymon Eborowicz urodził się w roku 1794 w Ludwinowie na ziemi augustowskiej. Nie wiemy nic o jego rodzicach czy rodzeństwie, możemy się jedynie domyślać, czym się zajmowali mieszkając w tej małej osadzie niedaleko rynnowego jeziora Bolesty. Być może ojciec Szymona uprawiał jakieś poletko, może żył z rybołówstwa, albo z darów prastarej puszczy Perstuńskiej. Dawała ona smołę, potaż, dziegieć i węgiel drzewny. Z rudy darniowej wytapiano żelazo, zbierano też miód z barci. Przede wszystkim jednak cięto drzewa i spławiano je rzekami do portów bałtyckich

Nie możemy też wykluczyć, że ojciec Szymona pracował w jakiejś manufakturze, gdyż w XVIII wieku istniały tam garbarnia i olejarnia. Z dawnych rejestrów dowiadujemy się, że takie zakłady uważano za duże, jeśli produkowały oleju za 150-200 talarów rocznie. Podług tego kryterium olejarnię w Ludwinowie możemy zaliczyć do zakładów średniej wielkości. Nie pozostał po niej nawet najmniejszy ślad, a jedyna wzmianka w Internecie pochodzi z mojej strony genealogicznej. Ja z kolei dotarłam do mało znanych źródeł o manufakturach i zakładach przemysłowych od XVI do XIX wieku autorstwa inżyniera Juliana Kołaczkowskiego z roku 1888.

Tereny, gdzie znajduje się Ludwinowo w dawnych czasach należały do plemienia Jaćwingów, którzy zamieszkiwali swoje rozległe terytoria prawie do końca XIII wieku. Nie stworzyli organizmu państwowego, nie mieli scentralizowanej władzy. Jednocyli się tylko podczas wzajemnych wypraw na terytoria swoich sąsiadów, bądź w obronie własnych ziem. W połowie XIII wieku największym zagrożeniem dla Jaćwieży stał się Zakon Krzyżacki, który rozpoczął systematyczny podbój. W latach 80-tych XIII wieku nastąpiła klęska polityczna Jaćwieży. Znaczniejsze grody obronne zostały zniszczone. Część ludności, która nie zginęła w walce Krzyżacy uprowadzili ze sobą i osiedlili na Sambii, reszta uciekła na tereny przyjaznej Litwy lub pozostała w niedostępnych ostępach puszczy. Różne były potem dzieje tych ziem, najczęściej wymienia się pobliskie miasteczko Raczki, które powstały przy starym szlaku handlowym prowadzącym z Grodna do Prus. Po III rozbiorze Polski Raczki jak i cała Suwalszczyzna znalazły się w zaborze pruskim, w departamencie białostockim. W latach 1799/1800 miasteczko miało 168 domów i 1008 mieszkańców, którzy zajmowali się głównie rolnictwem. Nieźle było rozwinięte rzemiosło skórzanе i tekstylne. W mieście było 3. kupców żelaza, 3. materialistów, 8. kupców jedwabiu, 47. kupców płótna i 3. kupców sukna. Za czasów pruskich kursowała przez miasto poczta listowa i pasażerska z Suwałk do Królewca (Suwałki – Raczki – Olecko – Gąbin – Królewiec). Właśnie wtedy urodził się Szymon, którego ród mógł wywodzić od osadników niemieckich na tych terenach. Eborowicze to spolszczona forma nazwiska Eberhard pochodzenia starogermańskiego. Mogło tak się stać, choć na tych terenach osiedlali się głównie mieszkańcy Mazowsza i przeważał tam żywioł polski. Wydaje

się, że rodzina Szymona na przełomie wieków mieszkała właśnie w Raczkach, tam też nasz bohater pobierał nauki w rzemiośle, może w handlu, tego już się nie dowiemy. W każdym razie jego ojciec musiał należeć do klasy rzemieślników lub kupców, gdyż był w stanie wysłać syna do stolicy i nieźle go wyposażyć. Jednak rzemiosłem i handlem trudnili się tam głównie Żydzi, miejscowa ludność w znacznym stopniu żyła z przemytu towarów przez pobliską granicę z Prusami. Wspomina się też o wielkich spędach trzody chlewnej po którą przyjeżdżali kupcy z Prus. W Raczkach istniała ulica Niemiecka, był to ślad po sporym osadnictwie z tego kraju. Już po wyjeździe Szymona do Warszawy pojawili się tam imigranci ze Szkocji wnosząc z sobą nowe metody upraw rolnych.

Tymczasem historia zatoczyła koło i na tereny Polski wkroczył cesarz Francji. Zwycięstwa Napoleona w latach 1802 – 1806 nad zaborcami: Austrią, Prusami i wspierającą ich Rosją, doprowadziły w 1806 roku do zwycięskiego powstania polskiego w zaborze pruskim. Na mocy traktatu francusko – rosyjskiego w Tylży z sierpnia 1807 roku utworzono pod protekcją cesarza Napoleona Księstwo Warszawskie. Raczki znalazły się w jego granicach, w departamencie łomżyńskim. Zaledwie 12. letni Szymon znalazł się więc na kilka lat w kraju wolnym od zaborców. Był to jednak czas wojen i już w maju i czerwcu 1812 przez te tereny przemaszerowały liczne oddziały Wielkiej Armii idącej na Moskwę. Jak wiemy z tej wyprawy powróciła garstka niedobitków, a miejscowa ludność znacznie zubożała zmuszona do wyżywienia pewnej części z 600. tysięcznej armii złożonej z żołnierzy dwudziestu narodów. Księstwo Warszawskie było tworem nieudanym z narzuconą przez Napoleona konstytucją. Jak wówczas mawiano król był saski, pieniądź pruski, wojsko polskie, a kodeks francuski. Wcielone w system gospodarczy kolosa napoleońskiego, wysysającego je bez litości, znalazło się Księstwo w obliczu wyrzeczeń, o jakich Polacy dotąd w ogóle nie mieli pojęcia. Zwalono sezonowemu państewku na kark olbrzymie ciężary, koszty administracji, biurokracji i furażu dla czterdziestotysięcznej, nienazartej armii.

Powoli nadchodził czas, aby Szymon usamodzielniał się i wyruszył z pod skrzydeł rodziny w szeroki świat. Był już zdecydowany, że wyruszy do Warszawy i będzie tam zarabiał produkując olej. Niezbędne dla prowadzenia tego interesu prasy i tłocznie zamierzał zakupić na miejscu za środki otrzymane od ojca. Nie miał jeszcze żony, liczył na to, że w stolicy znajdzie się odpowiednia kandydatka, wszak to wielkie miasto w porównaniu do Raczek, nie mówiąc już o maleńkim Ludwinowie, gdzie stało tylko kilka marnych chałup. W Raczkach w roku 1830 było 200 drewnianych domków a w czasie, gdy Szymon opuszczał swoje rodzinne strony niewiele ponad 120. Do przemysłu w owym czasie można było zaliczyć garbarnię, cegielnię i fabrykę świec łojowych tzw. szabasówek. Dominowała bowiem w miasteczku ludność wyznania mojżeszowego.

Po pożegnaniu z rodziną rusza więc Szymon do stolicy mając za cały majątek wóz zaprzężony w dwa konie, spory kufer z ubraniami i suknamy na handel, skrzynkę z narzędziami oraz kilka worków owsa dla koni. Ma też konkretne plany i mieszek pełen pruskich talarów. Wtedy jeszcze talar dzielił się na 24 „dobre grosze” każdy z nich miał po 12 fenigów. Dopiero po roku 1821 talar dzielono na 30 „srebrnych groszy”, a grosze na 12 miedzianych fenigów. Jako moneta srebrna był talar powszechnie stosowany w Europie, a nawet na Bliskim Wschodzie. Jednak bardzo szybko nastąpi

pożegnanie z tym pieniądzem, acz nie straci on na wartości, tylko zostanie zastąpiony złotym polskim, a potem rublem na blisko sto następnych lat.

Była to wiosna 1815 roku. Gościńcem pocztowym toczyła się z wolna furmanka Szymona wzniesając tumany pyłu, gdyż czas wiosennych roztopów już minął, a deszcz nie padał od tygodnia. Brzozy, podwójnym rzędem, ciągnęły się wzdłuż traktu, który dopiero za lat dwadzieścia zmieni się w szosę warszawsko-petersburską. Brzozy zostaną wycięte, trakt utwardzony szutrem i poszerzony stanie się ruchliwym szlakiem nie tylko dla omnibusów pocztowych, ale także do transportu towarów i surowców dla szybko rozwijających się manufaktur.

Do Warszawy było ponad 250 wiorst, a w ciągu dnia Szymon mógł pokonać nie więcej, niż 40-50 wiorst tak, więc podróż trwać miała sześć dni. Trzeba było oszczędzać konie, które w stolicy miały przecież pracować dla swego pana. Początkowo jechał wśród gęstych borów dębowych i sosnowych, ale im bliżej stolicy, tym lasów było coraz mniej, a więcej pól uprawnych. Po zachodzie słońca zatrzymywał się w przydrożnych karczmach, gdzie mógł zadbać o zmęczone konie, zjeść i wypaść się w izbie gościnnej. Karczmy mazowieckie były do siebie podobne, gdyż każda z nich miała od frontu podcienie, a z tyłu stajnię i wozownię. Po prawej strony od wjazdu były dwie izby gościnne, jedna dla zamożniejszych gości, a druga ze słomą tylko na drewnianej podłodze dla mniej zamożnych przybyszy z niższych stanów. Po lewej stronie była izba karczemna, gdzie napitki i posiłki podawano gościom. Za nią mieściło się mieszkanie karczmarza, do którego przylegała komora z zapasami żywności i napojów. Były też karczmy całkiem ubogie z jedną izbą zaledwie i przyległą do niej niewielką stajnią na kilka koni i bez wozowni. Tam możni panowie spali na ławach przykrytych baraniami skórami, a chudopachołkowie w stajni razem z końmi. Ale schronienie i odpoczynek pod dachem były konieczne, nocowanie przy trakcie nie było bezpieczne, gdyż różne bandy tam grasowały z niedobitków armii napoleońskiej złożone. Można było stracić cały dobytek, a czasem i życie nawet.

Szymon zmierzał do miasta, które w tym czasie liczyło sobie ponad 80 tysięcy mieszkańców. Utworzone kilka tygodni po osiedleniu się tam Szymona Królestwo Polskie wchodziło w okres szybkiego rozwoju i prosperity dla mieszkańców, który miał trwać do wybuchu nieszczęsnego powstania listopadowego. Bunt ten doprowadził do utraty ułomnej, ale w końcu jedynej możliwej w tych warunkach, suwerenności zagwarantowanej na Kongresie Wiedeńskim. Zniknie pięknie umundurowane wojsko polskie, duma całego narodu, a tysiące więźniów pomaszkuje w roku 1832 w kajdanach na Sybir. Upadnie gospodarka, zaniknie życie kulturalne, a naród pogrąży się w apatii do następnego tragicznego zrywu po niepodległość. Ale od tych doniosłych wydarzeń dzieliło nas jeszcze ponad 15 lat w czasie, których Warszawa rozwijała i piękniała.

Trzeciego dnia podróży spotkał Szymon w zajeździe Barucha Papengutha, starszego już Żyda, który załatwiał jakieś swoje interesy w Łomży i wracał ciężko obciążonym wozem do Warszawy. W czasie wspólnej kolacji Szymon wypytывał nowego znajomego, gdzie się najlepiej w tym mieście osiedlić.

–A co pan zamierzasz tam robić? -spytał go Baruch.

–A no zakład olejarski otworzyć- odparł Szymon.

–To tylko panie na Bednarską, tam najlepsze miejsce na handel i na rzemiosło. Ojciec mój Abraham wielką tam manufakturę sukna otworzył w 1782 roku. Nawet i 50. pracowników zatrudniał. Most tam na Wiśle postawiony przez księcia Ponińskiego duży ruch w interesach powoduje.



1. Most Ponińskiego r. 1792

–I co, nadal tam ta fabryka działa?- spytał Szymon.

–A skąd panie, wojna przyszła w 1794, nasze wojska uciekając przed Rosjanami most spalili, z dymem poszło też pół naszej ulicy- opowiadał Baruch.

Tutaj handlarz nieco koloryzował, gdyż zniszczenia wojenne nie były wielkie, a przeprawę książę generał Suworow kazał odbudować i już w listopadzie 1794 roku most ten normalnie funkcjonował. Ale okupacja pruska nie sprzyjała ożywieniu ulicy Bednarskiej. Zamarty wszelkie budowy i nawet w okresie Księstwa Warszawskiego sytuacja się nie poprawiła. W czasie wojen napoleońskich rzeczony most różne wojska kilkakrotnie paliły, a w roku 1807 zniszczyły go lody. Potem wielkie powodzie w roku 1808 i 1813 zniosły most, że śladu po nim nie zostało. Był to most łyżwowy, a nie stały, na okres zimy zdejmowany. Wreszcie postawiono go w roku 1814, a nawet wybudowano bramę z kolumnami tokańskimi oraz datą na wjeździe od Bednarskiej.

Od najdawniejszych czasów Bednarska opadająca wąwozem od śródmieścia Warszawy ku Wiśle znana była, choć jej dolny odcinek powstał dopiero w połowie XVIII wieku z nawiezionych tam odpadów i ziemi z wykopów. W XVI wieku zwana była ulicą Rzeźniczą, gdyż stały tam drewniane

domki cechu rzeźników. Potem ulica zyskała niechlubne miano Gnojowej, gdyż wszelkie nieczystości tam z miasta zwożono i wysypywano w pobliże rzeki.



2. Widok Warszawy od strony Wisły

Na tym obrazie Christiana Melicha z 1620 roku widzimy ów wawóz po drugiej stronie Wisły i plamy zieleni po obu jego stronach, które były ogrodami klasztorными bernardynów i kamedułów. Siłą rzeczy grunty te były ich własnością, co hamowało parcelację i zabudowę tych terenów. A to, co zbudowano, zostało kompletnie zniszczone w czasie wojen szwedzkich. W roku 1743 ulica zyskała obecną nazwę (oficjalnie zatwierdzoną w roku 1770), uprzątnięto też większość zanieczyszczeń zwożonych tam przez lata. Ulica została wybrukowana, a na brzegu zbudowano 140. metrowy basen portowy. Powstawała też zabudowa drewniana na terenach klasztorных.

Wspomniany już Adam Poniński, niesławnej pamięci marszałek sejmu rozbiorowego, sfinansował budowę mostu łyżwowego położonego na łodziach, które na zimę odholowywano do portu. Ale książę w zamian za to otrzymał 10. letnie dochody z myta. Wynosiło ono 2 gr. za człowieka pieszego i aż 20 gr. za ładowną karetkę. Po obu stronach wjazdu na ten most postawiono zespół łaźni (nr od 1-5) należących do kasztelana łukowskiego Jacka Jezierskiego. Był to jednocześnie obiekt handlowy z uwagi na liczne sklepy, jak i dom schadzek, gdyż nikt nie zwracał uwagi na to, kto wchodzi do pomieszczeń kąpielowych. Miały one po dwie drewniane wanny z doprowadzoną ciepłą wodą. Po kąpeli można było napić się w kawiarni oraz w winiarni w miłym towarzystwie. Ulica Bednarska z chwilą postawienia mostu stała się jedyną arterią komunikacyjną łączącą śródmieście ze wschodnim brzegiem Wisły i tamtejszymi traktami komunikacyjnymi. Aż do roku 1864 ulica będzie żyła obok mostu i z mostu.

Szymon Eborowicz dotarł na ulicę Bednarską pewnego majowego popołudnia, zostawił swój środek lokomocji w wozowni i udał się na poszukiwanie kwatery poleconej mu przez Barucha. Była to spora kamienica na rogu ulicy Furmańskiej pod nr 13 (działka nr 2679) wybudowana przez niejakiego Morawskiego ok. 35 lat wcześniej. Naprzeciwko stała piętrowa kamienica, którą wybudował w latach 1784-85 ślusarz Zdrojewski. W domu Morawskiego Szymon wynajął jedną izbę z piecem kuchennym, który zimą służył także do ogrzewania pomieszczenia. Miną lata, a on na zawsze już pozostanie na Bednarskiej z rozrastającą się rodziną, a z czasem dorobi się własnej kamienicy całkiem niedaleko od miejsca, gdzie zatrzymał się po raz pierwszy. Jak się okazało

Baruch Papenguth prowadził handel korzenny, sukienny, norymberszczyznę oraz trunkami zagranicznymi, sprzedawał też towary łokciowe i galanterię. Mieszkał przy Bednarskiej pod nr 11 w domu Daniszewskiego, ale handlował w sklepie przy Furmańskiej. Wszyscy go tam znali, gdyż niemal z każdej rodziny ktoś pracował przed laty w przędzalni jego ojca Abrahama. Manufaktura ta wskutek działań wojennych upadła i Baruch Papenguth był zmuszony zająć się handlem. Na zapleczu domu pod nr 11 (2680) znajdował się też zajazd dla podróżnych, skąd całkiem blisko było do łaźni. Od gazeciarza Szymon kupił „Gazetę Warszawską”, był to nr 40 z soboty 20 maja 1815 roku. Na stronie pierwszej redakcja zamieściła panegiryczny tekst rzekomego czytelnika wychwalający cara Aleksandra i projekt powstania Królestwa Polskiego. Potem następował bardzo obszerny przegląd wiadomości z całej Europy. W Warszawie nadal formalnie rządził „Jenerał Gubernator Xsięstwa Warszawskiego” i w Pałacu Pod Blachą sprawy urzędowe załatwiał w południe. Teatr Narodowy nazajutrz miał dać operę „Przerwana Ofiara” (*Opera we 2 aktach z muzyką Piotra Winter, z niemieckiej przełożona*, premiera, Warszawa 5 listopada 1802). W dziale ogłoszeń strapiona matka poszukiwała swego syna zaginionego w kampanii Napoleona w Rosji :
” Niżey wyrażona strapiona matka uprasza każdego, ktoby wiedział o życiu lub śmierci ur. Pawła Jańskiego. będącego w Pułku niegdyś Gwardyi Cesarskiej Francuzko-Polskiej, dowództwa JW. Wincentego Krasińskiego, Pułkownika tegoż Pułku o którym od czasu ostatniej kampanii w Rossyi roku 1812, a gdzieby się znajdował,, czy w niewoli lub tej umar ł, żadney dotąd nie mając wiadomości, coby raczył dać znać pod adresem do Redakcyi Gazety Warszawskiej w Warszawie, a wszelką z tego względu poniesioną expens z największem podziękowaniem wrócona będzie.

Franciszka Jańska”

Pułkownik Wincenty Krasiński wydobyl swoje wojska z pułapki straszliwej zimy rosyjskiej i zawiódł do Francji, a po upadku Napoleona we wrześniu 1814 roku przyprowadził swój pułk do Polski. Niestety bez porucznika Pawła Jańskiego, ocalał za to brat jego Paweł. Pod panowaniem Aleksandra I. Krasiński kontynuował karierę wojskową i polityczną. Był posłem przasnyskim i marszałkiem sejmu Królestwa Polskiego od 1818, a od roku 1825 senatorem -wojewodą . W 1820 Senat przyznaje Krasińskiemu tytuł hrabiowski, a car nadaje mu order *Świętego Włodzimierza* II klasy i dożywotnią godność senatora-wojewody. W 1826 roku został awansowany do stopnia generała jazdy oraz na urząd senatora wojennego.

W tym właśnie czasie rozpoczynał się okres wielkiego rozwoju Bednarskiej, który miał trwać do roku 1831. Nie budowano zbyt wiele, gdyż zaczynało brakować wolnych terenów, a ulica była nasycona budynkami murowanymi. Jednak do roku 1830 wzniesiono tu 6 nowych kamienic, co wraz z obiektami wcześniej wybudowanymi dawało w sumie 21 frontowych, murowanych domów. Kamienicę, która w przyszłości będzie gniazdem rodzinnym Eborowiczów wybuduje w latach 1828-29 porucznik gwardii konnej i adiunkt Sztabu Głównego Wojska Polskiego Jan Łaskiewicz. Dom ten stanie pod nr 24 (działka nr 2690 b), gdzie w 1815 była jeszcze zabudowa drewniana. Miejsce to było w szczególny sposób naznaczone i mieszkańcy zwali je Piekłem. Jeszcze w XVII wieku była tu sadzawka, w obok w średniowieczu znajdowało się miejsce straceń poprzez spalenie na stosie. W dawnej Polsce lokalizacje w pobliżu jakiegoś zbiornika wodnego zwane Piekiełkiem bądź Piekłem to właśnie otoczone ponurą sławą miejsca, gdzie płonęły stosy, a na nich heretycy, czarownice i wszyscy ci, którzy narazili się Kościołowi. Resztki stosu wrzucano do rzeki, aby nie kalały ziemi chrześcijańskiej. Nikt tam się nie budował, z reguły były to tereny podmokłe, ale jak pamiętamy na

dawną ulicę Gnojową nawieziono setki ton odpadów, które skutecznie nadrzeczne zasypały mokradła. A, że nadal były to miejsca przekłete, przeto gniew niebios zsyłał na ich mieszkańców wielkie powodzie i pożary. Bednarska była więc często zalewana przez Wisłę, która podchodziła aż do skrzyżowania z Furmańską, a raz nawet zdarzyło się, że została zalana od góry. Czyli od strony Krakowskiego Przedmieścia. Do tego „potopu” jeszcze powrócimy.

Na razie jednak Szymon mógł tylko pomarzyć o własnej kamienicy, kiedy w nędznej szopie ustawił tłocznię i zaczął produkować olej lniany, na który było największe w tych czasach zapotrzebowanie. Służył on do celów konsumpcyjnych, ale i do konserwacji drewna. Produkowali go już blisko 3000 lat temu Egipcjanie, a potem Grecy i Rzymianie, którzy wysoko cenili jego odżywcze i lecznicze walory. Kobiety zachwycały się jego dobroczynnym wpływem na włosy oraz skórę, mężczyźni natomiast doceniali jego wpływ na układ nerwowy oraz krwionośny. Metoda tłoczenia "na zimno" polega na produkcji oleju w temperaturze nie przekraczającej 50 stopni Celsjusza, dzięki czemu składniki oleju (głównie wrażliwe na temperaturę nienasycone kwasy tłuszczowe) zachowują swoje naturalne struktury i właściwości biologiczne. Tą właśnie technologię, podpatrzoną w olejarni w Ludwinowie, stosował Szymon, a jego przyjaciel Baruch pomagał w zorganizowaniu sieci dystrybucji tego produktu. Nie było to trudne, gdyż kupcy wyznania mojżeszowego mieli w całym kraju, a także w krajach ościennych doskonale rozwiniętą sieć sprzedaży i znakomite kontakty handlowe. Za ich pośrednictwem Szymon kupował też najlepszej jakości surowiec do produkcji oleju czyli siemię lnianki. Wbrew pozorom nie był to ten sam len, z którego wytwarzano płótna, ale jego specjalna odmiana zwana w dawnej Polsce w różnych rejonach lnicznik, judra, rydz, rydyk, ryżyk i lennica. Lniankę uprawiano od czasów przedpiastowskich na ziemiach gorszych wręcz na piaskach. Stąd porzekadło *„lepszy rydz niż nic”*, które dotyczy lnianki, a nie grzyba, z uwagi na małe wymagania glebowe tej rośliny. Począwszy od połowy XIX wieku lniankę wypierały z uprawy rzepak i len włóknisty, którego uprawa na włókno żywiołowo rozwijała się w tym czasie. Olejarnia przy Bednarskiej produkowała także w mniejszych ilościach oleje słonecznikowe, makowe i orzechowe. Szczególnie cennym produktem był olej makowy mający zastosowanie, jako środek leczniczy o cudownym działaniu oraz do wyrobu wyjątkowych kosmetyków. Olej ten do dnia dzisiejszego jest stosowany, a jego 500 ml kosztuje blisko 100 zł, czyli nadal jest produktem drogim i trudnodostępnym. Natomiast olej lniany występuje obecnie pod handlową nazwą LenVitol i jest znacznie tańszy. Nadal ma mnóstwo zastosowań kulinarnych, kosmetycznych, medycznych i profilaktycznych.

Jak wiemy Szymon Eborowicz zaczynał swoją warszawską karierę prawie dokładnie w czasie, gdy powstało Królestwo Polskie z dawnych ziem Księstwa Warszawskiego. Wolne Miasto Gdańsk przekazano Prusom, a okręg białostocki został wchłonięty przez Rosję. Okręg tarnopolski włączono do austriackiej Galicji. Samo Księstwo podzielono na Wielkie Księstwo Poznańskie, Rzeczpospolitą Krakowską i Królestwo Polskie. Car Aleksander I podpisał konstytucję Królestwa w listopadzie 1815 i od tej chwili zaczęło ono swój formalny byt pod rządami pierwszego namiestnika cara księcia generała Józefa Zajączka. Był on jedynie figurantem, gdyż faktycznie o wszystkim decydował brat cara Wielki Książę Konstanty będący jednocześnie wodzem naczelnym Wojska Polskiego. Wielka

polityka było blisko ulicy Bednarskiej, gdyż geograficznie leżała ona o rzut kamieniem od zamku i kolumny Zygmunta.



3. Powiśle

Trudno jednocześnie o większy kontrast, gdyż Powiśle było jedną z najbiedniejszych dzielnic stolicy. Na obrazie Gierymskiego „Powiśle” widzimy ciężko pracujących ludzi w szarym, nadrzecznym krajobrazie. Obraz powstał w roku 1883, możemy zatem przypuszczać, że na początku XIX wieku, gdy zamieszkał tam Szymon, warunki życia były jeszcze bardziej prymitywne. Ta rzemieślniczo-portowa dzielnica miała swoje okresy świetności, których symbolem była ulica Bednarska w czasach, gdy funkcjonował tam most przez Wisłę. Potem jednak podupadła i nigdy się już nie podźwignęła. Te dwa światy-zamkowy i ulicy Bednarskiej-choć bliskie fizycznie -

rozdzielała nieprzekraczalna bariera dzieląca klasę arystokracji i szlachty od zwykłej, ciężko pracującej biedoty miejskiej. W końcu XVIII wieku zamieszkała tam służba pałacowa i zamkowa, osiadło też wielu szewców i innych rzemieślników.

.....

Zajrzyjmy na ulicę Bednarską w majowy poranek 1821 roku. Od samego rana hałas niepomierny tam panuje, ciężkie platformy transportowe na żelaznych obręczach turkoczą po bruku przewożąc beczki, worki, skrzynie, deski, skóry surowe i kłody drewna. Kierują się w dół do mostu, ale i w drugą stronę ciągnie sznur konnych wozów, karet, bryczek, faetonów i furmanek z Pragi do Śródmieścia. Górny odcinek Bednarskiej jest tak zatłoczony, że tworzą się zatory, część pojazdów musi jechać objazdem ulicami Mariensztat i Furmańską. Rok wcześniej zlikwidowano stary basen portowy w związku z planami budowy bulwaru kamiennego, nigdy zresztą nieukończonego. Bednarską na nowo brukowano i już wtedy objazd ten do mostu łyżwowego z konieczności obowiązywał. A kiedy niespodzianie pękła oś ciężko załadowanego wozu zatory tworzyły się na całej długości ulicy do czasu, aż pechowca rozładowano i odciągnięto na podwórko do pobliskiej kuźni. Kronikarz miasta Maksymilian Sobieszczański pisał lakonicznie na ten temat, że „dojazd do miasta Bednarską był przykry”!

W tym wielkim ruchu wypadki z udziałem pieszych często się zdarzały, o czym niejednokrotnie donosił „Kurjer Warszawski”. Tego dnia w czwartek 10 maja gazeta ta pisała zarówno o uroczystościach państwowych, jak i o dziwach natury. Nie zapomniano także o loterii, w którą grano powszechnie podobnie, jak my dzisiaj w LOTTO.

„ Wczoraj w Kaplicy Zamkowej po nabożeństwie składano powinszowania J.C.M. Wielkiemu Xięciu, jako w doroczną uroczystość jego urodzin... Wieczorem w Teatrze Narodowym przy okazaniu obrazu ‘Ofiary Bellony’, trzykrotne odezwały się oklaski”.

„Przywieziono do Warszawy dziewczynkę urodzoną we wsi 4 mile od Kalisza. Przeżyła ona dopiero 8 lat, a waży 192 funtów, piersi jej są szerokie ma trzy ćwierci łokcia, obwód korpusu przeszło 2 łokcie, wysoka jest na dwa łokcie i ćwierć.”

„Pojutrze ciągnięta będzie czwarta klasa loterii klassycznej. Gracze uważają, że kantor Werthejma na Krakowskim Przedmieściu jest nader w tej grze szczęśliwym”.

Przy Bednarskiej istniały w tym czasie dwa hotele: „Podlaski” w niedawno zbudowanej kamienicy Collina oraz „Smoleński” (nr 31) w domu należącym do Wasilewskich. Nadal funkcjonowały stare łazienki należące wówczas do Stanisława Ciemskiego. Bliżej Krakowskiego Przedmieścia istniała kawiarnia Pawłosiewicza, a obok niej sklep winiarsko-kolonialny pod firmą „Hensel&Flach” mający konkurencję na Bednarskiej dwóch podobnych sklepów należących do Żydów. Szymon nie narzekał na konkurencję, gdyż jego olejarnia była tylko jedna na Powiślu, następna działała za Wisłą na Pradze. W dalszym ciągu na Bednarskiej najwięcej było szewców, a oprócz nich stolarzy i farbiarzy. Ci ostatni wkrótce zwiną swoje małe warsztaty, gdyż nie wytrzymają konkurencji ze strony dużej farbiarni Allendiego i Pawłowicza subsydiowanej w dodatku przez rząd. W dolnej części Bednarskiej, czyli w rejonie, gdzie działały tłocznie oleju Szymona, był magazyn sukna Scharmacha i wytwórnia chustek Heringa (pod nr 6, działka 2684). Wbrew pozorom rzemieślnicy nie dominowali wśród ówczesnych mieszkańców Bednarskiej. Mieszkali tam głównie ludzie średniozamożni, w tym wielu urzędników państwowych, oficerowie wojska i policjanci. Działały aż trzy szkoły elementarne.

W tamtych czasach nie było zwyczaju zalecać się do dziewczyny, latami „chodzić” z nią. Nie wypadało spotykać się sam na sam, spacerować czy też odprowadzać ją do domu z zabawy, a nawet z kościoła. Nie było form rozrywki czy wypoczynku, na które wyjeżdżano by razem. Owszem, młodzi uczestniczyli w różnego rodzaju rozrywkach np. w zabawach, odpustach, lecz udawano się na nie w większych grupach, a i wówczas chłopcy musieli stronić od dziewcząt. Za zdolne do zawarcia małżeństwa uważano szesnastoletnie dziewczęta, dla mężczyzn granica ta była nieokreślona, ale zwykle było to o dziesięć lat więcej. W każdym razie kandydat na męża musiał być po odbytej służbie wojskowej, która w Królestwie Polskim do 1831 roku wynosiła sześć lat. W tym samym czasie okres służby wojskowej w armii carskiej wynosił aż 25 lat, co znacznie przesunęło wiek umożliwiający zawarcie związku małżeńskiego. W przeciwieństwie do szlachty, niemający lud nie miał prawa do zawierania małżeństw i tym samym znalazł się w kłopotliwym położeniu. Nędzarzom, parobkom i dziewczkom, służącym, czeladnikom, żołnierzom i członkom innych grup społecznych nie wolno było zawierać małżeństw lub też wymagało to specjalnego zezwolenia. Biedocie zabraniano zatem surowo zawierania związków małżeńskich, a zakaz ten przetrwał aż do połowy XIX wieku. Chłopi i rzemieślnicy należeli do warstwy społecznej posiadającej własności i z tego powodu droga do małżeństwa stała dla nich otworem. Także oni pobierali się prawie wyłącznie w obrębie swojej warstwy i na podstawie interesów ekonomicznych. W grupie rzemieślniczej zawieranie małżeństw podlegało prawom cechowym. W niektórych cechach wdowa po rzemieślniku, aby nie stracić warsztatu, była nawet zobowiązana do poślubienia jednego z czeladników.

Olejarstwa nie zaliczano jednak do rzemiosła i Szymon nie należał do żadnego związku cechowego, nie podlegał zatem tym regułom. Był wolny i już wówczas stosunkowo zamożny, choć nie posiadał jeszcze żadnej nieruchomości. Ale dobrze prosperujący zakład olejarski wyposażony w tłocznie należał do niego i miał perspektywy na dalszy rozwój, gdyż konkurencja była niewielka. Swego przyszłego teścia Józefa Millera Szymon znał dobrze, gdyż prowadził on przy Furmańskiej manufakturę produkującą rękawiczki. Takich producentów zwano w tym czasie „fabrykantami rękawicznymi”. Był to dobrze prosperujący interes, gdyż blisko był przecież zamek i dwór, więc zamówień nie brakowało. Aby sprostać zapotrzebowaniu w manufakturze pracowało czterech czeladników, terminatorzy i kilka przyuczonych kobiet. Spore partie swoich wyrobów wysyłał też Miller do Rosji i do Prus. Modę na rękawiczki wprowadziły do Polski królowe polskie z Francji pochodzące. W Warszawie najlepsze, acz kosztowne rękawiczki produkował Beno Nivet. Gorsze jakościowo wyrabiał Samuel Zifferblatt i konkurował na rynku niskimi cenami. Tak pisał o tym pierwszym „Kurjer Warszawski”:

„W ustroniu miasta przy ulicy Smoczej powstała od niejakiego czasu fabryka, a raczej garbarnia wzniesiona przez P. Beno Nivet, którego wyroby zjednały już sobie prawdziwą renomę. Dziś zatem jeszcze więcej zyskają, bo wyrabiane w tej fabryce skóry na rękawiczki w niczem nie ustępują francuzkim. Wyroby P. Niveta były, jak to wiadomo, i na wystawie Londyńskiej czego dowodem posiadany przez niego medal pamiątkowy z tejże wystawy. Spodziewamy się, że i na wystawie w Moskwie znajdą się wyroby rzeczzone.”

Ale to działo się znacznie później, bo w roku 1853, a Józef Miller był jednym z pierwszych znanych rękawiczników w początkach XIX wieku w Warszawie. Nie miał, co prawda własnej garbarni i farbiarni, ale tych na Powiślu akurat nie brakowało. Poza tym Miller był właścicielem kamieniczki na Starym Mieście (pod nr 49), co stawiało go w kręgu posesjonatów. Nie było zatem łatwo starać się Szymonowi o rękę jego najstarszej córki Marianny, ale sytuację uprościł fakt, iż było tych córek aż pięć, co bardzo frasowało ojca, gdyż każdej trzeba było dać przecież posag. Szymon zauważył ciemnowłosą Mariannę w czasie nabożeństwa w kościele i od tego czasu pilnie uczęszczał na msze, aby chociaż popatrzeć na dziewczynę, która wśród swoich sióstr wyróżniała się urodą. Ostrożnie, przez pośredników, sondował też opinię jej ojca w kwestii wydania córki za niego. Sam, rozmawiając ze starym Millerem, nie poruszał tego tematu, acz skarżył się na to, że czuje się samotny i chętnie założyłby rodzinę. Rękawicznik lubił nawet tego młodego, ponad swój wiek poważnego człowieka, ale był on dla jego córki partią niezbyt atrakcyjną. Z drugiej strony skąpy Miller kalkulował, że temu młodemu wytwórcy olejów nie musiałyby oddawać bogato wyposażonej córki, co nie było bez znaczenia przy tej ilości panien do wydania.

Ówczesna obyczajowość dopuszczała współżycie z żoną jedynie w celu prokreacji nic dziwnego więc, że mężczyźni szukali rozrywki i zaspokojenia w domach publicznych. Były one także zbawieniem dla młodych kawalerów, którzy nie mieli szans na ożenek. W każdej epoce sprzedajna miłość miała się wyśmienicie, nie inaczej było w dawnej Warszawie. Minęły już naturalnie czasy, kiedy to kat miejski miał monopol na trzymanie i udostępnianie dziewczek sprzedajnych, ale interes ten miał się świetnie w epoce stanisławowskiej i w czasie Księstwa Warszawskiego. Kobiety

trudniące się nierządem grupowały się wtedy w mieszkaniach w rejonie ulicy Oboźnej, gdzie lektykarze zanosili żądnych wrażeń panów. Był to początek prawdziwych domów rozpusty. Utrzymywali je głównie francuscy fryzjerzy i sascy cyrulicy. Targi na Marywilu były miejscem, gdzie w sposób jawny handlowano żywym towarem. Prusacy w czasie swoich dwunastoletnich rządów zaprowadzili porządek w tym specyficznym sektorze usług seksualnych. Wszystkie prostytutki zostały zarejestrowane, wprowadzono przymusowe ich badania w szpitalu św. Łazarza i nałożono podatki na domy rozpusty. Cały ten interes regulowały drobiazgowe przepisy, wprowadzono takse za „usługi”, gdzie przewidziano spore ulgi dla żołnierzy. Prawdziwy, pruski Ordnung. Takse zniesiono w czasie Księstwa Warszawskiego, ale nadal obowiązywała rejestracja i badania lekarskie kobiet trudniących się nierządem. Ciągłe przemarsze wojska, za którym ciągnęły tabuny kobiet, przyczyniały się do epidemicznego rozwoju chorób wenerycznych. W 1814 roku wenerycy stanowili 40% pacjentów w szpitalu wojskowym. Obok koszar wojskowych stacjonujących w Warszawie potworzyły się całe kolonie prostytutek. Skupiały się one głównie w okolicach powązkowskiego obozu wojskowego obok Burakowa. Wiele kobiet trudniących się nierządem mieszkało w dworach przy Czerniakowskiej w bliskim sąsiedztwie koszar kirasjerów podolskich i ułanów księcia Konstantego. Ten kazał je czasami Kozakom pędzić przez miasto i batożyć srogo (cóż to musiał być za widok!), ale była dla dziewczek wojskowych pewna tolerancja. Wspomniany już tutaj kasztelan Jezierski w swoich „łazienkach” urządzonych tuż obok mostu przez Wisłę przy Bednarskiej, prowadził dosyć jawnie dom publiczny. Pracujące tam panie warszawiacy zwali ironicznie „kasztelankami”, krążył też złośliwy wierszyk o tym przybytku:

***„Przy wiślanym moście gospodarz jedyny
Częstuje francą przybyłe Litwiny”***

I sam Szymon tam zapewne bywał, w końcu już kilka lat w Warszawie samotnie mieszkał i ciężko pracował. Ale, że oszczędny był bardzo, każdy grosz odkładał, więc szkoda mu było tracić pieniądze na takie marne zabawy z pannami o nader wątpliwej reputacji. Ponad rok trwały trudne rozmowy ze starym Millerem o wydaniu za mąż Marianny. Jego przodkowie pochodzili z Bawarii, a dziad osiedlił się na południu Polski, gdzie warzył piwo. Ojciec Józefa, hulaka i utracjusz, cały odziedziczony majątek po zacnym piwowarze przetracił i dlatego syn jego za został fabrykantem rękawiczek i tym sposobem odbudował i reputację i majątek rodziny Millerów. W Szymonie lubił to, że miał on także niemieckich przodków. Jego dosyć odległy w czasie pradziad nosił nazwisko Eberhard i był budowniczym. Z przekazów rodzinnych wiadomo było tylko, że zmarł on w roku 1527 na Śląsku inicjując polską linię późniejszych Eborowiczów. Kuzyn Szymona Stanisław także mieszkał w Warszawie, ale ich wzajemne kontakty były dosyć rzadkie. Stanisław osiedlił się w stolicy kilka lat wcześniej i prowadził szynk przy ulicy Długiej. To on później przekonał Szymona, aby zajął się dającym niezły zarobek hurtowym handlem wódkami i likierami. Był już żonaty i miał synka Antoniego, który później zostanie znanym warszawskim lekarzem.

Ślub Szymona Eborowicza z Marianną Miller odbył się w końcu w kościele św. Jana w niedzielę 16 grudnia 1817 roku, a wesele w domu panny młodej w kamienicy przy Rynku Starego Miasta nr 49. Udział we własności tejże kamienicy był posagiem Marianny, stary Miller musiał się przecież liczyć z wywianowaniem pozostałych czterech córek. Z rodziny pana młodego obecny był tylko kuzyn Stanisław z żoną, liczne natomiast było grono gości spokrewnionych z Millerami, jako że wszyscy mieszkali w Warszawie lub okolicy. Marianna nie posiadała żadnego wykształcenia, ba, nie potrafiła czytać i pisać, ale nie było to rzadkością na początku wieku XIX.



4. Małżonkowie Marianna i Szymon Eborowicz

Szymon rozpoczął wiosną budowę oficyny, która miała pomieścić zarówno jego warsztat, jak i mieszkania dla powiększającej się rodziny. Mieściła się ona w podwórzu posesji pod nr 12 przy Bednarskiej i liczyła sobie dwa piętra. Na parterze ulokowane zostaną tłocznie oleju, a kolejne dwie kondygnacje zajmą dwupokojowe mieszkania z kuchnią. Surowce do produkcji miały być składowane w przyległych szopach drewnianych. Te pomieszczenia magazynowe miały się z czasem rozrosnąć, kiedy to żona Szymona rozpocznie hurtową sprzedaż wódek i likierów. Bo na trunki był w Warszawie popyt ogromny. Pito zapamiętałe, a gorzałkę lubili zarówno terminatorzy, czeladnicy, majstrowie, jak i kantorzyści oraz artyści. Każdy z „tunelików”, jak nazywano miejsca gdzie sprzedawano piwo i gorzałkę, zatłoczony był młodymi mężczyznami, którzy pili i bawili się do białego rana. Szynki lokowano na rogach ulic, najbardziej obsadzone nimi było skrzyżowanie ulicy Mostowej z ulicą Rybaki. Mostowa pełniła swego czasu podobną rolę, jak Bednarska, gdyż prowadziła do pierwszego stałego mostu na Wiśle zbudowanego już w roku 1573. Po 30 latach most ten został zimą zniesiony przez zatory lodowe. W czasach, gdy kuzyn Szymona Stanisław

otwierał swój lokal szynki reklamowały się wieszając wiechę z gałęzi sosnowych z jednej strony ganku i krzyż czerwony z drugiej. Często też na szyldzie pisano zabawne hasła w rodzaju „*Dziś za pieniądze, jutro za darmo*”, albo „*Kredyt umarł i został pochowany*”. Czasami były to nawet utwory wierszowane też pełniące rolę swoistej reklamy podłych na ogół knajp. Najbardziej popularny był dwuwiersz: „*Cztery nogi są u stołka-Tu można zalać gardziołka*”. Największą popularnością cieszyły się karczmy i szynki usadowione w centralnych miejscach miasta. Przy Marszałkowskiej były dwa takie szynki o nazwach „*Czerwona Karczma*” i „*Otwock*”. Przy Placu Trzech Krzyży mieściła się karczma „*Ostatni Grosz*”, gdzie popijali okoliczni chłopcy handlujący na tym placu swoimi produktami.



5. Chłopi z Wilanowa

W warszawskiej prasie przed powstaniem listopadowym szeroko propagowano gorzelnictwo, wskazując na opłacalność pędzenia wódki. Najbardziej nowoczesną wytwórnię wódek i likierów postawił na Lesznie w roku 1817 Leon Niewachowicz. Ale hurtownia Marianny Eborowicz będzie zaopatrywana głównie staraniem Szymona, a potem Mikołaja Eborowiczów, którzy prawo propinacji sobie wyrobią i odpowiednie dzierżawy załatwią. Wódkę pędzono za pomocą aparatu zwanego pistoriuszem od nazwiska wynalazcy Henryka Pistoriusza, autora książki „*Praktyczna nauka gorzelnictwa*” przetłumaczonej na język polski. Po polsku wydał swoją grubą księgę „*Gorzelnictwo według najnowszych odkryć*” Jan Niepomucen Kurowski. Pożyteczny ten podręcznik gorzelnictwa wielokrotnie wznawiano. Jeszcze większym bestsellerem stał się w roku 1845 „*Praktyczny gorzelnik*” Neuberta. W roku następnym reklamowano już nowy i tańszy sposób pędzenia gorzałki wynaleziony przez niejakiego Patzela na bazie ziemniaków.

Trunki pędzone masowo były jednak fatalnej jakości, często zawierały kwas pruski pochodzący z pestek owoców lub też inne szkodliwe fuzle. Ówcześni pijaczkowie zwali te straszliwe płyny: bełt

ucha, braja, chara, siwucha czy drut. Znacznie lepszej jakości do powstania listopadowego było piwo. Ponad 50 browarów produkowało wtedy 40 mln litrów piwa przedniej jakości. Popijały je nawet panie w czasie przedstawień teatralnych. Później jednak było już tylko gorzej, spadła produkcja i pogorszyła się jakość tego złocistego trunku.

We wrześniu rodzina Szymona powiększyła się o dorodnego chłopca, której po ojcu Szymona nadano imię August. W kościele św. Jana odbył się chrzest, a potem skromne przyjęcie z udziałem najbliższej rodziny. Akurat w tym czasie Szymon popadł w kłopoty finansowe, gdyż budowa oficyny kosztowała więcej, niż się spodziewał, a jednocześnie stracił kilku dużych odbiorców oleju. Baruch Papenguth zmarł rok wcześniej i jego sieć dystrybucji przez kupców żydowskich straciła swoje znaczenie. Musiał więc Szymon sam zająć się handlem, kupić platformę do transportu beczek z olejem i zatrudnić dodatkowych pracowników. To wszystko kosztowało, a trzeba było spłacać zaciągnięte kredyty. Były to jednak kłopoty dosyć krótkotrwałe, w latach dwudziestych gospodarka szybko zaczęła się rozwijać, wzrosł popyt na surowce, w tym także na oleje produkowane przez Szymona.

Bankowość była dobrze rozwinięta już w okresie stanisławowskim, o czym pośrednio świadczyły głośnie bankructwa. W roku 1785 głośna była upadłość Herszka Markowicza, w której przepadła ogromna, jak na owe czasy suma 2 mln złp. Markowicz był Żydem z Mszczonowa, który miał także kantor w Warszawie, gdzie z jego usług korzystało wielu dygnitarzy. Inny bankier w tym okresie Maciej Łyszkiewicz podczas krachu kantoru zataił swój majątek i po wyjściu z więzienia stał się człowiekiem bardzo zamożnym. Taki sposób bogacenia się poprzez upadłość trwał cały XIX wiek. Okres prosperity przed powstaniem listopadowym sprzyjał ludziom rzutkim, ale także i aferzystom. Przemysł i handel rozwijały się dzięki inicjatywom ministra Druckiego-Lubeckiego, ale ten wczesny kapitalizm rządził się wilczymi prawami. Taki np. Henryk Łubieński, człowiek niezwykle rzutki, współorganizator Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, potem wiceprezes Banku Polskiego - wykorzystał swoje stanowisko i używał kredytów publicznych na prywatne interesy, za co został skazany na wieloletnie więzienie, a bank przejął liczne przedsiębiorstwa rodziny. Inny biznesmen tego okresu, Piotr Steinkeller, któremu - wydawało się - szło tak świetnie jak rzadko komu, doprowadził swoją firmę do bankructwa, ale był na tyle uczciwy, że - jak świadczą jego biografowie - dołożył wszelkich starań, by ratować interesy swoich wierzycieli i honor domu. Liczne bankructwa były niezawinione, po prostu zawodziły kalkulacje, brakło zbytu, przychodził niespodziewany zastój, nie wpływały pewne, jak się zdawało, pieniądze.

Na Bednarskiej te zjawiska występowały w swojej małej skali, co uwidaczniało się w licznych licytacjach mienia. Trafiaty się takie wielkopańskie przedmioty, jak *„kareta, bryczka kryta i sześć koni z zaprzęgiem.”* Częściej jednak był to skromny dobytek kupca czy rzemieślnika taki, jak np. *„stół, łóżko, deski sosnowe i olszowe kóp 20”*. Wyprzedaże wyposażenia sklepów, względnie odstępowanie samych lokali sklepowych świadczyły o niestabilności handlu w tej okolicy. Fabrykanci mieli się na Bednarskiej znacznie lepiej, ich firmy rozwijały się i przynosiły dochody, przynajmniej do feralnego roku 1831. Przy Bednarskiej nie brakowało też różnych magików oferujących np. *„wodę aromatyczną konserwującą twarz, ręce i szyję”* z powołaniem się na pozytywną opinię stowarzyszeń lekarskich. Tego rodzaju anonse spotykały się czasem z pisemną polemiką oburzonych lekarzy i farmaceutów.

Przez kilka następnych lat Szymon ciężko pracował, aż w maju roku 1822 jego rodzina powiększyła się o córeczkę, której nadano imię Józefa, po starym Millerze. Była więc już dwójka dzieci, ale interesy szły dobrze, więc niczego rodzinie nie zbywało. „Kurjer Warszawski” w dniu urodzin małej Józji tj. 9 maja 1822 roku, donosił na pierwszej stronie o ślubie „JW. Stanisława Hrabi Grabowskiego, Senatora, Kasztelana, Ministra Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego z Hrabianką Julją Zabiełło. Ślub dawał JW. Arcy-Biskup Prymas Hołowczyc otoczony Prałatami i Kanonikami.” Było też interesujące doniesienie z ulicy Bednarskiej o treści:

***Podpisany uprzywilejowany operator, mieszkający w domu Nr. 2672 na 2 piętrze ulicy Bednarskiej, poleca się Szano. Publi. z operowaniem rozmaitych w ciało wrosniętych paznokci, wkorzenionych od dawna na gniotków i brodawek, bez najmniejszego bólu. Kto by sobie operacji nie życzył, może użyć plastru który podpisany posiada, i te same skutki nie zawodnie sprawi. Przy tem znajduje się u podpisanego aprobowany balsam, flaszeczka po zło. 3. Używający go do umycia przekona się w parę minut, że twarzy i rękom szczególną białość, delikatność i czystość nadaie; dostać go można w sklepie Ubogich na Krak: Przedm. i u ni-
-żej podpisanego. Jan Babtist Schneider przytulicy Bednarskiej.***

Kolejny szarlatan i cudotwórca o tyle dla nas interesujący, że bliski dosyć sąsiad Szymona i jego rodziny. Być może był to cyrulik saski, sądząc po nazwisku.

Budowa oficyny została zakończona, olejarnia działała w pomieszczeniach parteru, a Szymon z rodziną mieszkał na pierwszym piętrze. Drugie piętro stało na razie puste, ale szybko powiększająca się gromadka dzieci będzie wkrótce wymagała powiększonej przestrzeni życiowej. Następną córeczką Szymona i Marianny zmarła niestety zaraz po urodzeniu w 1824 roku. Kolejny syn Karol przyszedł na świat w 1825 roku. Tego dnia w piątek 7 marca „Kurjer Warszawski” donosi, że „cztery paki z modelami do posągu Kopernika stanęły w Berlinie i tu nadejdą wkrótce”. Autorem tych modeli był duński rzeźbiarz Bertel Thorvaldsen. Ufundowany przez księdza Stanisława Staszica, odsłonięty został 11 maja 1830 przez Juliana Ursyna Niemcewicza. Stał przed Pałacem Staszica w Warszawie, ówczesną siedzibą Towarzystwa Przyjaciół Nauk. W czasie II wojny światowej Niemcy zastąpili tę tablicę, inskrypcją w języku niemieckim. W 1944 przeznaczony przez hitlerowców na złom i wywieziony do huty, cudem ocalał przed przetopieniem. Wierne kopie tego pomnika znajdują się w Montrealu i Chicago. Sam pałac został przez zaborcę przebudowany na cerkiew, a w czasie powstania warszawskiego zrównany z ziemią.

Karol, jako jedyny z całej rodziny, urodził się poza granicami ówczesnej Warszawy, we wsi Górcie w parafii Babice. Była to wieś rycerska należąca do bardzo bogatej i wpływowej rodziny Pielgrzymów. W roku 1408 Piotr Pielgrzym kupił za 200 kóp groszy praskich najwyższą władzę w Warszawie – wójtostwo warszawskie i godność burmistrza, piastując je przez prawie 60 lat. W późniejszych czasach wieś należała kolejno do: Mikołaja Kazuba, rodziny Zdziarskich, skarbnika sochaczewskiego Szymanowskiego, kapitana wojsk koronnych Malinowskiego oraz do wojewody smoleńskiego Piotra Sapiehy. Dwa lata wcześniej Szymon wystarał się o prawo propinacji i wydzierzałwił ziemię w celu produkcji wódek, gdyż był to bardzo opłacalny interes. Dzisiaj jest to rejon ulicy Górczewskiej w Warszawie, niezbyt odległy od centrum, ale Szymon zabrał z sobą żonę do wynajmowanego domku i tam właśnie urodził się Karol. W marcu 1826 roku odbył się jego chrzest, lecz chłopczyk urodził się znacznie wcześniej, gdyż 30 listopada 1825 roku o godzinie 3. nad ranem. Jako

świadkowie chrztu wystąpili: Karol Wutmann , „*propinator w Marymoncie zamieszkały*” oraz Jakub Jeżewski, „*dozorca konsumcyjny*”, co zapewne oznaczało poborcę podatku od alkoholu produkowanego przez panów propinatorów. Rodzicami chrzestnymi zostali wspomniany Karol Wutmann oraz Marianna Markowska.

W tym czasie zapoczątkowano na Mazowszu uprawę ziemniaków. Początki uprawy tej nowości w Polsce były niełatwe. Patrzono z politowaniem na dziwaka Skarbka, przyszłego fundatora teatru, gdy pierwszy w Galicji Wschodniej wysadził 1 000 kartofli. Poeta wielkopolski Franciszek Morawski wspomina, że w dworcu jego dziadka podawano dziwaczną, cudzoziemską strawę, którą kucharz w niewiedzy ugotował wraz z liśćmi. Brakło przekonania i doświadczenia. Na wiosce podkarpackiej pod Krosnem chłopski zbiór ziemniaków dawał jeszcze w połowie stulecia tyle, że ledwie starczyło do sadzenia i kilkanaście na Wigilię, jako wielki rarytas. Rozmaicie stronami nazywane (pyrki, grule, brambory, szwaby) rozpowszechniały się powoli. Dopiero gorzelnictwo przyniosło im wielki rozkwit i rozpowszechnienie upraw, z czego korzystał także Szymon



6. Pałac Staszica i pomnik Kopernika 1840 r.

Na koniec roku 1829 rodzina Szymona powiększyła się o kolejnego syna Mikołaja urodzonego w grudniu 1829 r. Wtedy właśnie Marianna z dziećmi przeniosła się na ostatnie piętro oficyny, a Szymon urządził sobie biuro i sypialnię na pierwszym piętrze. Mógł tam odpocząć bez ciągłego hałasu, jaki sprawiała liczna już gromadka dzieci. W tym czasie nie zajmował się już dzierżawą ziemi i propinacją.

Tymczasem car Mikołaj I zaostrzał cenzurę i coraz częściej łamał konstytucję Królestwa Polskiego. Buntownicze nastroje w narodzie powodowała też fala rewolucji w Europie, niepodległość odzyskały Grecja i Belgia, rewolucja wybuchła we Francji. W rezultacie wybuchło powstanie

listopadowe, którego skutki dla Warszawy i całego narodu były opłakane. Do sprzysiężenia Piotra Wysockiego należało 177 oficerów i podchorążych, ale nie było żadnego starszego oficera powyżej stopnia kapitana. Podchorążowie usiłowali skłonić gen. Stanisława Potockiego do objęcia dowództwa, ale ten odmówił i został zabity. Podobny los spotkał generała Maurycego Haukego (był ministrem wojny) oraz pułkownika Filipa Meczysławskiego, szefa sztabu artylerii. Pomyłkowo zastrzelono jadącego karetą gen. Józefa Nowickiego, weterana napoleońskiego, powszechnie szanowanego za głęboki patriotyzm. Został wzięty za rosyjskiego gubernatora stolicy gen. Michaiła Lewickiego. Jeszcze trzech generałów polskich zginęło tej nocy. Byli to gen. Stanisław Trębicki, gen. Tomasz Siemiątkowski i gen. Ignacy Blumer. Omal nie zginął gen. Sowiński, późniejszy sławny obrońca Woli. Uratowała go proteza nogi, którą stracił pod Borodino i fakt, iż nie był uzbrojony. Pomordowani generałowie nie byli sługusami Rosji, historycy przypisują im motywacje etyczne, wierność przysiędze. Przede wszystkim jednak zdawali sobie oni z ogromnej dysproporcji sił i nieuchronności klęski powstania, co wkrótce nastąpiło.

Upadek powstania doprowadził do załamania koniunktury i impas w procesie rozbudowy Warszawy. Jednakże w dziejach ulicy Bednarskiej nie zauważa się żadnej z tych tendencji. Zupełnie odwrotnie-w latach trzydziestych koniunktura budowlana i handlowa wyraźnie się poprawiła. Przybyło w tym czasie dziewięć nowych budynków oraz dwa hotele. Pod nr 6 (2684) otwarto hotel „Nadwiślański”, a pod nr 7 (2682) reprezentacyjny hotel „Bawarski”. Powstał też niższej kategorii zajazd „Mazowiecki” zbudowany pod nr 18 (2689).



7. Hotel Bawarski

W latach 1832-35 naprzeciw łaźni Ciemskiego powstały nowe, należące do Teodozji Majewskiej. Wejście do łaźni zdobił imponujący, sześciokolumnowy portyk z rzeźbami Pawła Malińskiego. Można go podziwiać i dzisiaj.

Usługi w tych łaźniach stały na wysokim poziomie i nie były drogie. Za pół rubla można było w 1935 roku wykąpać się, ogolić i dostać coś do picia. Funkcjonowała zbiorowa łaźnia parowa i łaźnie osobowe, czyli pojedyncze, nieco droższe. Oferowano też kąpiele w wywarze z ziół, żelazne i siarczane. Małżonek Teodozji Józef Majewski oferował w tym przybytku wyrafinowaną kuchnię dla

gości korzystających z kąpeli i przybywających ze wschodniej strony Wisły. Bywał tam Szymon, najczęściej w soboty, aby po tygodniu pracy w olejarni zmyć z siebie brudy i porządnie zjeść. Jako bliski sąsiad łaźniaków znał doskonale małżonków Majewskich. Odwiedzmy z nim ów przybytek.



8. łaźienki T. Majewskiej 1838 r.

Poprowadził Szymona grzeczny i czysto ubrany jegomość do małego pomieszczenia, gdzie dostał wszystkie potrzebne rzeczy, czyli ręczniki cienkie, prześcieradło-jak zapewnił go kąpielowy-zagraniczne i mydło. Z rozkoszą zanurzył się w drewnianej wannie umieszczonej w wydzielonej, pełnej pary, kabinie. W tym czasie produkowano już wanny metalowe, jednak większość gości łaźniaków wolała te drewniane. Po kąpeli i goleniu Szymon spotkał się z Józefem.

-Co mi dzisiaj polecisz ze swej kuchni, przyjacielu?- spytał gospodarza.

-Wyśmienite dania Szymonie, dla ciebie specjalnie polecam zająca szpikowanego z sałatą- zachwalał swój lokal Józef.

-Nie przepadam za dziczyzną-rzekł Szymon-Masz może co innego?

- Proponuję więc cielęcinę z kremą lub po huzarsku. Może też być bigosik z kapłona, pekelflejsz na gorąco z chrzanem, sznycel po wiedeńsku, flaki i różne ryby-wymieniał Józef.

Ostatecznie Szymon zdecydował się na flaki i pekelflejsz, danie wyśmienite i wymagające bardzo skomplikowanego przygotowania. Wpierw trzeba było mostek wołowy peklować przez 7-10 dni, potem danie gotowało się przez 3 godziny. Miękkie mięso wyjmowało się z wywaru i natychmiast wkładało do zimnej wody, aby pozostało soczyste. U Józefa podawano je pokrojone w plastry z chrzanem i kiszonym ogórkiem, jako przekąskę lub jako danie obiadowe na gorąco. Gospodarz przysiadł do Szymona i choć sam nie jadł to wypił z nim ćwiartkę gorzałki rozmawiając o tym, co się na Bednarskiej buduje.

-Widziałeś tą nową kamienicę Stołkowskich? Jeszcze w budowie, ale widać będzie okazała-rzekł Józef.

-Tą pod numerem 17?- spytał Szymon. -Pewnie będzie to najwyższy dom u nas na Bednarskiej.

-Niewątpliwie- zgodził się Józef-to przez ten spadek terenu na naszej ulicy trzeba sutereny od wschodniej strony wysoko podnosić.

-Mnie też czekają remonty, gdyż niedawno znowu Wiśła zalała mi łazienki, tynki odpadają i wilgoć wszędzie. Fundamenty trzeba osuszyć, a potem smołą uszczelniać-narzekał Józef.

Szymon pożegnał się Majewskim i ruszył do domu. Miał wreszcie trochę czasu, aby poświęcić go dzieciom. Z Marianną żyło mu się dobrze, żona była gospodarna, dbała o dom i dzieci. Jako rodzina dosyć zamożna zatrudniali służącą i piastunkę do dzieci. Była ich w tym czasie czwórka, dwie dziewczynki i dwóch chłopców. Najmłodsza Konstancja urodziła się wiosną 1833 roku. Służąca Stasia od kilku już lat wykonywała najcięższe prace takie jak palenie w piecach, pranie, sprzątanie i gotowanie posiłków. Piastunki zmieniały się natomiast dość często. Pierwsza upiła się i wypadła z okna na pierwszym piętrze wraz małym Augustem. Jej stan po upadku był ciężki, dziecko na szczęście doznało tylko lekkich potłuczeń.

Podobny przypadek opisywała znana w XIX wieku pisarka Klementyna z Tańskich Hoffmanowa, której rodzice byli ludźmi towarzyskimi, lubili się bawić i całe tygodnie spędzali w różnych gościnach, zostawiając dzieci pod opieką służby, wspominała w swych pamiętnikach: „*Mnie piastunka, upiwszy się, upuściła i przesunęła mi się łopatka*”; *literatka chorowała z tego powodu przez całe życie.* „ Dziecku czasem groziło niebezpieczeństwo i ze strony pijanej matki, na co też można znaleźć przykłady w kronice wypadków. „Kurier Warszawski” doniósł np. w 1845 r. - nie było to zresztą zdarzenie odosobnione - że żona kucharza zadusiła czteromiesięczne niemowlę, karmiąc je po pijanemu. Wśród służby, „*zanadto wierzącej w półkwaterek*”, wyróżniały się kucharki, lubiące sobie dobrze pociągnąć. Felicjan Faleński twierdził w kronice „Kłosów” z 1867 r., że w tym celu udawały się do popularnego w owych kręgach „Karasia” na Krakowskim Przedmieściu, bo tam, nawet gdy było zamknięte, dostało się wódki „przez sień”, a do tego jeszcze „z doliwką”. Dla tej właśnie „doliwki” pijaczkowie z całego miasta ciągnęli do „Karasia”. Był to jeden z podrzędniejszych szynków, chociaż mieścił się w pałacu przy Oboźnej, niezbyt daleko od Bednarskiej. Wokół niego zawsze gromadzili się ludzie bez zajęcia, często bezrobotni nie tyle z konieczności, ile z wyboru. Główna izba tej straszliwej spelunki pełna była zaduchu i błota. Klientom oferowano tu „*niebieskie od pleśni pomarańcze, nadpsute jabłka, rzodkiew, bułki, salcesony i pierniki oraz podejrzone zupy postne i mięsne po 11,5 kop. za porcję*”, które spożywali na bruku pod murem. Nad ranem jednakże nawet „Karaś” bywał niedostępny, a „spragnionych” przyciągał wtedy bufet III klasy - otwierany wczesną porą - na dworcu Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, gdzie można było posiedzieć na twardych ławach poczekalni, póki pijaczków nie przepędzili funkcjonariusze z „*żandarmsko-policyjnego zarządu dróg żelaznych*”. To jednak możliwe było od roku 1845, kiedy to dworzec ten oddano do użytku. O ten półświatek ocierał się Szymon, ale rzecz jasna do „Karasia” nigdy by nie zaszedł, tak fatalną opinią cieszył się ten przybytek rozpijania biedoty. Przez wisko „*łobuz spod Karasia*” stanowiło najgorszą obrazę w tej części stolicy, której się płazem nie puszczało.

Trwała dalsza zabudowa ulicy Bednarskiej, a że wolnych terenów zaczynało brakować sięgano po starsze budynki. W roku 1828 podzielono posesję dawnego pałacu Ludwiki Zamoyskiej przy Krakowskim Przedmieściu (działka nr 369), dzięki czemu pas gruntu od Bednarskiej wraz ze starą oficyną pałacową oznaczono nr 369b. Jej właścicielem był Symeon Jan Werner, referendarz stanu i

dyrektor Loterii Królestwa Polskiego. On to w roku 1834 wystawił tam dwupiętrowy dom z frontem od ulicy Bednarskiej, który otrzymał nr 26. Ten zasłużony dla cara obywatel urodził się w roku 1800 i jak widać z zamieszczonego niżej nekrologu („Kurjer Warszawski z r. 1857, nr 52) zmarł 57 lat później doczekawszy się wielu orderów i odznak honorowych. Pozostawił też pewnie spory majątek swojej licznej rodzinie. Wiedzę o jego życiu i pełnionych funkcjach pokazuje ten nekrolog.

Radca Stanu, Symeon-Jan Werner, Naczelnik Urzędu Loterii Królestwa, Kawaler Orderów: Śgo WŁODZIMIERZA klasy 3ej, Śtej ANNY i Śgo STANISŁAWA klasy 2giej, i Znak Honorowego, po długiej i ciężkiej chorobie, opatrzony ŚŚ. SAKRAMENTAMI, w dniu wczorajszym życie zakończył. Pograżona w nieutulonym żalu Żona wraz z Dziećmi i Wnukami, zaprasza Krewnych, Przyjaciół, Kolegów i Znajomych nieboszczyka, na exportację zwłok Jego, w dniu jutrzejszym, o godz. 4tej po południu, z domu Loterji, na smętarz Powązkowski odbyć się mającą.
Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności, ma honor prosić Opiekunki i Członków Towarzystwa, ażeby dla uczczenia zasług ś. p. Radcy Stanu Symeona Werner, od przeszło 30tu lat czynnego Członka, następnie Prezesa Wydziału Ekonomiczno-Administracyjnego, a ostatecznie Vice-Prezesa Administracji Ogólnej Towarzystwa, raczyli znajdować się na wyprowadzeniu zwłok Nieboszczyka, jutro odbyć się mającem.
Dnia 26go b. m .
w Kościele XX. Bernardynów,
o godzinie KP/a z rana, odbędzie się żałobne Nabożeństwo za spokój duszy ś. p. Józefa Orłowskiego, Prowizora Farmacji; na które, pozostały Brat z Siostrą, zaprasza Krewnych, Przyjaciół, Kolegów i Znajomych zmarłego.

Wspomniany już hotel „Nadwiślański” powstał w latach 1836-37, był to olbrzymi budynek wybudowany w dwóch etapach pod nr 6 (2684).

Spory teren zajmowała też zabudowana kamienicą nr 10 (2687b) działka Lipińskiego, który resztę tej posesji (2687) wynajął „poczthaltery”, czyli stacji pocztowej dla dyliżansów. Tadeusz Lipiński, urzędnik państwowy, wybudował tam duże stajnie i wozownie, z których korzystali także dorożkarze. Lipiński był w tym czasie właścicielem trzech domów frontowych przy Bednarskiej (nr 10-14), w których zamieszkiwali głównie stangreci i dorożkarze. Nieco później kupił też czwartą kamienicę na rogu ulicy Sowiej pod nr 4. Szymon zaraz po swoim przybyciu do Warszawy w 1815 roku zatrzymał się w pobliskim domu pod nr 13.

W roku 1936 rozpoczęto budowę domu należącego do Józefa Neugebauera, a mieszczącego hotel „Bawarski”. Były tam też zwykłe mieszkania, a w jednym z nich zajmowanym przez Włodzimierza Wolskiego spotykali się od roku 1838 młodzi poeci określani mianem cyganerii warszawskiej.

W latach rozwoju gospodarczego przybywało sporo nowych hoteli, gdyż coraz więcej ludzi przyjeżdżało do Warszawy w interesach. To dla nich powstawały opisywane tutaj hotele na Powiślu, a w centrum miasta takie miejsca jak ekskluzywne hotele „Saski, „Angielski” czy „Rzymski”. Nie wszystkich było stać na nocleg w tych przybytkach, nocowano więc w oberżach. Jedną z nich na Bednarskiej opisał w liście jej niezadowolony klient.



9. Karczma na Powiślu ok. 1838 r.

Żalił się, że pokój w oberży był mały i wyposażony w łóżko tylko z siennikiem. Pomieszczenie przede wszystkim było ciemne, dlatego nawet za dnia człowiek potrzebował zapalonej świecy, w którą sam musiał się zaopatrzyć płacąc z własnej kieszeni.

W tymże roku 1836 przyszła na świat Marianna, która przeżyła tylko 7 miesięcy i zmarła 9 lipca. Zdarzenie to zgłosił ojciec dziecka wraz ze świadkiem Antonim Szaciłowskim, który był nauczycielem. Dziecko zmarło w Warszawie przy ulicy Zakroczymskiej nr 1852, gdzie jego matka szukała pomocy u znajomej położnej.

Około roku 1840 ulica Bednarska była już prawie całkowicie zabudowana. W dolnej części stały budynki, co najwyżej piętrowe o wydłużonych elewacjach. Na odcinku środkowych dominowały kamienice dwupiętrowe, a na odcinku górnym wąskie kamieniczki w układzie szczytowym. Po roku 1841 ruch budowlany zamarł tam całkowicie, gdyż nie było już wolnych terenów za wyjątkiem trzech niezabudowanych działek.

Była to ulica nader często uczęszczana z uwagi bliskość Wisły i efektowną zabudowę. W wolne dni było tu mnóstwo spacerowiczów, urządzano też pochody z okazji niektórych świąt. Tak opisywano w roku 1839 pochód z okazji tradycyjnych wianków: *„Tysiące ludu napełniło ulicę Bednarską, dążąc ku Wiśle i jednocześnie rozwarły się obustronnie okna, a mnóstwo pań i panów przypatrywało się przechodzącym. Zbliżywszy się ku brzegowi rzeki przeprawa była trudniejsza. Na wschodach kamiennych łazienek Majewskiego, jakby na amfiteatrze jakim, zebrało się dla wypoczynku liczne grono kobiet, a mężczyźni przypatrując się takowym mimowolnie tamowali przechód”*.

Tymczasem dzieci Szymona dorastały, a on sam podupadł na zdrowiu i przeniósł się do kamienicy swojej żony przy Rynku Starego Miasta pod numerem 49. Ich córka Paulina Władysława urodziła się jeszcze na Bednarskiej na krótko przed świętowaniem wianków, gdyż 22 czerwca 1838 roku, ale ochrzczona została dopiero trzy lata później 30 maja 1841 roku. W tym czasie rodzice mieszkali już w domu będącym wianem Marianny Miller, a Szymon zajmował się przede wszystkim handlem olejami, a nie ich produkcją. Ojcem chrzestnym dziewczynki został Antoni Tołoczko, który przejął od

Szymona tłoczną oleju, a matką chrzestną Rozalia Ciechanowska, zaprzyjaźniona z liczącą już 43 lata Marianną. Świadkiem był kuzyn Szymona Stanisław, który prowadził z nim wspólny interes na Bednarskiej. Tak znaczne opóźnienie w chrzcie musiał Szymon wytłumaczyć księdzu wikaremu metropolii warszawskiej Augustowi Siekluckiemu. Wyjaśnił zatem, że tak długo szukał kumów, czyli rodziców chrzestnych. Było to w owych czasach zobowiązanie poważne, gdyż rodzice często umierali, a nieletni przechodzili na utrzymanie rodziców chrzestnych. Musieli oni więc być na tyle majątni, aby zapewnić chrześniakom wykształcenie i utrzymanie do czasu ich pełnoletniości. Kolejna córka Szymona przyszła na świat 15 marca 1840 roku o godzinie 6. rano, ale została ochrzczona razem ze swoją starszą siostrą Pauliną. Ojcem chrzestnym został Stanisław Eborowicz, a matką Marianna Tołoczko. Otrzymała imiona Felicjanna Marianna i to właśnie ona miała zostać matką naszej prababki Zofii. Stanisław już nie prowadził karczmy, a razem z Szymonem zajmowali się handlem nie tylko olejami, ale także prowadzili hurtownię alkoholi w oficynie przy Bednarskiej. Hurtownia ta formalnie była zarejestrowana na żonę Szymona, ale prowadził ją Stanisław, a pomagali mu dorastający synowie Szymona Mikołaj i Karol.

Ledwo kilka miesięcy wcześniej odbył się ślub najstarszej córki Szymona Józefy. Było to wielkie wydarzenie w życiu rodziny Eborowiczów, gdyż po raz pierwszy wydawali swoje dziecko za mąż. Ich syn pierworodny August nie śpieszył się do małżeństwa, mimo że był starszy od swojej siostry. Jednak wiek 22. lat nie był uznawany w tym czasie, za właściwy dla młodzieńca, który nie miał żadnych chęci do przejęcia interesów po ojcu, a interesował się malarstwem i muzyką. Ostatecznie wybierze muzykę, zaczął nawet naukę w Szkole Dramatycznej i Śpiewu, ale została ona zlikwidowana przez władze rosyjskie po powstaniu listopadowym. August ukończy później konserwatorium w Petersburgu i sam zostanie wykładowcą w Warszawskim Instytucie Muzycznym reaktywowanym w roku 1861 przez Apolinarego Kątskiego. To tam August będzie wykładał przedmiot zwany elementarne zasady muzyki.

Na razie jednak przyjechał na ślub siostry z dużo starszym od niej Ludwikiem Szletyńskim, który odbył się 1 października 1840 roku. Pan młody pochodził z Królewca i urodził się w roku 1804. W młodym wieku wstąpił do Wojska Polskiego Królestwa Kongresowego. Jego ojciec Konstanty administrował majątkiem ziemskim w okolicach Królewca, a matka Wilhelmina pochodziła ze zubożałej rodziny junkrów pruskich. Ludwik służył początkowo w 4. Pułku piechoty liniowej, a potem w 7. Pułku. Przed wybuchem powstania listopadowego dosłużył się stopnia podporucznika, potem walczył w powstaniu m.in. w bitwie pod Stoczkiem w lutym 1831 roku. Za zasługi w tej bitwie w marcu 1831 roku Ludwik Szletyński otrzymał awans do stopnia porucznika, o czym donosił „Kurjer Warszawski” w nr 437 z dnia 2 marca. Znajdziemy tam także opis kilku mniejszych potyczek z rejonie Kazimierza, w których brał udział batalion Szletyńskiego. Powstanie Listopadowe upadło ostatecznie 21 października 1831 roku, gdy skapitulowała twierdza Zamość. Tysiące powstańców zmuszonych zostało do ucieczki przed represjami na emigrację. Większość podoficerów i szeregowców armii powstańczej została przez władze Austrii i Prus odesłana pod eskortą na teren Królestwa Polskiego. Po powrocie zostali oni przymusowo wcieleni na 25 lat do armii carskiej. Oficerów wcielono do armii carskiej i wysłano na Kaukaz, gdzie musieli tłumić niepodległościowe zrywy tamtejszych górali.

Po klęsce powstania porucznik Szletyński został zwolniony za służby i zamieszkał w Warszawie bez żadnych środków utrzymania, za wyjątkiem niewielkich kwot, które przysyłał mu ojciec. Ten jednak wkrótce zmarł i sytuacja życiowa jego syna uległa dalszemu pogorszeniu. W roku 1832 działała już Komisja Wsparcia dla byłych oficerów, która w kwietniu 1832 przyznała zasiłek roczny dla 120 byłych oficerów. Taki zasiłek w wysokości 700 złotych polskich otrzymał też Ludwik Szletyński. Rok później został on pozytywnie zweryfikowany przez władze carskie i wstąpił w szeregi policji. Mimo pięknej karty powstańczej prawie 30. letni wówczas porucznik zdecydował się służyć zaborcy z prozaicznych powodów materialnych. Na początek został pisarzem Cyrkułu VII z pensją 225 rb. rocznie. Po awansie na adiunkta pobierał już 300 rubli rocznie. Zanim uzyskał odpowiednie do utrzymania rodziny stanowisko, minęło lat kilka i wtedy właśnie wypatrzył ciemnowłosą Józefę, kiedy spacerowała nad Wisłą. Szybko dowiedział się, że jest to córka Szymona Eborowicza prowadzącego olejarnię na Bednarskiej. Jego przełożony i przyjaciel, też zatrudniony w policji Tomasz Zieliński, pomógł mu nawiązać kontakt z Szymonem i dogadać się w sprawie małżeństwa. Kontraktu ślubnego nie zawarto, posag dostała Józefa w gotówce i w wyposażeniu mieszkania.

Po dwóch latach od pierwszego spotkania w parafii św. Aleksandra odbył się ślub Ludwika i Józefy. Świadcami tej ceremonii wpisanymi do aktu zawarcia małżeństwa byli sekretarz gubernialny Aleksander Kamionowski mieszkający przy Krakowskim Przedmieściu pod nr 389 oraz urzędnik administracji okręgu naukowego Feliks Dorantowicz mieszkający przy ulicy Marszałkowskiej nr 1370. Pan młody był w tym czasie sekretarzem gubernialnym i kawalerem orderu św. Stanisława V klasy. To czysto polskie odznaczenie zostało po 1831 roku włączone do katalogu odznaczeń Imperium Rosyjskiego. Order nadawany był corocznie podczas majowych uroczystości ku czci św. Stanisława 8 maja w kościele św. Krzyża w Warszawie. Do otrzymania orderu należało m.in. udowodnić szlachectwo poprzez podanie 4 herbów ze strony ojca (po mieczu) i 4 ze strony matki (po kądzieli). Nieco inaczej wyglądały te zasady za rządów carskich. Było to najniższe rangą odznaczenie pod nazwą Cesarsko-Królewski Order Św. Stanisława – przyznawany był m.in. za zasługi w rusyfikacji. Dlatego po odzyskaniu niepodległości nie odnowiono tego odznaczenia i zabroniono jego noszenia.

Ludwik Szletyński mieszkał wówczas przy ulicy Mokotowskiej pod nr 1661 w mieszkaniu służbowym, na które otrzymywał dodatek 150 rb. rocznie. Jako urzędnik państwowy musiał przedstawić zgodę na zawarcie małżeństwa wydane przez „*generała Policmajstra Czynnej Armii, p.o. Oberpolicmajstra miasta Warszawy*”. Był nim oberpolicmajster Andrzej Storożenko, któremu podlegał Szletyński od roku 1833. Rosjanin ten przewodził od początku niesławnej pamięci Stałej Komisji Wojenno-Śledczej powstałej w kwietniu 1833 roku, w związku z odradzającą się po upadku powstania listopadowego działalnością konspiracyjną. Po zdławieniu partyzantki Józefa Zaliwskiego Namiestnik Królestwa Polskiego i Głównodowodzący Armią Czynną feldm. Iwan F. Paskiewicz, na mocy ustawy Wojskowego Kodeksu Karnego upoważniającego głównodowodzącego armii do tworzenia komisji śledczych i sądów, polecił warszawskiemu gubernatorowi wojennemu – gen. Janowi hr. de Witt - zorganizowanie w Warszawie Specjalnej Komisji Śledczej do spraw Politycznych. Szczegółową instrukcję dotyczącą utworzenia Komisji, 1 IV 1833 r. de Witt przekazał do wykonania generał-policmajstrowi Armii Czynnej pułkownikowi korpusu żandarmów Andriejowi Storożence. Początkowo miała mieć ona charakter tymczasowy – jedynie dla zbadania sprawy partyzantki

Zaliwskiego. Otrzymała nazwę Komisji Śledczej dla Przestępców Politycznych. Wobec skuteczności jej działania, a także nieustającej działalności spiskowej, Komisja została przekształcona w stały organ sądowy i stała się główną instytucją do ścigania przestępstw politycznych, nie tylko na terenie Królestwa Polskiego, ale także ich powiązań poza granicami kraju.

Storożenko przeszedł w roku 1843 do pracy w Biurze Kontroli i Rachunkowości Komisji Rządowej Spraw Wewnętrznych i Duchownych, jako jej Główny Dyrektor, ale jednocześnie pełnił funkcję oberpolicmajstra, aż do roku 1850. Zastąpił go dowódca żandarmerii płk. Ignacy Abramowicz (1850-51), a potem Wasyl Gorłow (1851-56).

Weselne przyjęcie odbyło się w najlepszej restauracji na Krakowskim Przedmieściu, było ponad 100 znamienitych gości oraz rodzina Eborowiczów. Rodzice Ludwika już nie żyli, miał on jedynie starszego brata Szymona, który był niewidomy od urodzenia. Znakomity skrzypek zarabiał na swoje utrzymanie nauczając gry na skrzypcach i dając koncerty. Ludwik poczuwał się do opieki nad swoim niewidomym bratem. Na ślubie był też jego najbliższy przyjaciel, o dwa lata starszy Tomasz Zieliński, szlachcic z Galicji, wcześniej osierocony.



10. Tomasz Zieliński

Losy ich układały się podobnie, Tomasz zaczynał swoją karierę urzędniczą od najniższego stopnia aplikanta Biura Urzędu Muncypalnego z pensją 90 rb. rocznie. Stopniowo awansował dzięki swej pilności, a w lipcu 1829 roku wstąpił do policji. Z jego akt urzędowych wynika, że nie brał udziału w powstaniu listopadowym, ale musiał jednak konspirować, gdyż nie zaliczono mu do stanu służby kilku miesięcy z roku 1831. Podobnie było z Ludwikiem, ale on wstąpił do policji już po powstaniu i zataił w swoim życiorysie sporo szczegółów ze swoich dokonań w wojsku powstańczym. Zaliczono mu stopień podporucznika piechoty, lecz bez awansu w okresie powstania nadanego przez Rząd Narodowy, którego wszystkie uchwały i zarządzenia zostały unieważnione przez namiestnika Iwana Paskiewicza na rozkaz cara. W 1834 roku Zieliński otrzymał order św. Stanisława V klasy, ten sam który otrzyma Ludwik pięć lat później. To on właśnie zaopiekował się, a potem zaprzyjaźnił z Ludwikiem, kiedy ten zaczynał swoją karierę w policji warszawskiej. W tym czasie Tomasz był już p.o. komisarza Cyrkułu XI i podlegał bezpośrednio pod oberpolicmajstra Andrzeja Storożenkę. Wkrótce został komisarzem Cyrkułu VII z pensją 600 rb. rocznie i dodatkami na mieszkanie oraz

wydatki kancelaryjne. Wtedy właśnie poznał Ludwika, który zaimponował mu swoją służbą wojskową i pomagał mu w karierze, a mógł w tym czasie wiele, gdyż wszechmocny Storożenko bardzo go lubił i wspierał. Kiedy nabrali do siebie zaufania Ludwik opowiedział mu o swoim czynnym udziale w powstaniu, a Tomasz o swojej przynależności do Towarzystwa Patriotycznego Joachima Lelewela.

Ta radykalna organizacja, zwana też Klubem Patriotycznym, działała w czasie powstania i z powodu popełnienia samosądów na generałach księcia Konstantego została rozwiązana przez dyktatora powstania.

Tomasz Zieliński ożenił się wkrótce po rozpoczęciu kariery urzędniczej. Już w roku 1825 wziął za żonę córkę drukarza Tomasza Piętki, nieco trzpiotowatą, Teofilę, ale małżeństwo to pozostało bezdzietne. Ożenek swego przyjaciela uważał więc, za mocno spóźniony, ale cieszył się że mógł mu pomóc w wspinaniu się po szczeblach kariery w policji. Panowały tam prawa i obyczaje okrutne dla Polaków, gdyż rządy generała-gubernatora Iwana Paskiewicza z natury swojej nastawione były represyjnie. Policja miała dyskrejonalną władzę wymierzania chłosty stróżom, dorożkarzom, służbie domowej, prostytutkom i schwytanym na gorącym uczynku złodziejom. Surowość i okrucieństwo, te dwa określenia przewijają się najczęściej w przekazach z tego okresu. W jednej z publikacji zachował się opis sposobu postępowania z kobietami nierządny mi komisarza cyrkułu przy ul. Piwnej. Gdy był w złym humorze, posyłał stójkowych na Krakowskie Przedmieście, wydając przedtem dyspozycję -Przyprowadźcie no tu kapeluszowe! Ulubionym traktem spacerowym prostytutek na początku lat czterdziestych był deptak, najbardziej ożywiony i modny w mieście, dość krótki odcinek Krakowskiego Przedmieścia - od rogu ul. Senatorskiej do domu Malcza. Stójkowi wyławiali spośród przechodniów „kapeluszowe”, spacerujące w modnych nakryciach głowy, i dostawiali je do cyrkułu. Tu zaczynało się takie wymierzanie chłosty, że aż -jak to określił jeden z ówczesnych sędziów - „w niebie słychać było”. Po takiej akcji przez pewien czas na Krakowskim nie uświadczyciło się samotnej „kapeluszowej”, śmiało natomiast poruszały się one w towarzystwie wojskowych, którzy chętnie tym paniom asystowali.

Sądy natomiast działały wg organizacji powstałej w okresie Księstwa Warszawskiego. Szczególna rola w ściganiu przestępstw i wykroczeń przypadła w Warszawie, powołanemu w 1808 r., Wydziałowi Policyjno--Sądowemu, zwanemu też - Sądem Policji Prostej, działającemu przy magistracie. Wydział ten miał zapewnić szybkie i skuteczne ściganie najbardziej dokuczliwych naruszeń prawa. Instancją wyższą były Sądy Policji Poprawczej, prowadzące śledztwa nie tylko w sprawach przez nie same sądzonych, ale i w tych, które w pierwszej instancji rozpatrywał Sąd Kryminalny. W drugiej i ostatniej instancji rozstrzygały one sprawy z odwołania się od wyroków Wydziału Sądowo-Policyjnego. W praktyce jednak śledztwa w sprawach kryminalnych inicjowały Sądy Policji Prostej; one też „ustanawiały istotę czynu, zjeżdżały na miejsce przestępstwa, dopełniały sekcji zwłok na miejscu, gdzie je znaleziono, ustalały wszelkie okoliczności”. Również w 1808 r. powstał w Warszawie Sąd Kryminalny. W rzadkich przypadkach prowadził on samodzielnie śledztwa (np. w stosunku do niektórych urzędników), sądził natomiast - w trzeciej i ostatniej instancji - sprawy rozpoznawane w drugiej instancji przez Sąd Policji Poprawczej. W drugiej instancji wyrokował - z możliwością odwołania się do Sądu Apelacyjnego - w sprawach rozpoznawanych

przez Sąd Policji Poprawczej, jako pierwszą instancję, w pierwszej zaś instancji sądził sprawy wyłączone z kompetencji Sądów Policji Poprawczej.

Sąd Apelacyjny miał początkowo charakter wyłącznie cywilny. Od 1814 r. rozpoznawał on także odwołania od wyroków sądów karnych, a od 1835 r. stał się również drugą instancją od wyroków Sądu Kryminalnego. Najwyższą magistraturą sądową w epoce Księstwa Warszawskiego był Sąd Kasacyjny. W 1815 r. utworzono w jego miejsce Sąd Najwyższej Instancji, który - z wyjątkiem okresu powstania listopadowego - funkcjonował do 1842 r., potem jego kompetencje przejęły warszawskie departamenty Senatu Rządzącego. IX Departament przejął sprawy karne. Komplet sędziów X Departamentu zajmującego się sprawami cywilnymi składał się z pięciu senatorów lub członków senatu, przewodniczącego wyznaczał car. Bohaterowie tej opowieści obracali się w kręgach policyjno-sądowniczych, stąd pobieżna chociażby znajomość ich struktur w omawianym okresie, wydawała mi się wskazana. Dodajmy, że Ludwik Szletyński był funkcjonariuszem warszawskiej policji wykonawczej.

3

Szymon i Marianna wychowywali swoją 3. letnią córeczkę, gdy los ich obdarzył pierwszą wnuczką Anną. Jej ojciec był lekko rozczarowany, spodziewał się syna, ale dosyć późne ojcostwo i tak go ucieszyło. Chrzest dziewczynki odbył się w sobotę 13 listopada 1841 roku w parafii Panny Maryi i miał bardzo uroczysty charakter.



11. Kościół NMP w Warszawie ok. 1840 r.

Pod tą starą, warszawską świątynią stanęły eleganckie powozy i karety, porządku strzegło kilku żandarmów. Zabrakło jedynie proboszcza parafii, doktora teologii i prawa kanonicznego oraz sędziego apostolskiego Antoniego Kotowskiego, który w tym czasie zaniemógł. Za kilka miesięcy proboszcz ten dostanie nominację na biskupa sufragana łowickiego. Z konieczności w trakcie odbywającej się uroczystości zastąpił go wikary tej parafii ks. Józef Bracki i to on podpisał się pod aktem chrztu. Anna urodziła się 26 lipca tegoż roku, nie dziwi zatem, wybór dość rzadkiego w owych czasach imienia-patronki św. Anny. Drugie imię Leontyna dziecko otrzymało z powodu uwielbianej przez matkę aktorki Leontyny Halpertowej. Urodzona w 1803 roku w Puławach była artystką o

wielkiej skali talentu i dominowała na scenach stolicy przez długie lata. Grała zarówno role komediowe, jak i tragiczne, wykładała w Szkole Dramatycznej.

Jak pisał „Kurjer Warszawski”: *”... dzień był „przeplatany słońcem, wichrem i jaśniejącymi promieniami słońca; w południe przez kilka minut padał grad dość gruby, nawet wybijał szyby w Warsz.”*

Ceremonia chrztu odbywała się o godzinie 3. po południu, więc pewnie do tego czasu pogoda się poprawiła.

W kościele stawiała się cała rodzina Eborowiczów, a ze strony ojca dziecka brat jego Szymon oraz tłum urzędników policji i sądów, z których najwyższy stanowiskiem był Ignacy Turkuł. Minister-sekretarz stanu, członek Rady Państwa, kawaler wielu orderów. Urząd jego zwany formalnie Radą Stanu zniesiono ukazem carskim kilka tygodni wcześniej, ale nie zlikwidowano całkowicie. Był on w trakcie reorganizacji w wyniku, której powołano departamenty IX i X do spraw sądownictwa cywilnego i karnego, które to zbierały się pod nazwą Warszawskich Departamentów Rządzącego Senatu. Tam też znalazł dalsze zatrudnienie „Jaśnie Wielmożny” Ignacy Turkuł. Jego ojcem był Piotr Turkuł herbu Ostoja, a matką Otylia hrabina Krasicka z Siecina herbu Rogala. Ludwikowi daleko było do takich zaszczytów i funkcji, ale pilnie pracował i awansował w hierarchii służbowej. W czasie, gdy brał ślub, był zaledwie sekretarzem gubernialnym, ranga urzędnicza XII, stosunkowo niska, gdyż ostatnia ranga to XIV. Ale już w czasie chrztu córeczki był „sekretarzem kolegiatnym”, a to znaczyło, że osiągnął rangę X w dosyć krótkim okresie czasu. Nic dziwnego zważywszy na fakt, iż na tym samym chrzcie pojawiła się w charakterze matki chrzestnej sama Julia Storożenko, żona generała-oberpolicmajstra Andrzeja Storożenki. Trudno sobie wyobrazić bardziej znaczących towarzysko i materialnie rodziców chrzestnych, jak ta dama wspólnie z Ignacym Turkułem. W końcu Szletyński był policjantem dość niskiej rangi, niedawnym buntownikiem, a jego żona córką fabrykanta oleju. Czekali ich w końcu szlachectwo, gdyż lojalny wobec cara komisarz policji z czasem awansuje tak wysoko, że racji tego otrzyma upragniony patent, chociaż bez prawa dziedziczenia i bez herbu. W 1840 powstała Heroldia Królestwa Polskiego, która zajmowała się weryfikacją starych tytułów szlacheckich i opiniowaniem nowych, które nadawał car. Prowadziła ona trzy rodzaje ksiąg szlacheckich: 1. księgi szlachty dziedzicznej, która posiadała szlachectwo przed ogłoszeniem prawa; 2. księgi szlachty dziedzicznej, która nabyła szlachectwo po ogłoszeniu prawa; 3. księgi szlachty osobistej. Weryfikacja szlachty Królestwa, która w założeniu prawodawcy miała zakończyć się w ciągu dwóch lat, wskutek wielokrotnych prolongat trwała aż 25 lat. W tym czasie tylko 747 osobom przyznane zostało szlachectwo nowe (nabyte i nadane), z czego połowie szlachectwo osobiste, a ponad 17 tys. szlachty dawnej uzyskało potwierdzenie stanu. Wśród tych ostatnich znalazły się przede wszystkim osoby, które posiadały wymagane prawem dokumenty lub dysponowały odpowiednim funduszem na ich wyszukanie i były zainteresowane profitami, jakie dawało udowodnione szlachectwo. Zapewniało ono im uprzywilejowany status służby wojskowej, co dla szlachty nowej wiązało się ze zwolnieniem od przymusowego zaciągu, a dla dawnej ze skróceniem służby z 15 do 10 lat i dostępem do stopni oficerskich. Dawało także preferencje w dostępie do szkół szczebla średniego w Królestwie Polskim i wyższego w Cesarstwie oraz gwarantowało wolność od kar cielesnych i okuwania w kajdany w czasie śledztwa. Liczono także na ułatwienia w znalezieniu zatrudnienia i awans w urzędach. Rachuby na korzyści płynące z

posiadania szlachectwa udowodnionego, jak i emocjonalny stosunek do klejnotu szlacheckiego decydowały o podejmowaniu żmudnych i kosztownych zabiegów w celu jego potwierdzenia. Jediną drogą dla Ludwika Szletyńskiego do uzyskania szlachectwa był awans w hierarchii urzędniczej, nie liczyło się w jego przypadku pochodzenie matki, a on sam musiałby być właścicielem ziemskim lub posiadać stopień oficerski od kapitana w górę i nie brać udziału w powstaniu. Jak wiemy nie zdążył on awansować powyżej stopnia porucznika i nie miał czystego konta u władz carskich z powodu ostatniego awansu oficerskiego z nadania Rządu Narodowego.

Świadkiem opisywanej tutaj uroczystości wpisanym do księgi chrztów był też August Eborowicz, który kończył naukę w Szkole Muzycznej i wkrótce miał wyjechać do Petersburga na dalsze studia. Po raz pierwszy spotkało się tam dwóch muzyków, Szymon Szletyński i właśnie August, choć ten ostatni był dopiero adeptem i jego kariera rozwinie się po latach. Po ceremonii w kościele goście udali się na przyjęcie do tej samej restauracji na Krakowskim Przedmieściu, gdzie ponad rok wcześniej odbyło się przyjęcie weselne Ludwika i Józefy Szletyńskich.

Po wylewach Wisły w 1838 i 1839 roku przyszła w roku 1844 powódź ogromna, taka która zdarza się raz na sto lat. Tak opisywał ją „Kurjer Warszawski”:...*”woda zaczęła gwałtownie przybierać tak, że z rana 27 lipca doszła do wysokości stóp 22 cali 9, to jest wyżej, jak wszelkie podania lub pewne akta kiedykolwiek wykazywały. Samego drzewa, rozmaitego budulca i browarki średnio liczone na 40 000 sztuk, które woda uniosła. Prócz tego płynęły Wisłą rozmaite zabudowania, mosty, młyny wodne, stogi siana i różne przedmioty, które sprawiły, że most pływający przerwany został tak, że cząstkowo z wodą uszło 9 kafil.”* Ulicę Bednarską zalało do skrzyżowania z Furmańską, ale oficyna Szymona nie ucierpiała w tej straszliwej powodzi. Zaleje jego posiadłość inna powódź, która niespodziewanie przyszła nie od Wisły, a z góry, od Krakowskiego Przedmieścia w roku 1853. Nastąpiło to wskutek zniszczenia przez gwałtowne ulewy kanału ściekowego przy ulicy Karowej. Wody nagromadzone w kanale przerwały go i runęły w dół zalewając domy, które nigdy nie ucierpiały z powodu wylewów rzeki. Po powodzi w roku 1844 zawisło na Bednarską kolejne niebezpieczeństwo. Zaplanowano bowiem budowę stałego mostu przez Wisłę, a dojazd do niego miał się odbywać wiaduktem wzdłuż północnej strony ulicy Bednarskiej wzniesionym na 35 arkadach. Realizacja tego projektu autorstwa Henryka Marconiego doprowadziłaby do wyburzenia wielu domów i zabudowań na ich zapleczu. Na szczęście wybrano projekt Feliksa Pancera i poprowadzono zjazd z placu Zamkowego. Ponieważ nie starczyło funduszy na jednoczesną budowę mostu, skierowano ruch obniżającym się serpentynowo nasypem przez Dobrą do Bednarskiej. Rozwiązanie to eliminowało ruch z górnego, najbardziej zatłoczonego odcinka ulicy, ale zapowiadało zmierzch znaczenia Bednarskiej, jako arterii wylotowej na Pragę i w kierunku wschodnim.

Ludwik Szletyński doczekał się upragnionego syna niespełna rok po tej pamiętnej powodzi. Aleksander Wilhelm urodził się 6 kwietnia 1845 roku. Drugie imię z pewnością otrzymał po nieżyjącej już matce Ludwika. I znowu ten pierwszy potomek męski czekał na chrzest ponad trzy lata, tj. do 30 lipca 1848 roku. W międzyczasie na świat przyszła córka Michalina. Niestety już 28 lutego 1848 r. jej ojciec, będący w tym czasie komisarzem policji wykonawczej cyrkułu III., musiał

zgłosić jej zgon. Zamieszkiwał on z rodziną przy ulicy Długiej nr 586 R, ale ponieważ nie zgłosił narodzin córeczki, więc z blisko półrocznym opóźnieniem sporządzono jednocześnie akt chrztu i akt zgonu. Jako świadkowie wystąpili koledzy z pracy ojca Julian Niemirowski oraz Walenty Gajewski. Ojcem chrzestnym został Paweł Biernacki, a matką Eleonora Zanders. Nie jest znana przyczyna zgonu tej 5. miesięcznej dziewczynki, nie odnotował tego w akcie zgonu nr 99 wikary August Sieklucki, podał tylko godzinę „w pół do drugiej z południa”.

W czasie chrztu syna Ludwik Szletyński zamieszkiwał nadal przy ul. Długiej, ale jego dziecko urodziło się przy ulicy Świętojerskiej nr 1779 o godzinie czwartej po południu. Można przypuszczać, że jedno z wymienianych tu mieszkań było lokalem służbowym komisarza policji. Rodzicami chrzestnymi zostali Kajetan Suchowolski z Lucyną Dahl oraz Wojciech Pękalski, określany jako Naczelnik Wydziału, z Marcellą Eborowicz. Suchowolski był rzeczywistym radcą stanu i członkiem Senatu. To bardzo wysoka IV. ranga urzędnicza, odpowiednik stopnia generała-majora w wojsku. Jego ród posiadał w XVIII wieku wiele wsi i pieczętował się herbem Janina. Jako świadek wystąpił też adiunkt policji, znany już nam Paweł Biernacki. Zaskakuje nas pojawienie się Marcelli Eborowicz, z pewnością nie była ona siostrą Józefy, ale należała raczej do rodziny Stanisława Eborowicza, czyli była kuzynką. Również Wojciech Pękalski to postać do tej pory nieznana, jako naczelnik wydziału musiał pracować w policji, ale szczegółów brak. Człowiek o tym nazwisku i imieniu na zlecenie ministra sprawiedliwości w Księstwie Warszawskim, tłumaczył francuski kodeks kryminalny i był pisarzem w sądach warszawskich i kaliskich.

Małżeństwo Ludwika i Józefy było udane, byli stosunkowo zamożni i stać ich było na kilka osób służby oraz na własny kocz zaprzęgany w parę siwych koni. Bywali na różnych balach i w resursach, jak się wtedy nazywały kluby towarzyskie. Jeden z nich mieścił się w pałacu Teppera-Dückerta (inna nazwa to Pałac Pod Czterema Wiatrami) przy ulicy Długiej, a była to Warszawska Resursa Kupiecka do której należeli też Szymon i Stanisław Eborowicze. To tutaj w latach 1832-56 koncentrowało się życie towarzyskie środowiska zamożnych kupców warszawskich, polityków i urzędników. Państwo Szletyńscy bywali też często w operze i teatrach warszawskich.

W październiku 1848 roku Ludwik brał udział w pogrzebie sekwestratora jego III. cyrkułu Józefa Rajnholda (oprócz tego obsługiwał on cyrkuły II i XII oraz był administratorem domów rządowych), którego znał od początku swej służby w policji. Jego żona Józefa zaglądała często do księgarni firmy Fr. Spiess i Sp. przy ulicy Senatorskiej pod nr 460. W tym miesiącu kupiła dwa tomy sztuk Stanisława Bogusławskiego. Tom I zawierał sztuki UROJENIE, STARA ROMANTYCZKA, KREWNI i ADWOKAT, a tom II sztuki LWICE, POD STRYCHEM i OPIEKUNKA WOJSKOWA. Cena za dwa tomy wyniosła złotych 13 i 10 gr. Autor był synem bardziej znanego Wojciecha Bogusławskiego i aktorki Konstancji Pięknowskiej, jego sztuki były często grywane w teatrach warszawskich. Znał go dobrze Ludwik Szletyński, jego rówieśnik, gdyż Bogusławski był także podporucznikiem w Wojsku Polskim Królestwa, a potem walczył w powstaniu listopadowym. Razem brali udział w zwycięskiej bitwie pod Stoczkiem, choć Bogusławski walczył w pułku grenadierów. Uniknął represji carskich, gdyż posługiwał się nazwiskiem matki. Został aktorem, pisywał do „Kurjera Warszawskiego”, z czasem został też, zgodnie z tradycją rodzinną, komediopisarzem.



12. Stanisław Bogusławski

Na zakupy Józefa zawsze chodziła z służącą, która nosiła sprawunki lub wracała z nią do domu dorożką. Wyprawy takie wiązały się z pewnym ryzykiem, gdyż w stolicy nie brakowało sprytnych kieszonkowców. Jak donosił „Kurjer Warszawski” z 26 października 1848 roku okradziono guwernantkę, która przyjechała do Warszawy w celu zakupu odzieży zimowej. Stało się to na targowisku Za Żelazną Bramą w typowy dla szajek kieszonkowców sposób. Otóż obległa ją gromada chłopców proszących o jałmużnę, a jednocześnie kilku młodocianych handlarzy natrętnie oferowało medaliki za wizerunkami świętych. Kiedy kobieta chciała za medaliki zapłacić w kieszeni jej płaszcza już nie było sakiewki z poważną kwotą 68 rubli srebrnych. Było to jej kilkumiesięczne wynagrodzenie za pracę guwernantki. Powiadomiona policja zadziałała szybko wyłapując na targowisku 20 młodocianych, w większości pochodzenia żydowskiego. W wyniku wielogodzinnych przesłuchań ustalono sprawcę, którym był zaledwie 8. letni chłopiec żydowski. Ten z kolei zeznał, że sakiewkę przekazał natychmiast właścicielce sąsiedniego straganu, która obiecała go wynagrodzić tytułem znaleźnego. Młodociani i handlarka postawieni zostali przed sądem, a guwernantka z prowincji całą kwotę odzyskała. Trzeba przyznać, że policja wykonawcza, w której służył Ludwik Szletyński, działała bardzo skutecznie.

Szymon Eborowicz nadal prowadził swoje rozległe interesy na Bednarskiej, wykupił nawet udziały w drukarni Strąbskiego, która zainstalowała się w kamienicy pod nr 24 w roku 1843. To tam właśnie, na rogu z ulicą Furmańską, miał on swoją oficynę. Zakład Strąbskiego był wyposażony w cztery prasy żelazne i zatrudniał dziesięciu pracowników. Dwa lata później drukarnia została przeniesiona na ulicę Daniłowiczowską, ale Szymon zachował swoje udziały w tym zyskownym interesie. Drukowano bowiem coraz więcej zarówno gazet, jak i książek.

Poniżej mosty łyżwowego, pomiędzy Bednarską a Mariensztatem urządzono po roku 1846 przystań dla parostatków. Na brzegu wzniesiono zabudowania w formie wieżyczek, a na wodzie, na

pontonach posadowiono drewniane baraki mieszczące poczekalnię dla pasażerów, z której przechodziło się prosto na pokład statku. „Paropływy”, jak je wtedy zwano, odpływały o 4.30 rano do Nowoaleksandryjska (Modlin), a wracały o 15.30. W niedzielę na przystań przychodziło wielu gapiów, którzy po prostu przyglądali się statkom i barkom płynącym po Wiśle. Pisał poeta romantyczny z tego okresu:

„Przypominam sobie, że w ciągu lat pierwszej młodości w Warszawie, nieraz promień zachodniego słońca bijąc w okno wyrywał mnie nagle ze środka towarzystwa, z łona swawoli, od stolika nawet gry... śpieszyłem wtedy na most między Pragą a Warszawą i traciłem kilka godzin, przypatrując się różnym odcieniom i czułem wyraźnie, że mnie to cudowne cieniowanie czegoś roztkliwia...”



13. Przystań dla parostatków ok. 1850 r.

Często bywał nad Wisłą Szymon zachodząc do łazienek Teodozji Majewskiej na kąpiele i do jej męża na smaczny posiłek. Lubił też spacerować koło nowej przystani pasażerskiej i obserwować ruch jednostek pływających na Wiśle. W pewnym stopniu przyczyniło się to do jego przedwczesnej śmierci. Był wrzesień roku 1849, wyjątkowo słotny i chłodny, kiedy to zwykłe przeziębienie przemieniło się w zapalenie płuc, chorobę wówczas śmiertelną i Szymon odszedł otoczony zatroskaną rodziną w swoim mieszkaniu przy Rynku Starego Miasta. Przed śmiercią prosił swoją córkę Konstancję, aby z powodu żałoby nie zwlekała ze ślubem, który planowała na rok 1850. Jej narzeczoną był Józef Liszko pochodzący ze Starachowic. Ostatecznie ślub tej pary odbył się 3. sierpnia 1850 roku w parafii św. Jana, chociaż z powodu żałoby nie było hucznego wesela. Młodzi poznali się przez doktora Eborowicza, którego często odwiedzał hipochondryk Liszko. Pewnego razu zastał u niego jego krewną, piękną Konstancję i po trzech miesiącach poprosił rodziców o rękę córki.

Rodzice Józefa Antoniego Higina Liszko (zawsze podpisywał się swoimi wszystkimi imionami i nazwiskiem) posiadali majątek ziemski we wsi Stąporków w guberni radomskiej. Ojciec jego, też Józef, oraz matka Anna z Paszkowskich, sprzedali swoje posiadłości w roku 1839 i ulokowali część pieniędzy w papierach skarbowych, co zapewniło im skromną emeryturę. Pozostałe pieniądze

zostały ulokowane na rzecz synów (był jeszcze młodszy brat Juliusz Maria), którzy po skończeniu 21 lat mogli z nich korzystać. Józef Higin niezwłocznie znalazł sobie żonę, a kiedy kapitały zaczęły topnieć wyrobił sobie posadę na rozwijającej się dynamicznie kolei, gdzie doszedł do stanowiska naczelnika wydziału. Po przyjeździe do stolicy Józef zamieszkał początkowo na ulicy Nowosenatorskiej (obecnie Moliera), a potem na Królewskiej pod nr 1063. Jego dziwne imię Higin pochodzi od greckiego Hyginus, co oznacza człowieka zdrowego. Jak na ironię losu Liszko był zdrowy, ale jednocześnie był hipochondrykiem i wmawiał sobie niezliczone choroby. Nie używał soli, ani pieprzu, nie pił alkoholu. Jednak w rodzinie przetrwała nadawania, jako jednego z trzech imion, imienia Juliusz na pamiątkę młodszego brata Józefa, który zginął śmiercią bohatera w powstaniu styczniowym. Będziemy więc mieli Juliusza Stefana Konstantego Liszko, czy urodzonego w roku 1892 Stefana Juliusza Marię Liszko. Ten ostatni był pułkownikiem kawalerii i wielkim wojownikiem. Brał udział w I wojnie światowej walczył w legionach (słynna szarża pod Rokitną) i w wojnie bolszewickiej. W wojnie obronnej 1939r. dowodził pułkiem, aż do kapitulacji Warszawy. Następnie trafił do niewoli niemieckiej i został osadzony w oflagu VIIa Murnau. Powrócił do Polski w 1947 r., był kawalerem srebrnego i złotego Krzyża Virtuti Militari.

Wróćmy jednak do ślubu Konstancji, który odbył się nieco w cieniu żałoby po śmierci jej ojca. Szymon zostawił testament, a że był człowiekiem zamożnym, mógł godziwie zaopatrzyć swoje dzieci. Połowa majątku przypadła jego żonie, a największe części otrzymali synowie Karol i Mikołaj. Obaj już pełnoletni młodzieńcy wystąpili na ślubie Konstancji, jako świadkowie. Konstancja zamieszkiwała w kamienicy Jana Łaskiewicza na ulicy Bednarskiej (nr 24, nr działki 2690), był to dom, w którego podwórzu Szymon wybudował oficynę i miał swoje magazyny, gdzie prowadził rozległą działalność handlową. Pomagał mu w tym syn Mikołaj, który po śmierci ojca przejął stery w swoje ręce. Pozbył się współników, sprzedał udziały ojca w innych interesach i postanowił skupić się na hurtowym handlu alkoholem oraz na produkcji gorzałki. Poza tym handlował produktami spożywczymi, gdzie ponad połowę obrotów stanowiły różnego pochodzenia oleje. Karol nie miał smykałki do handlu i od dzieciństwa marzył o karierze wojskowej. Z powodu słabego zdrowia nie mógł jednak wstąpić do wojska, starał się o posadę w policji i w końcu został urzędnikiem w zarządzie warszawskiej straży ogniowej. Pryśły więc marzenia o służbach mundurowych, nie pomogły koneksje i pieniądze ojca. Trzeba było zarabiać na życie prozaiczną pracą biuralisty.

Konstancja z mężem przeprowadzili się wkrótce po ślubie do dużej kamienicy przy ulicy Podwale. Początkowo ulica ta zwana była Zawalną, gdyż leżała za murami obronnymi miasta. W miarę powiększania się miasta budowane tu były kamienice bogatszych mieszczan i arystokracji, stopniowo opuszczających panującą wewnątrz murów ciasnotę. Była to więc ulica o sporym prestiżu, jednak okres ten trwał dosyć krótko. Nie bez znaczenia był fakt, że z Podwala na ulicę Bednarską było niedaleko, poza tym mieszkał tam i przyjmował swoich pacjentów brat Konstancji dr Eborowicz. Kamienica pod nr 505 (cyrkuł 1) należała do niejakiego Skałdyckiego i mieszkało w niej ponad trzydziestu lokatorów. Oprócz Liszki z własnych środków utrzymywali się jeszcze Józef Delczyński oraz Stefan Wasilewski, obaj znacznie starsi od Higina. Doktor Eborowicz przyjaźnił się z innym lokatorem, sztabs-kapitanem Hipolitem Jaworskim. Jego stopień wojskowy w armii carskiej

był pośredni między stopniem porucznika, a pełnego kapitana. Był on Polakiem, który po utracie majątku ziemskiego wstąpił do armii carskiej i służył w niej już ponad 20 lat.

W tej kamienicy przyszedł na świat syn Konstancji i Higinia urodzony 1 lipca 1851 roku, który ochrzczony został dopiero 24 maja 1856 r, czyli chłopiec miał już wówczas prawie pięć lat! Otrzymał imiona Juliusz Stefan Konstanty, a rodzicami chrzestnymi zostali dr Eborowicz z Julią Lipińską i Adam Lipiński z Karoliną Eborowicz.



14. Konstancja z synkiem

Adam był ongiś zaprzyjaźniony z Szymonem, mieli nawet jakieś wspólne interesy. Był to człowiek zamożny, posiadał w Warszawie kamienicę przy ulicy Elektoralnej nr 747, w której zamieszkiwało blisko 50 lokatorów. W najlepszych lokalach frontowych mieszkali wyżsi urzędnicy, sędziowie, a nawet sam generał-major Aleksander Aleksiejew, w tym czasie już emerytowany. W suterrenach gnieździł się z małych, zawilgoconych mieszkaniach lokaj, stangreci i kucharki. Oprócz domów mieszkalnych i banków przy Elektoralnej mieściły się liczne zakłady przemysłowe. Od 1844 roku działała słynna fabryka wyrobów platerowanych Józefa Frageta. Licznie występowały też manufaktury powozów, których było w tym okresie na Elektoralnej aż 10. Była to działalność charakterystyczna dla całej okolicy, jako że przy pobliskiej ulicy ul. Orlej znajdowały się kolejne manufaktury tego typu. Dlatego w spisie mieszkańców kamienicy Lipińskiego znajdujemy majstrów i czeladników, stelmachów (kołodziei), stolarzy, lakierników i siodlarzy. Córka Lipińskiego Lucyna była właścicielką kamienicy pod nr 10 na Bednarskiej, gdzie mieszkała z mężem Andrzejem Garyantasiewiczem, a właścicielem domu pod nr 11 był brat Adama Tadeusz Lipiński.

Karolina Eborowicz była od trzech lat żoną Mikołaja, brata Konstancji. Ślub ten odbył się 23 stycznia 1853 roku, panna młoda Karolina Kunegunda Karo pochodziła z podwarszawskiej wsi Miłosna, a jej rodzicami byli Antoni i Anna z Niedzielskich.



15. Mikołaj Eborowicz z żoną Karoliną

Ta 18. letnia piękność mieszkała w kamienicy Lipińskiego, co wyjaśnia dlaczego Mikołaj wybrał właśnie ją. Bywał tam często z ojcem, gdyż Lipiński we własnej kamienicy miał 6. pokojowe mieszkanie. Rodzina Lipińskich miała też nieruchomości przy ulicy Bednarskiej. Dlatego Lipiński wystąpił wraz z komisarzem Szletyńskim, jako świadek na tej uroczystości. Dzień przed ślubem narzeczeni wybrali się do rejenta Jana Dzieciątkiewicza z Kancelarii Ziemiańskiej Guberni Warszawskiej. Prawnik ten mieszkał przy ulicy Długiej pod nr 590 i często służył swoją radą oraz uwierzytelniał umowy, weksle i inne handlowe dokumenty Szymona Eborowicza. Tekst umowy przedślubnej zapisywano w księdze ziemskiej, a odpisy potwierdzone otrzymywali małżonkowie. W zawartej w styczniu umowie Mikołaj zastrzegł sobie odrębność majątkową w związku z faktem, że postępowanie spadkowe po śmierci jego ojca nie zostało jeszcze zakończone. Jak się później okazało zawarcie intercyzy było bardzo roztropnym posunięciem Mikołaja, gdyż Karolina była złą żoną i marną gospodynią. W dodatku przez pierwsze lata nie mieli dzieci, pierwszy syn urodził się w roku 1856, a drugi zmarł w trzy tygodnie po urodzeniu w roku następnym. Doprowadziło to do orzeczenia kościelnej separacji od łoża i stołu w roku 1858, a potem do rozwodu zupełnego tej pary. Początkowe zauroczenie okazało się ułudą, gdyż Karolina była rozpieszczona przez rodziców, jak każde późno urodzone dziecko i zupełnie nie nadawała się na żonę handlowca i producenta. Czuła się źle, kiedy Mikołaj wywiózł ją z Warszawy, gdzie uwielbiała bywać na balach, w teatrze i w operze, do jakiejś zapadłej dziury koło Tarchomina. Na początku XIX wieku powstała tam karczma „*Piekietko*”, a z biegiem lat wokół niej wyrosło kilkanaście zabudowań i cała ta osada wzięła od owej karczmy swoją nazwę. Mikołaj załatwił sobie dzierżawę propinacyjną i zabrał się za produkcję gorzałki, którą sprzedawał do składów hurtowych, ale większość produkcji jechała do magazynów jego matki na ulicę Bednarską. Warszawa stanowiła bowiem chłonny rynek dla wszelkiego rodzaju

wyrobów spirytusowych, a ten kto jednocześnie produkował i sprzedawał mocne trunki, zarabiał podwójnie. W latach czterdziestych szalała zaraza kartoflana, która spowodowała głód i upadek wielu gorzelni. Z tej przyczyny wzrosły ceny zboża i spirytusu. Dlatego produkcja gorzelnicza w latach pięćdziesiątych bardzo się opłacała. Mikołaj produkował też wódki gatunkowe takie, jak: piołunkowa, białomorwówka, kurdybanowa, wiśniowa i pomarańczówka. Nie było łatwo uzyskać prawo propinacji, car Mikołaj I jeszcze w roku 1844 poważnie ograniczył działalność gorzelni. W swoim ukazie opublikowanym w „Kurjerze Warszawskim” nr 202 z 31 lipca zezwolił na produkcję spirytusu tylko przez siedem miesięcy w roku. Ponadto nałożył wysokie opłaty skarbowe od każdego garnca wódki o mocy 78 stopni w skali Magiera (Antoni Erazm Magier, herbu Szeliga). Nie można było zakładać nowych gorzelni, ani też powiększać istniejących bez specjalnego zezwolenia obciążonego opłatą skarbową 150 rbs za każdy aparat produkujący 12 tys. garncy wódki. Koncesję na produkcję wódki, zgodnie z nowym prawem, mógł uzyskać posiadacz co najmniej 20 włók pola rolnego w miejscowości liczącej nie mniej, aniżeli 20 domów. W szynkach i karczmach zabroniono sprzedawania spirytusu i okowity o mocy powyżej 45 stopni oraz nałożono nowe opłaty za koncesje na sprzedaż. Ukaz odsuwał też starozakonnych od produkcji i wyszynku wódki i okowity powołując się na ustawę „króla saskiego” (czyli Fryderyka Augusta, nominalnego księcia warszawskiego) z roku 1812. Produkcja okowity z takimi ograniczeniami i opłatami nie mogła być dochodowa, ale mało kto tych przepisów przestrzegał, a kontrolerów było zbyt mało, w dodatku byli podatni na korupcję. Mikołaj uzyskał prawo propinacji na dobrach gminy Białoleka, gdyż to właśnie tam było położone Piekiełko. Przyjechał tam z żoną i synem Szymonem Antonim urodzonym w roku 1854. Kolejny syn urodził się w lutym 1856 roku w pobliskiej wsi Aleksandrów. Chrzest Juliana Donata odbył się 29 marca, świadkiem był sam wójt gminy Białoleka Ignacy Stromiło oraz rządca dóbr białoleckich Karol Kalat. Karolina miała wtedy dopiero 20 lat, a jej małżonek podał, że liczy sobie lat 28. Ojcem chrzestnym małego Juliana został Anastazy Freisler, urzędnik w Naczelnym Zarządzie Spisu Wojskowego oraz siostra Mikołaja Konstancja Liszko. Obecni byli także Julian Freisler, ojciec lub brat Anastazego oraz Teresa Karo, kuzynka Karoliny.

W latach pięćdziesiątych odnotowano na Bednarskiej niewielkie ożywienie budowlane. Nowy właściciel posesji nr 9 (działka nr 2681) architekt Antoni Kaliszewski, wznosił w latach 1852-53 nowy dom frontowy obok istniejącej tam starszej kamienicy. Ten dwupiętrowy budynek miał sporą oficynę podwórzową od strony wschodniej oraz ogródek w dziedzińcu. Spis mieszkańców z roku 1854 wymieniał 472 osoby zamieszkałe na Bednarskiej. Razem z członkami rodzin mieszkało tam ok. 2000 stałych mieszkańców. Wśród lepiej sytuowanych zwraca uwagę spora liczba urzędników (52), kupców i właścicieli restauracji (34), osób utrzymujących się z funduszy własnych i emerytów (34). Mieszkało tam tradycyjnie wielu rzemieślników (163), a najwięcej było krawców (34), szewców (30) i stolarzy (25). Z innych zawodów odnotowano też ślusarzy, powroźników, lakierników, farbiarzy, kowali i rzeźników. Kucharek było aż 48, a służby domowej-44. Medycynę reprezentowało 2 lekarzy, 5 akuszerów i 2 felczerów. Istniały w tym czasie trzy sklepy winiarskie (nr 11, 13 i 14), handel bławatny Chaima Winawera (nr 19) oraz fabryka instrumentów dętych Wilhelma Gliera (nr 19). Sklepy wędliniarskie prowadzili: Teodor Wohlfard (nr 16) oraz Andrzej Multanowski (nr 10-12). Ten ostatni zbił fortunę na handlu i produkcji wędlin i skupował liczne parcele w stolicy. W roku 1854

kupił on kamienicę pod nr 8 na Bednarskiej, gdzie założył w podwórzu rzeźnię. Po dwóch latach Multanowski kupił także kamienicę nr 6.

W roku 1856 do ołtarza poszła kolejna panna Eborowicz Paulina Władysława. Jej wybrańcem został oficer żandarmerii warszawskiej Julian Unierzyski. Młodzieniec ten pochodził z guberni Augustowskiej (wieś Zrobki), a Szymon znał z dawnych czasów, kiedy to sam zamieszkiwał w młodości w tej guberni, jego rodziców Tomasza i Rozalię z Karwowskich. Kiedy on wyruszył do Warszawy, Unierzyscy nabyli niewielki majątek ziemski we wsi Lwiczyn w guberni Płockiej i tamże zamieszkali po powstaniu listopadowym. Julian służył w wojsku rosyjskim, a po kilku latach służby został przeniesiony do żandarmerii w stopniu podporucznika i zamieszkał w Warszawie przy Krakowskim Przedmieściu pod nr 454. Jego dywizjon kwaterował w Koszarach Mirowskich wybudowanych jeszcze w wieku XVIII przez Augusta II Mocnego. W roku 1815 koszary były miejscem stacjonowania Gwardii Konnej Wojska Polskiego. Po powstaniu listopadowym w koszarach tych ulokowano dywizjon żandarmerii rosyjskiej i tam początkowo mieszkał i pełnił służbę Julian. Po awansie na stopień porucznika mógł już wynająć mieszkanie w mieście, na co otrzymał stosowny dodatek do pensji. Jeszcze za życia Szymona odwiedzał Eborowiczów na Bednarskiej i tam wpadła mu w oko Paulina, która używała swego drugiego imienia Władysława. Julian miał młodszego brata Jana Włodzimierza urodzonego w roku 1831 w Warszawie, ale niewiele o nim wiadomo.

Ślub tej pary odbył się 24 maja, a jego świadkami byli Ignacy Lojola Ciesielski, urzędnik w Rządowej Komisji Sprawiedliwości oraz Karol Eborowicz, brata Pauliny, urzędnik Zarządu Oberpolicmajsta Warszawy, któremu podlegała straż ogniowa. Panna młoda mieszkała w tym czasie z matką na Bednarskiej pod nr 2690 b, tam też mieszkał Karol. Małżeństwo to nie przetrwało długo, gdyż Julian przeziębiał na ćwiczeniach i w październiku 1859 roku i po krótkiej chorobie zmarł w wieku 34 lat. Pozostał tylko ślad w „*Gazecie Warszawskiej*”, która w październiku tego roku odnotowała także zgony innych młodych ludzi takich, jak Paweł Mirowski, lat 29, buchalter Instytutu Szlacheckiego czy Władysław Hussar, aplikant biura Najwyższej Izby Obrachunkowej, lat 20. Przez wiele lat Paulina Władysława pozostawała wdową, często odwiedzała swoje siostry i braci pomieszkując u nich okresowo, gdyż źle znosiła samotność. Po latach wyjdzie ponownie za mąż, o czym napiszemy w dalszej części.

W tym samym 1859 roku ożenił się 33. letni urzędnik Warszawskiej Straży Ogniowej Karol Andrzej Eborowicz. Ślub ten odbył się 22 listopada, a jego wybranką była młodzieńca Aniela Michalina Nastalska. W chwili ślubu miała ona zaledwie 16 lat, co jednak w owych czasach było normą, a mieszkała z rodzicami przy ulicy Trębackiej pod nr 631. Jej ojciec Andrzej Nastalski był krawcem z zawodu i w roku 1854 mieszkał w kamienicy czynszowej wybudowanej na zapleczu pałacu hrabiego Wincentego Krasińskiego, emerytowanego generała kawalerii, przy Krakowskim Przedmieściu nr 410. Budynek pałacowy był bardziej znany pod nazwą pałacu Czapskich (rzadziej Raczyńskich) i mieszkało tam wielu znanych Polaków. W latach 1829-30 w lewej oficynie na drugim piętrze mieszkał wraz z rodziną Fryderyk Chopin. Inni znani mieszkańcy to pisarz Zygmunt Krasiński, który

mieszkał w pałacu do 1859 roku, oraz malarz Zygmunt Vogel, który w latach 1808-1826 miał tu swoją pracownię. Obecnie mieści się tam Akademia Sztuk Pięknych.

Andrzej Nastalski od lat był dobrym znajomym Szymona i często bywał u niego na Bednarskiej, która przecież krzyżowała się z Krakowskim Przedmieściem. Karol znał swoją przyszłą żonę od dziecka, ale wówczas nie przypuszczał, że spędzą razem życie. Świadkiem tej ceremonii byli: brat Karola- Mikołaj, kupiec, oraz jego stryjeczny brat August, lekarz. We wrześniu tegoż roku narzeczeni zawarli umowę przedślubną przed rejentem Kancelarii Ziemskiej Guberni Warszawskiej. Sprawy spadkowe po Szymonie nie były jeszcze do końca uregulowane konieczna, więc była formalna intercyza. Andrzej Nastalski był wdowcem po Juliannie zmarłej w lipcu 1837 roku, gdy w październiku tegoż roku ożenił się z wdową po Karolu zmarłym niespełna dwa lata wcześniej, Józefą Stradowską. Rodzicami Andrzeja byli Michał i Salomea, a on sam urodził się we wsi Mistrzewice, w chwili ponownego małżeństwa liczył sobie 29 lat. Józefa miała lat 25, była córką nieżyjących już Wojciecha i Elżbiety, urodzoną w Grodzisku. Zastanawia krótki okres żałoby Nastalskiego po pierwszej żonie, zwyczajnie pod tym względem wymagały zaczekania ze ślubem, co najmniej rok.

Tymczasem powiększała się rodzina Ludwika Szletyńskiego, a on sam awansował w hierarchii urzędniczej cesarstwa. 10 grudnia 1849 roku urodził mu się syn Konstanty, ale jego chrzest jak zwykle był o kilka lat opóźniony, gdyż odbył się 2 sierpnia 1851 roku. Oprócz ojca stawili się plenipotent Antoni Cyprysiński i znany nam już Feliks Dorantowicz, urzędnik Warszawskiego Okręgu Naukowego. On też, wraz z Marianną Sieklucką zostali rodzicami chrzestnymi Konstantego.

W tym samy dniu i w obecności wymienionych już osób, odbył się chrzest młodszego brata Konstantego urodzonego 1 stycznia 1851 roku, który otrzymał imię Mikołaj. Tutaj rodzicami chrzestnymi zostali Antoni Cyprysiński oraz Anna Pękalska, o której niczego bliższego nie wiemy. Mogła to być żona Wojciecha Pękalskiego, naczelnika wydziału, który był obecny w czasie chrztu pierwszego syna Ludwika Szletyńskiego, Aleksandra Wilhelma.

Córeczka Joanna Ludwika przyszła na świat 24 maja 1853, ale tradycyjnie już z chrztem zwlekano aż do maja roku 1857. Ludwik Szletyński osiągnął wówczas wysoką rangę radcy dworu, co automatycznie dawało mu szlachectwo w wieku 55 lat. Jego starania o godnych rodziców chrzestnych dla Joanny zostały uwieńczone powodzeniem, gdyż zgodzili się nimi zostać sam generał-major Amilkar Paulucci wraz z małżonką Marią. Generał ten piastował różne funkcje, ale oberpolicmajstrem Warszawy zostanie na krótko, w lutym i marcu 1861 roku. W policji jednak działał od dawna na różnych szczeblach dowodzenia. W pamiętniku z epoki Zbigniew Chądzyński nazywa tego Włocha w carskiej służbie „naczelnikiem szpiegów”, co sugeruje jego związki z tajną policją. Markiz Paulucci był uważany za sympatyka Polaków, władze często delegowały go do udziału w różnego rodzaju uroczystościach, jak choćby pogrzeb arcybiskupa Fijałkowskiego, który przerodził się w wielką, patriotyczną demonstrację. W pogrzebie tym brał też udział generał Bebutow, komendant wojenny Warszawy. Chądzyński pisze o nich w swoich memuarach „*obaj udający przyjaciół Polaków*”. Paulucci, jak się wydaje, był policmajstrem nie dwa miesiące w roku 1861, a do lipca 1862 roku, czyli blisko półtora roku. Historycy często nie odróżniają funkcji policmajstra Warszawy od tego samego stanowiska w odniesieniu całego Królestwa Polskiego. Stąd

różne nieraz okresy zajmowania tych stanowisk przez carskich nominatów. W każdym razie udział tego dostojnika w chrzcie córki zwykłego komisarza policji był czymś niezwykłym. Musiał być Ludwik Szletyński naprawdę człowiekiem ustosunkowanym do czego niewątpliwie przyczyniła się lojalna służba w carskiej policji. Dzieci jednak wychowywano w tej rodzinie w duchu patriotycznym, choć był to patriotyzm w duchu Aleksandra Wielopolskiego, który zmierzał do pogodzenia narodów polskiego i rosyjskiego.

Jako świadkowie na opisywanym chrzcie wystąpili: dziedzic dóbr Mamki Wilhelm Lewandowski i obywatel ziemianin Józef Jakubowski. Próżno by dzisiaj szukać osady Mamki leżącej w pobliżu Wesolej, zniknęła pochłonięta przez wielki poligon wojskowy utworzony na tym terenie w roku 1898, który przetrwał tam przez 100 lat. Jak podaje *„Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich”*, wydany w Warszawie w 1880 r. Mamki, była to wieś w powiecie warszawskim. W 1580 roku Targowska Ruda (poprzednia nazwa) w parafii Kobyłka, miała 6 działów szlacheckich – cztery po ćwierci i dwa po pół łanu. Jeden łan mógł liczyć od 17 do 24 ha. Trudno powiedzieć, co łączyło Ludwika Szletyńskiego z tymi dziedzicami z pod Warszawy, zwykle zapraszał na swoje uroczystości urzędników policyjnych. Być może należeli oni do szlachty i Ludwik, sam będąc świeżo upieczonym szlachcicem, uznał ich obecności za bardziej dodającą splendoru.

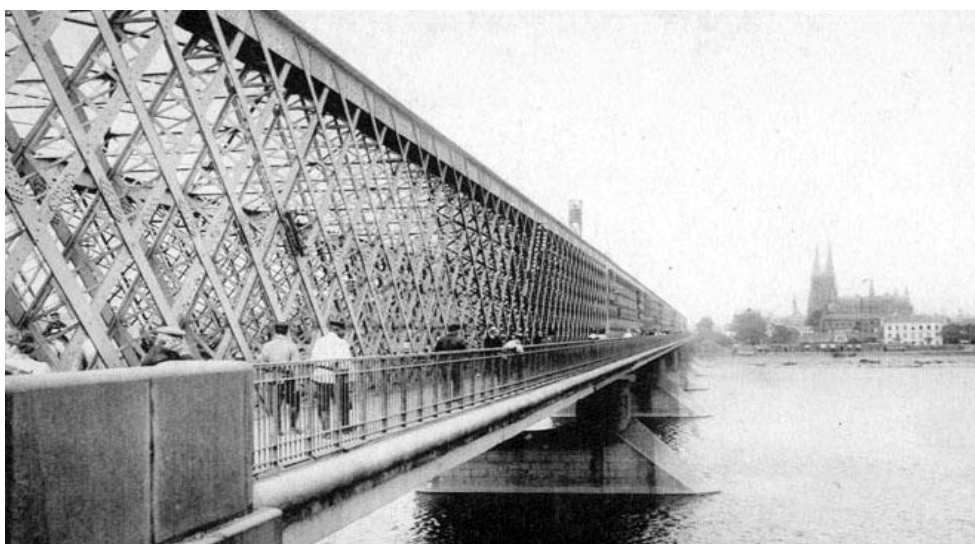
Kiedy Joanna dorosnie będzie używała imienia Ludwika, wyjdzie za mąż za niejakiego Krzewskiego i pojawi się na rodzinnych zdjęciach mego pradziada Aleksandra Niewiarowicza wraz z Seweryną Szletyńską. Nie była to siostra, ale z pewnością bliska krewna, można nawet sądzić, że była to jej córka. Dla prababki Zofii była Ludwika ciotką, gdyż jej matka Józefa Eborowicz i matka Zofii Felicjanna były siostrami. Tak oto spłótły się losy naszych rodzin.



16. Seweryna Szletyńska, Zofia Niewiarowicz i Władysława Gerreth

Niewiele pozostało wolnych działek przy ulicy Bednarskiej pod koniec lat 50. XIX wieku. Jedną z nich była parcela pod nr 25, którą w lutym 1859 roku dokładnie wymierzył geometra Wilhelm Rau dla nowych dzierżawców, małżonków Walusińskich. Wkrótce potem rozpoczęła się budowa kamienicy, która jednak przed ukończeniem kilkakrotnie zmieniała właściciela. Ostatecznie za 18 000 rs nabył ją Andrzej Rajkowski z zawodu murarz, posiadacz domu przy ulicy Ogrodowej, gdzie sam zamieszkiwał. W roku 1860 po przeciwnej stronie ulicy pod nr 26 (369b) adaptowano starą oficynę pałacową na dużą drukarnię dla Towarzystwa Nowej Resursy. Pod koniec 1861 roku posiadłość tą wraz z kamienicą zakupił Samuel Orgelbrandt, znany już wówczas wydawca książek. Początkowo wydawał poczytne powieści francuskie, potem drukował Ignacego Kraszewskiego, Fredrę, Słowackiego i innych autorów polskich. Dziełem jego życia była 28. tomowa encyklopedia, którą wydawał w latach 1859-1868. Dalsze wydania, w tym skrócone 12. tomowe, wydawali po jego śmierci w roku 1868 dwaj synowie. Dziś w tym miejscu, w okolicy ulicy Bednarskiej, znajduje się skwer imienia Samuela Orgelbrandta.

W roku 1860 rozpoczęto budowę mostu stałego przez Wisłę, który ukończono w roku 1864, u schyłku powstania styczniowego. Most łyżwowy przy Bednarskiej został zlikwidowany, co miało olbrzymie znaczenie dla tej ulicy. Z dnia na dzień zamieniła się ona z ruchliwej arterii komunikacyjnej w cichy i ekonomicznie wegetujący zaułek.



17. Most Kierbedzia

Na razie jednak Bednarską czekało kilka lat prosperity, interesy Mikołaja Eborowicza pod własnym szyldem oraz hurtownia wódek pod szyldem jego matki, kwitły bez przeszkód. Likwidacja mostu nie wpłynęła zbyt wiele na ten rodzaj handlu. Zniknęły po prostu liczne w tym rejonie hotele, niektóre przekształcając się w domy publiczne. Niestraszny im był artykuł 716 kodeksu kar głównych i poprawczych, który groził właścicielom hoteli grzywną 10 do 20 rubli za udostępnianie ich dla nierządu. Służba w tych zakładach była natomiast zagrożona karą aresztu od 3 tygodni do 3

miesiące. Po te dosyć liberalne przepisy i tak sięgano niezbyt często przymykając oczy na powszechny proceder prostytucji. Policja wykonawcza koncentrowała się na zatrzymywaniu „wolontariuszek”, które stanowiły konkurencję dla domów publicznych a te przynosiły dochody także do kasy miasta. „*Gazeta Lekarska*” informowała w 1860 r., że w roku poprzednim policja wykonawcza aresztowała 13 570 włóczących się kobiet, a policja lekarska - 1094, poza rogatkami - 1353 kobiety. W tymże roku przez warszawskie szpitale przewinęło się 5229 chorych wenerycznie, cywilnych i wojskowych.

Domy publiczne bardziej eleganckie, z pewnymi „ambicjami”, mieściły się początkowo przy Mostowej, Podwale i na Krzywym Kole, późniejsze na Rycerskiej i Brzozowej, najpodrzedniejsze zaś na Powiślu. Liczne domy rozpusty zaczęli otwierać Żydzi, gdy w 1862 r. zniesiono niehumanitarne ograniczenia zabraniające im zamieszkiwania w niektórych dzielnicach. Ulice: Podwale, Freta, Kapitulna, Krakowskie Przedmieście od placu Zamkowego do Trębackiej, Trębacka, Bielańska, Młyn, część Długiej, Świętojerska, zaczęły się zapełniać stopniowo domami publicznymi. Niektóre z nich - z tańcami i bufetami – nazywano „tanckłasnami”. Namiestnik Fiodor Berg nie miał nic przeciwko temu, że prostytucja opanowuje główne ulice miasta, przeciwnie - jego zamierzeniem było uczynić Warszawę po powstaniu jednym z najweselszych miast Europy.

Bolesław Prus opisywał w „*Lalce*” Powiśle, jako siedlisko nędzy, chorób i rozpadu. Miejsce zamieszkałe przez biednych wyrobników i prostytutki. Nie do końca była to prawda, pisarze pozytywistyczni usiłowali zwrócić uwagę wyższych kast na zastraszające różnice społeczne. Z innych źródeł wynika, że w XIX wieku, Powiśle, mimo widocznej biedoty i nędzy, było główną dzielnicą przemysłową Warszawy. Przemysł koncentrował się przede wszystkim w obszarze Solca gdzie znajdowała się rządowa fabryka maszyn, młyn Banku Polskiego, gazownia, warsztaty żeglugi parowej oraz kilka garbarni i browarni. Dzięki fabrykom, warsztatom czy drobniejszym zakładom produkcyjnym Powiśle nie było dzielnicą zupełnie zapomnianą. Odwiedzano je również ze względu na umieszczone tam studzienki zaopatrujące w wodę Nowy Świat i Krakowskie Przedmieście. O kanalizacji na głównym trakcie Warszawy pomyślano dopiero w 1851 roku. Powiśle było również odwiedzane od strony Wisły, gdzie przybijały barki, łodzie a w czasach A. Zamoyskiego również statki parowe używane w transporcie przemysłowym. W 1846 roku A. Zamoyski sprowadził z Francji dwa statki parowe, dzięki którym z czasem rozwinęła się żegluga parowa a z czasem na Solcu jej warsztaty. W warsztatach tych przede wszystkim budowano i naprawiano statki. Produkowano w nich również maszyny parowe, kotły, sikawki, instalacje dla cukrowni, młynów i tartaków. Przedsiębiorstwo rozwijało się prężnie i z czasem stało się potężną spółką w skład której wchodził członkowie rodziny Zamoyskiego oraz grupa z establishmentu handlowego. Dla wyróżnienia jednostek można podać hrabiego Platera czy bankiera Leopolda Kronenberga. Nic dziwnego, że firma prosperowała wyśmienicie, jeśli zarabiała nie tylko na produkcji maszyn, ale i na transporcie produktów przemysłowych. Było bowiem wielkie zapotrzebowanie na maszyny, gdyż w 1862r. działało w Warszawie 369 fabryk, a produkcja spółki nie ograniczała się tylko do rejonu Warszawy czy Polski. Warsztaty prężnie się rozwijały i mogły się poszczycić zwodowaniem statku parowego, który od 1863 roku zaczął pływać po Dniestrze. Statek wzbudzał podobno duże zainteresowanie swoim nowoczesnym wykonaniem, przepychem, praktycznością i wygodami.

Fabryka w dużym stopniu przyczyniła się do rozwoju kolei parowej. Mimo, że dla kraju był to duży krok w przyszłość, to dla Powiśla nie wróżyło to dalszego rozwoju. Z powodu dróg kolejowych stopniowo odchodzono od Wisły. Nastąpiła tendencja przenoszenia fabryk i zakładów

przemysłowych na drugą stronę Warszawy w pobliże kolei. Bez wątplenia najważniejszą w przemyśle ówczesnej Warszawy była branża metalowa. Tu mamy kolejny przykład inwestycji na terenie obecnego Powiśla. Na rogu Książęcej i Smolnej mieściła się rządowa fabryka maszyn produkująca urządzenia dla cukrowni, gorzelni i tartaków. Była to podobno trzecia pod względem wielkości fabryka w Warszawie (zaraz po niej mieściły się wspomniane wyżej warsztaty żeglugi parowej). W fabryce rządowej przed 1860 rokiem pracowało około 300 osób a w warsztatach Zamoyskiego 200 osób. W tym czasie w największej fabryce Warszawy należącej do Evansa pracowało 500 osób. W 1854 do spółki z Evansem przystąpili Stanisław Lilpop i Wilhelm Rau, zarządcy Rządowej Fabryki Machin na Solcu, którym w roku 1866 bracia Evansowie odsprzedali firmę.

Na terenie Powiśla znajdował się również jeden z dwóch i największy w Warszawie młyn parowy należący do Banku Polskiego a wcześniej do Towarzystwa WYROBÓW ZBOŻOWYCH, którego członkiem był oczywiście hr. Zamoyski. Była to dość duża produkcja, bo ze źródeł wynika, że zatrudniała ponad 200 osób. Po upadku powstania styczniowego w 1864 roku to miejsce nabrało też innego znaczenia. Stało się kryjówką dla Aleksandra Waszkowskiego, naczelnika Warszawy i ostatniego dyktatora powstania. Naczelnik ukrywał się pod szopą młyna między deskami. O tej kryjówce nie wiedział nikt poza powiślańskimi bezdomnymi. Dyktatora niestety ujęto w grudniu 1865 i stracono.

W 1856 roku wzdłuż ulicy Ludnej zapaliły się latarnie gazowe, którym paliwa dostarczała gazownia wybudowana przy tej samej ulicy. Gazownia powstała z inicjatywy Kontynentalnego Towarzystwa Gazowego z Dessau. Warszawa około 1860 wyglądała zatem zupełnie inaczej, aniżeli w roku 1815, kiedy przybył do niej Szymon Eborowicz otwierając niewielki zakład przemysłowy produkujący oleje jadalne i techniczne. Jego syn zarzucił produkcję na rzecz handlu olejami i innymi artykułami spożywczymi, a wdowa nominalnie prowadziła jedną z 12. w stolicy, dużą hurtownię wódek i likierów. Z czasem Mikołaj Eborowicz sam się wziął za produkcję wódek z uwagi na wysoką rentowność tej gałęzi przemysłu.

Józef Chmielowski wybrał się do Warszawy w sobotę 11 czerwca 1859 roku wraz ze swoim bratem Franciszkiem, księdzem w parafii Ujazd. Do Skierniewic dojechali dylżansem pocztowym, a stamtąd kilka minut po godzinie 8.00 wyjechali koleją warszawsko-wiedeńską do stolicy, gdzie przybyli po dwóch godzinach jazdy pociągiem. Zasadniczym celem tej podróży był ślub Józefa z piękną Felicjaną Eborowicz zaplanowany na wtorek 14 czerwca w kościele św. Jana. Jednak bracia zamierzali też spędzić razem w Warszawie dwa dni Zielonych Świątek, w czasie których odbywały się tam liczne imprezy i zabawy kończące się pokazami ogni sztucznych w parku Kaskada na Marymoncie. Pewne sprawy związane ze ślubem oraz z weselem Józefa też wymagały omówienia i załatwienia. Bracia zatrzymali się w klasztorze ojców karmelitów przy Krakowskim Przedmieściu, który został tam założony już 1639 roku. Nikt wówczas nie mógł przypuszczać, że za lat pięć zaledwie władze carskie skasują ten zakon za udział karmelitów w powstaniu styczniowym. Józef pragnął, aby ślubu udzielił mu brat, ale przecież znajdował się on poza swoją parafią Ujazd i formalnie nie było to możliwe. Jako udzielający ślubu i jednocześnie, jako urzędnik stanu cywilnego mógł wystąpić tylko proboszcz parafii św. Jana. Problem ten rozwiązano polubownie, choć tego rodzaju „zastępstwa” zdarzały się stosunkowo rzadko. Ksiądz Chmielowski wystąpił, jako kapłan „błogosławiący” zawarte małżeństwo oraz jako pełniący czasowo obowiązki proboszcza i urzędnika stanu cywilnego. Rzecz oczywista, że zapowiedzi dotyczące tego ślubu musiały być ogłaszane w obu parafiach, co skrupulatnie odnotowano w księdze małżeństw. Wpierw jednak Józef spotkał się z

matką panny młodej Marianną i jej braćmi Karolem i Mikołajem, a jego brat udał się porozmawiać z proboszczem parafii św. Jana o zbliżającym się ślubie.

Niedziela była dniem pięknym i słonecznym. Jak bawili się w Zielone Świątki warszawiacy niech opiszcie dla nas „Kurjer Warszawski”.

„Dawno już może tak piękna nie sprzyjała pogoda Bielanom, jak dwóch dni ostatnich, w które jako w Zielone Świątki nawiedzane bywa to miejsce. Korzystając zatem z tak pięknej pogody, od niedzieli rano, rozpoczęto swoje przejażdżki i wędrowki, a gdy jedni wierni zwyczajowi, ciągnęli ku stronom kędy z zielonego lasu wychylają szczyt swój Kamedulskie wieżycy ; drudzy tymczasem odkładając tę przejażdżkę nazajutrz rzucali się w strony przeciwne, opierając się aż o rozkoszny Willanów. Gdzie więc tylko przyjemne wabiło powietrze lub wyborna muzyka, jak np. w ogrodzie P. Ohm, za rogatką Wolską, wszędzie można było dostrzec tłumnie spacerujących, nie wyłączając ni Kaskady, ni Czystego, ni Nowego Ogrodu Warszawskiego, ni Saskiej Kępy, itd. Oprócz tego, w Dolinie Szwajcarskiej zebrano się licznie; zaś aleje i wspaniałe ogrody Belwederski, Botaniczny, lub Saski, napełniły się światem eleganckim, używającym z przyjemnością świeżości powietrza dnia onegdajszego. Ale prawdziwa jazda na Bielany, długim jak to mówią szeregiem powozów, dorożek, omnibusów, bryczek i konnych, a nawet ciągnących pieszko i wodą, rozpoczęła się wczoraj po 6-ej z południa, wobec tłumu rozsypanych po ulicach osób, przypatrujących się temu corocznie ponawianemu pochodowi. I niezdługo w alei Bielańskiego lasu, ponad brzegiem sianej i szumiącej Wisły, ukazał się świat modny, przechadzając się przy brzmieniu muzyk wojskowych wtedy, gdy poniżej w dolinie Bielańskiej, wesoly ludek pomodliwszy się PANU od samego rana, używał rozrywek, na jakie tylko pomysł ludzki zdobyć się zdołał. W rozpiętych namiotach wrzał gwar nieustanny, gromadzących się w kółka, obok długich stołów na których płynące strumienie różnorodnych napojów, świadczyły najlepiej o odbywanych na tym polu walkach, przy brzęku kufli bawarskich. Po za szataśami wrzały karuzele i młyny diabelskie, na których pękały imitacje krynolin, z którymi igrał figlarny wietrzyk. Od czasu do czasu, przechadzał się misio, alias mały niedźwiedź, przedstawiając otaczającym go grupom najrozmaitsze sztuki, z wyjątkiem utrzymania szklanki, którą albo za lekko wzięwszy w swą łapę upuścił, albo za nadto znowu ścisnąwszy, zdruzgotał. W dali za doliną ktoś dmuchał w klarynet, nie pytając, jakie wydobywał tony, a wesoly Maciuś rznął na skrzypkach, coraz to innego, tylko na tę samą nutę, wyzywając gromadki wiejskie do podrygania przy zawinięciu poły na rękę, w oberku. Resztę uzupełniały szataśy z widowiskami, jak menażerią P. Szolca, , figurami mechanicznymi, galerią obrazów, i tp. I cały ten obraz tak różnobarwny, jak plonem pokryte pola, przeplatany to kwiecistością eleganckich strojów, to wiankami z kwiatów, albo wstążkami na głowie dorodnych cór ludu, łudził oko przechodnia, do samego wieczora, dopóki nie nastąpił odwrót do Warszawy, urozmaicony w Kaskadzie sztucznymi ogniami, które od godz. 9-ej wieczorem, zaczęły się rysować na tle gwiazdzistego nieba. Około godz. 7-ej, zaszczycić raczył obecnością swoją Bielany JO. Xzę Gorczakow NAMIE-STNIK Królestwa, ukazawszy się konno wraz z świetnym orszakiem.”

Bracia Chmielowscy nie czekali na pokaz ogni sztucznych, a zaraz po wizycie księcia Gorczakowa wrócili dorożką do miasta i udali się na spoczynek w pokojach gościnnych klasztoru. W czasie skromnej kolacji wspominali swoją rodzinną Brzozę, wieś położoną na skraju Puszczy Kozienickiej. Ich ojciec Dionizy miał tam niewielki majątek, chociaż większość okolicznych terenów należała do rodziny hrabiów Ożarowskich. Wybudowali oni wspaniały pałac otoczony przez imponujący park. Założono stawy rybne, utwardzono drogi i przeprowadzono meliorację. Ożarowscy zakładali w swoich włościach szkoły dla miejscowej ludności. O ile Dionizy Chmielowski stracił swój majątek po powstaniu listopadowym, to Ożarowscy zawsze byli lojalistami blisko związanymi z dworem cesarza Rosji. Na 10 lat przed ślubem Józefa, car Aleksander II zaszczycił swoją obecnością tą niewielką wioskę, gdyż hrabina Ożarowska była spowinowacą z rodziną carską. Pułkownik hrabia Ożarowski był oficerem do specjalnych poruczeń przy Namiestniku Królestwa oraz członkiem komitetu rozpoznającego prośby do cara, któremu przewodniczył w 1859 roku baron Ferse.

Dionizy Chmielowski załamany konfiskatą swoich dóbr wkrótce zmarł i dziećmi zajmowała się ich matka Cecylia z Mąkosów. Dbała o ich wykształcenie, choć najstarszy poszedł do wojska, a

Franciszek wybrał drogę nauki w seminarium duchownym. Józef uczył się początkowo w Radomiu, a potem w Warszawie zdobywając uprawnienia do nauczania w szkołach rządowych. Kiedy więc Franciszek otrzymał probostwo w Ujeździe, postarał się o pracę nauczyciela w miejscowej szkole dla swego brata, aby znowu mogli zamieszkać razem z matką. Cecylia mieszkała z synem na plebanii, a Józef dostał lokum służbowe przy szkole.

Tymczasem w poniedziałek nadal obchodzono Zielone Świątki i po nabożeństwach ludność Warszawy znowu wyruszyła na Bielany i do Wilanowa oddawać się przeróżnym rozrywkom. Bracia Chmielowscy tym razem udali się wieczorem do parku Kaskada (zwanym tak z powodu naturalnego wodospadu, który tam płynął) i wieczorem obejrzeli kolejny pokaz ognia sztucznych.

Rankiem we wtorek 14 czerwca Józef kupił za 7,5 kopiejki „Gazetę Warszawską”, w której przeczytał, że *„wczorajsze Bielany były ludne i tłumne, choć okropną kurzawą okryte, ale nasza zacna publika wierna odwiecznej tradycji, na nic nie zważała; dość dla niej, że nie było deszczu, ani chłodu, aby ochota do wędrówki się znalazła.”* Dziennik podał też, że wczoraj w południe temperatura wynosiła 24 stopnie w używanej wówczas skali Reamura, czyli ok. 20 stopni w skali Celsjusza. Ślub Józefa wyznaczono na godzinę wpół do siódmej wieczorem, wtorek był chłodny, a rano padał deszcz. Na szczęście pod wieczór przestało padać, a nawet pokazało się słońce. W kościele św. Jana Chrzciciela stawili się blisko 50 osób krewnych i znajomych Józefa i Felicjanny.



18. Katedra św. Jana Chrzciciela w Warszawie

Świadkami zostali bracia panny młodej Karol i Mikołaj Eborowiczowie. Józef w chwili ślubu miał już lat 35, a jego żona lat 19. Jako adres zamieszkania Felicjanna podała ulicę Bednarską nr 2690 B, a jej obecna w trakcie ceremonii matka wyraziła zgodę na zawarcie związku małżeńskiego. Natomiast pan młody przedstawił zgodę kuratora Warszawskiego Okręgu Naukowego, gdyż jako nauczyciel w szkołach rządowych był do tego zobowiązany. Po zaślubinach goście powozami i dorożkami udali się

do Hotelu Bawarskiego przy ulicy Bednarskiej 7, gdzie odbyło się wesele. Hotel ten najlepsze lata miał już za sobą, a po otwarciu mostu Kierbedzia przekształcił się w dom publiczny, ale w roku 1859 był ulubionym miejscem spotkań cyganerii warszawskiej, czyli młodych literatów i artystów. Nieco później stał się miejscem spotkań różnych tajnych organizacji i sprzysiężeń przygotowujących grunt pod powstanie styczniowe. Tam właśnie bawił się Józef Chmielowski z nowo poślubioną Felicjaną przy udziale licznych gości. Dwie starsze panie – Cecylia Chmielowska i Marianna Eborowicz rozmawiały w zaciszu osobnego gabinetu o przyszłych losach młodej pary. Mariannę martwiły niskie dochody Józefa, który na pensyjce nauczyciela zarabiał ledwie 300-350 rubli rocznie i to nieregularnie. Utrzymanie nauczyciela szkoły elementarnej w tym czasie spadało na barki sołtysa lub wójta, który pobierał składki od chłopów lub mieszkańców w naturze i w pieniądzu i wypłacał je nauczycielowi. Dopiero w 1876 roku upowszechnił się zwyczaj miesięcznych wypłat. Nauczyciel nie mógł sobie w żaden sposób dorabiać do skromnej pensyjki. Gdyby np. wystąpił w karczmie jako grajek, zostałby niezwłocznie usunięty z zawodu. Mógł natomiast uprawiać przydzielony mu kawałek ziemi na własne potrzeby, ale nie dotyczyło to nauczycieli w miastach. Do szkoły miały obowiązek uczęszczać dzieci między 8 a 12 rokiem życia. Uczono jeszcze wtedy po polsku, dopiero w roku 1873 językiem nauczania stał się język rosyjski. Postępująca rusyfikacja szkolnictwa spowodowała odejście Józefa z zawodu nauczyciela rządowego. Był więc on przez lat 15 nauczycielem w mieście i przez lat 5 uczył na wsi, chociaż nie zmienił swego miejsca zamieszkania. Felicjanna otrzymała posag w gotówce, było tego 3 000 rs, a więc suma pokaźna, jak na owe czasy. Zdecydowała się opuścić Warszawę i wyjechała ze swoim mężem do Ujazdu, gdzie dostał on nieco większe mieszkanie, jako człowiek żonaty. Nauczanie nigdy nie było pasją Józefa, a raczej koniecznością zarabiania na życie. Dlatego w latach późniejszych przejdzie on do pracy w kolei, która w jego czasach bardzo szybko się rozwijała. Będzie pracował zarówno przy budowie nowych dróg żelaznych, jak i w eksploatacji gotowych odcinków kolei. Znajdzie tam zatrudnienie wielu członków tej rodziny, a Mikołaj Szletyński będąc już emerytowanym kolejarem, zginie przejechany przez pociąg w roku 1934 w Łodzi.

Dzieci Józefa i Felicjanny urodziły się w Ujeździe. Pierwsza była Zofia w roku 1861, rok później Władysława, w roku 1864 Józefa, a upragniony syn Julian w roku 1866. Kiedy rodzina opuściła Ujazd Zofia miała 12 lat, a najmłodszy Julian 7 lat. Odtąd zaczęła się ich tułaczka, gdyż rodzice do końca życia nie dorobili się własnego domu. Przemieszczali się zgodnie z zatrudnieniem Józefa Chmielowskiego, bądź przy budowie drogi żelaznej lub też obsługując gotową już linię. W trakcie budowy mieszkali w prowizorycznych barakach zwanych też koszarkami. Natomiast pracując na funkcjonującej już stacji kolejowej, korzystali z mieszkania służbowego, przy którym często był kawałek ziemi do uprawy na własne potrzeby. Częściej jednak żona Józefa, a potem córki prowadziły na stacji bufet sprzedając podróżnym herbatę i jakieś posiłki. Józef Chmielowski nie wypracował sobie emerytury ani jako nauczyciel, ani też jako kolejarz. Kiedy już zdrowie nie pozwalało mu na pracę, pozostawał na utrzymaniu męża Zofii Aleksandra Niewiarowicza. Felicjanna zwracała się też o pomoc do męża swej siostry Konstancji Higina Liszko, który zatrudniał czasami swoich krewnych do prac w gospodarstwie rolnym.

Rzeczony Higin Liszko zjawia się nam 24 maja 1856 z okazji narodzin swego syna, które nastąpiły jednak 1 lipca 1851 roku. Chłopczyk liczył więc sobie prawie 5 lat, kiedy to zamożni w końcu rodzice zdecydowali się go ochrzcić. Tradycyjnym już zwyczajem w akcie chrztu odnotowano, że opóźnienie tej ceremonii nastąpiło z powodu „oczekiwania na kumów”. A rodzicami chrzestnymi zostali znani nam już: doktor medycyny Antoni Eborowicz wraz z Julią Lipińską. Jej małżonek Adam Lipiński i Karolina Eborowicz stanowili drugą parę rodziców chrzestnych. Chłopczyk otrzymał imiona Juliusz Stefan Konstanty, zgodnie z tradycją rodzinną Liszków.

Dzień wcześniej tj. w piątek, Warszawę odwiedził car Aleksander II i z tej okazji odbyły się wielkie uroczystości powitalne, a tłumy mieszkańców zapełniły Plac Saski, Nowy Świat, Senatorską i Miodową. Car, w towarzystwie namiestnika Gorczakowa pojawił się ok. 13.00 w cerkwi, gdzie powitał go prawosławny arcybiskup warszawski Arseniusz (Fiodor Pawłowicz Moskwin). Pełnił on swoją funkcję w latach 1848-1860, poczym został przeniesiony do Kijowa.



19. Car Aleksander II Romanow

Ok. 15.00 car pofatygował się na dworzec kolei żelaznej, aby powitać swoją siostrę wielką księżną Olgę Mikołajewną Romanową z małżonkiem. W roku 1846 poślubiła ona księcia wirtemberskiego Karola, a na tron Wirtembergii wstąpił razem w roku 1864. Małżeństwo to nie było jednak szczęśliwe, gdyż Karol okazał się być homoseksualistą. Z tego też powodu para ta pozostała bezdzietna.

W niedzielę przypadało święto Bożego Ciała, w związku z czym odbyły się tradycyjne procesje. Natomiast car udał się na pola Powązkowskie celem przeglądu wojska. W roku 1818 założono tam obóz wojskowy tzw. Powązkowskie Pole Wojenne, gdzie zbudowano koszary, magazyny i place ćwiczeń. Wieczorem na zamku królewskim odbył się wielki bal na ponad 500 osób z okazji wizyty cara i króla.

Wybiegnijmy nieco w przyszłość, kiedy to 5. letni, dopiero co ochrzczony chłopczyk, dorasta i bierze ślub z Wandą Uszyńską. Ślub ten odbył się w Warszawie 26 września roku 1878, rodzice jego jeszcze żyli i mieszkali przy ulicy Podwal nr 501 w kamienicy rządowej. Jak wcześniej wspomniano ich syn Stefan Juliusz Maria Liszko zostanie oficerem i będzie walczył we wszystkich wojnach XX. wieku. Wielokrotnie odznaczany pułkownik kawalerii przeżyje 100 lat, zostanie więc świadkiem burzliwych dziejów tego stulecia.

Najbardziej poczytną książką 1856 roku było dzieło angielskiego uczonego Brewera zatytułowane „*Tajniki przyrodzenia czyli wyjaśnienie codziennych zjawisk natury w formie pytań i odpowiedzi podane*”, którą wydał Orgelbrandt. Z wydania francuskiego przełożył na polski to dzieło Szymon Pisulewski.

W roku 1860 u wylotu Nowego Zjazdu rozpoczęto budowę Mostu Nowego Stałego według projektu inż. Stanisława Kierbedzia. Budowa ta potrwa jeszcze cztery lata. Po koniec lat 50. Nasilał się opór przeciwko caratowi, odbywały się liczne demonstracje patriotyczne. Ofiarą ich padnie górny

odcinek ulicy Bednarskiej, gdzie przeprowadzone zostaną po powstaniu styczniowym liczne wyburzenia. Chodziło głównie o likwidację wąskich przesmyków, gdzie chronili się demonstranci przed szarżującymi kozakami.

Na razie jednak w całym Królestwie Polski narastał ferment, zawiązywały się liczne spiski i sprzysiężenia. Przegrana Rosji w wojnie krymskiej odśłoniła jej wewnętrzną słabość, a to z kolei ośmieliło do wystąpień anty carskich. Na Uniwersytecie Kijowskim powstał tajny Związek Trojnicki, który szukał kontaktów z młodzieżą na terenie zaborów. Drugim ośrodkiem konspiracji był Petersburg, gdzie powstało sprzysiężenie oficerów studiujących w Akademii Sztabu Generalnego. Działali tam Zygmunt Sierakowski i Jarosław Dąbrowski. Co ciekawe późniejszy dyktator powstania Romuald Traugutt był w tym czasie w Petersburgu wykładowcą w Wojskowym Instytucie Galwaniczno-Technicznym w stopniu kapitana armii carskiej. O konspiracji Sierakowskiego wiedział, ale do niej nie przystąpił, trzymał się z dala. Bardzo chciał zdobyć uprawnienia nauczyciela chemii i fizyki, co by mu pozwoliło po przejściu na emeryturę wojskową pracować w szkolnictwie.

W Warszawie w roku 1857 powstała Akademia Medyko-Chirurgiczna i tam zawiązały się pierwsze spiski. W maju 1858 roku do stolicy przybył z Kijowa Narcyz Jankowski, który założył kilka tajnych kółek w środowisku akademickim, a następnie zaczął je integrować i prowadzić potajemne szkolenia wojskowe. W 1859 roku zebrała się kapituła organizacji Czerwonych przygotowując plany wybuchu powstania. 11 czerwca 1860 pogrzeb wdowy po bohaterze powstania listopadowego generale Józefie Sowińskim stał się wielką manifestacją patriotyczną. W październiku 1860 w czasie warszawskiego zjazdu monarchów przeszkodzono iluminacjom i balom towarzyszącym konferencji, a na przedstawieniu galowym w Teatrze Wielkim fotele oblane cuchnącym płynem. Akcją tą kierował Franciszek Godlewski. 29 listopada 1860, w rocznicę Nocy Listopadowej zorganizowano kolejną wielką manifestację i odśpiewano pieśń skomponowaną niegdyś przez Alojzego Felińskiego na cześć cara Aleksandra I, zmieniając jej refren na: Ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie. Irytującą władze rosyjskie pieśń śpiewano następnie przy okazji wszystkich manifestacji. Wobec nasilających się wystąpień ludności Warszawy, car Aleksander II zdecydowany był zastosować najsurowsze represje i w wypadku większych demonstracji ulicznych miasto miało zostać zbombardowane z Cytadeli.

25 lutego 1861 wojsko rosyjskie rozpędziło demonstrację przeprowadzoną w 30. rocznicę bitwy o Olszynkę Grochowską. 27 lutego na Krakowskim Przedmieściu od salwy rosyjskiej padło pięciu manifestantów. Wydarzenia te skłoniły obradujące na Zamku Królewskim Towarzystwo Rolnicze do przyjęcia uchwały o uwłaszczeniu chłopów. Zbulwersowane tymi wydarzeniami mieszczaństwo warszawskie utworzyło Delegację Miejską, pod przewodnictwem bankiera Leopolda Kronenberga, która złożyła adres do cara, w którym domagano się poszanowania wolności obywateli Królestwa Polskiego. 2 marca pogrzeb pięciu poległych na Cmentarzu Powązkowskim przeistoczył się w wielką manifestację solidarności wszystkich stanów Królestwa. Dla pacyfikacji nastrojów car Aleksander II zmuszony był poczynić pewne ustępstwa. Reaktywowano wówczas Radę Stanu, utworzono kierowaną przez Aleksandra Wielopolskiego Komisję Rządową Wyznań i Oświaty, spolonizowano administrację. Były to posunięcia czysto taktyczne, obliczone na opóźnienie wybuchu powstania poprzez pozyskanie dla idei reform części społeczeństwa polskiego. Już 8 kwietnia na Placu Zamkowym Rosjanie pokazali swoje prawdziwe intencje, gdy ostrzelali bezbronny tłum. Zginęło 100 osób a kilkaset zostało rannych. Pod koniec maja 1861 zmarł na apopleksję namiestnik Królestwa Polskiego gen. Michaił Górczakow - jego następcą został Nikołaj Suchozanet, który wprowadził jeszcze większy reżim i represje. Można było zostać aresztowanym nawet za noszenie stroju narodowego lub śpiewanie pieśni patriotycznych. W celu spacyfikowania Królestwa Polskiego nowy rosyjski namiestnik gen. Karol hr. Lambert 14 października 1861 roku wprowadził stan wojenny. 15 października, mimo zakazów, warszawiacy wzięli udział w obchodach rocznicy śmierci Tadeusza

Kościuszki, co skończyło się rozbiem manifestacji przez wojsko rosyjskie i porywaniem ludzi z kościołów. Wojska rosyjskie dowodzone przez wojskowego generał-gubernatora warszawskiego Aleksandra Daniłowicza Gerstenzweiga dokonały pacyfikacji ludności cywilnej zebranej w katedrze św. Jana w Warszawie. Na znak protestu przeciwko aresztowaniu 1878 wiernych w katedrze warszawskiej, do której wtargnęło wojsko, administratorzy diecezji nakazali zamknięcie wszystkich kościołów i kaplic w Warszawie. 17 października 1861 Apollo Korzeniowski zawiązał Komitet Miejski, który zajął się przygotowaniem wybuchu powstania. Hrabia Lambert ugiął się przed tym oporem i uwolnił większość zatrzymanych. Po kilku dniach Lambert podał się do dymisji, a nowym namiestnikiem został gen. Aleksandr Lüders.

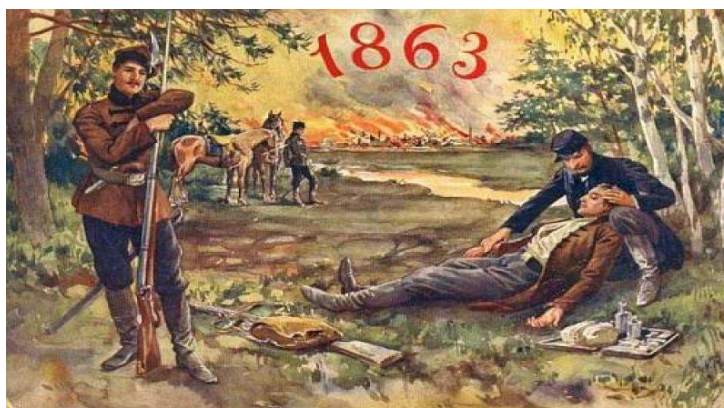
Nie jest moim celem opisywanie przebiegu powstania styczniowego w jego 150. rocznicę. Ważna dla tej opowieści była patriotyczna atmosfera, w której wyrastali nasi antenaci, gdyż tragiczne to powstanie wywarło wpływ na losy niemalże każdej rodziny polskiej. Nie znamy losów Juliusza Liszko, brata Higinia, który w tym powstaniu poległ śmiercią bohatera. Już sam fakt, że fotografia jego powstańczej mogiły zachowała się w naszej rodzinie świadczy o swoistym kulcie tego młodego powstańca.



20. Powstańcza mogiła Juliusza Liszko

Nie dotknęły opisywanych tutaj przodków konfiskaty majątków ziemskich, gdyż albo je już utracili po powstaniu listopadowym (Chmielowscy), albo takowych nie posiadali. Karol Eborowicz był urzędnikiem warszawskiej straży ogniowej, miał małe dzieci na utrzymaniu i nie kwapił się do udziału w powstaniu. Podobnie rzecz się miała z Mikołajem, któremu jako kupcowi powstanie mogło tylko zaszkodzić. Ludwik Szletyński walczył w przegranym powstaniu listopadowym i doskonale zdawał sobie sprawę z faktu, że i to powstanie skazane jest na nieuchronną klęskę. Nie jest wykluczone, że sympatyzował on z ruchami patriotycznymi, w przekazach pamiętnikarzy wspomina się, że to z policyjnych cyrkułów 3. oraz 4. wyszły ostrzeżenia dla przywódców konspiracji o wzmożonym ruchu wojsk moskiewskich w nocy z 13 na 14 stycznia. Mogło to oznaczać przygotowanie do masowego poboru do wojska. Niestety ostrzeżenia te zostały zlekceważone przez członka Komitetu Miejskiego Konstantego Szaniawskiego, który oświadczył, że są to urojenia, a

Komitet doskonale wie, że pobór zacznie się dopiero za dwa tygodnie. Szaniawski był oficerem legionów węgierskich w kampanii 1849 roku, zesańcem na Syberię, a w powstaniu poległ w czasie potyczki pod Czyżewem w maju 1863 roku. Niestety w tym przypadku mylił się, co spowodowało dezorganizację pracy Komitetu Miejskiego. „Kurjer Warszawski” z 20 stycznia 1863 roku donosił z entuzjazmem, że pobór do wojska w dniu 15 stycznia odbywał się w „z zachowaniem spokojności” w godzinach od 1.00 do 8.00 rano. Przygotowane środki represji na wypadek nieporządków okazały się niepotrzebne. Także w następnych dniach gazeta ta drukowała oficjalne ukazy i pisma cesarza Rosji nie wzmiankując ani słowem o jakichkolwiek walkach. Dopiero 27 stycznia dziennik donosił o „bandach buntowniczych”, które w wielu miejscach Królestwa Polskiego napadały na oddziały wojska. Owe „bandy” były uzbrojone w strzelby myśliwskie, kosy, rewolwery i noże. Powstańców nazywano „burzycielami”, buntownikami, a nawet „złoczyńcami”. Wg tych informacji większość tych ataków odparto, a napastników zabito lub schwytano. Między wierszami tych ocenizowanych wiadomości można wyczytać, że Rosjanie zostali zaskoczeni skalą ataków, co zmusiło ich potem do koncentracji sił w większych miastach garnizonowych. W trakcie opisywanych potyczek zostali ranni w Radzynie wysocy oficerowie rosyjscy generał-major Kannabich oraz pułkownik Meinbaum. Świadczy to panującym chaosie w szeregach armii zaborczej w początkowym okresie powstania. W tym samym numerze p.o. warszawskiego oberpolicmajstra podpułkownik Muchanow wydał szczegółowe zarządzenie zaostrzające wcześniej wprowadzony stan wojenny na terenie stolicy. Nikt dla przykładu nie mógł się po zmroku poruszać bez oświetlonej latarki, a po godzinie 23.00, aż do świtu obowiązywała godzina policyjna. Co gorsza, wszystkie „szynki, kawiarnie, bawarie i traktierne” musiały zamykać swoje podwoje już o 18.00. Tak to się wszystko zaczynało. Aby uzyskać prawdziwy obraz tego powstania należałoby sięgnąć po czasopisma wydawane przez Rząd Narodowy tzn. „Ruch”(drukowany od 5 lipca 1861 do 14 lipca 1863), czy „Niepodległość” wydawana po lipcu 1863 roku. „Ruch” z marca 1863 roku drukował w nr 14 odezwę gen. Mariana Langiewicza wzywającą cały naród do walki o wolność i niepodległość. W tym samym numerze Langiewicz określał skład i kompetencje Rządu Narodowego Cywilnego. Kolejne rozporządzenia rządu znosiły loterię, zawieszały kurowanie kolei warszawsko-petersburskiej i ustanawiały trybunały rewolucyjne. Wzywano też Polaków nadal w służbie rosyjskiej pozostających, do opuszczenia szeregów armii i policji zaborczej pod groźbą wieczystej banicji. Prawdy o powstaniu dowiemy się także ze zbioru dokumentów, które figurują w bibliografii. Ich lektura jest niezwykle interesująca, poznajemy tam najdrobniejsze szczegóły tych nierównych walk. Taktyka oddziałów kosynierów i ich regulamin walki są jedyne w swoim rodzaju w historii wojskowości.



21. Powstanie styczniowe

Pamięć o powstaniu będzie trwała, niektórzy z jego bohaterów dożyją czasu, gdy Polska odzyska niepodległość w listopadzie 1918 roku. Podtrzymanie tradycji patriotycznych, okazanie niezłomnego ducha walki o wolność, to trwała wartość tego powstania, którą zostali naznaczeni bohaterowie tej opowieści. Będą oni później walczyć i ginąć na wszystkich frontach wojen XX. wieku, aby odzyskanej wolności nie oddać pod obce panowanie. Pierwszym był Ludwik Szletyński, a ostatnim zostanie jego prawnuk Andrzej Szletyński (ur. 1932) aresztowany przez stalinowskich oprawców i skazany w roku 1950 na 15 lat więzienia za przewodzenie młodzieżowej, konspiracyjnej organizacji o nazwie Związek Białej Tarczy.

A powstanie styczniowe tak gorzko podsumował autor pamiętnika Zbigniew Chądzyński:

„Powtarzam, że ostatnie powstanie nasze śmiało nazwać można poronionym, bo ani czas, ani okoliczności nie były po temu, przygotowań i środków prawie żadnych, choć pod tym względem łudziliśmy się wzajem, trąbiąc o mnóstwie sprowadzonej broni, o całej armii sprysięgłych już zorganizowanej, o gotowości ludu itp., zresztą któż dowiedzie, czy rząd carski nie chciał przyspieszyć wybuchu by raz skończyć i runąwszy przeważną siłą, krwią zalać pierwsze isierki i nie dać im zabłysnąć płomieniem? W chwili wybuchu nie znalazło się broni dla garstki bezbronnych, lud nie zrozumiał, o co rzecz idzie... szczęściem tylko, że blagując siebie, oblagowaliśmy i Moskwę, która nabywszy przesadnego o siłach powstańczych wyobrażenia, zamknąwszy się w miastach pozostawiła nam wolne wsie lasy. Lecz żart długo trwać nie może... wreszcie Moskwa, widząc, że powstańcy nie napadają, lecz owszem, cofają się wszędzie prawie, a tylko bierny dają opór (stosownie do poleceń tajnych Rządu bezimiennego), odważyła się ich ścigać i wreszcie robić prawdziwe oblężenia na tułające się bez celu, planu i związku z sobą drobne oddziały powstańcze. Ze strony Moskwy była zawsze przewaga broni, liczby i pierwszeństwa w napadzie, nic więc dziwnego, że oddziały po dłuższej lub krótszej przechadzce z bronią, po dłuższym lub krótszym istnieniu, lub rozpuszczały się wskutek bitwy, często niespodzianej, lub topniały same przez się.”

Ta smutna konkluzja znajduje potwierdzenie w tragicznym losie ostatniego dyktatora powstania Romualda Traugutta, zdradzonego przez własnych współpracowników i wydanego na szubienicę.

Tymczasem Józef Chmielowski wiódł spokojne życie ze swoją Felicjaną w cichym Ujeździe. Wieś ta, znana od XIII wieku, leżała ongiś w województwie łęczyckim. Jednym z pierwszych właścicieli wsi był w roku 1283 Racibor, podłowczy łęczycki, który tegoż roku kupił od Bolesława II, księcia mazowieckiego wieś Niewiadów. Synami Racibora byli Janusz i Włostow z Ujazdu. Miasto na prawie magdeburskim założono tutaj w roku 1428, a wraz z nim powstała parafia na mocy dekretu arcybiskupa Wojciecha Jastrzębca z dnia 5 września 1429 roku. Na początku XIX wieku Ujazdem władała rodzina Ostrowskich. Bracia Władysław i Antoni brali czynny udział w powstaniu listopadowym, za co zapłacili konfiskatą majątku oraz zmuszeni zostali do emigracji. W roku 1850 całe centrum miasteczka strawił wielki pożar, którego ślady oglądał Józef Chmielowski, gdyż za jego czasów nie odbudowano jeszcze ratusza miejskiego. Spadła liczba ludności, co wykorzystały władze carskie pozbawiając Ujazd praw miejskich w roku 1869. Była to jedna z form represji zaborcy na społeczeństwie polskim po przegranym powstaniu styczniowym. Smutna ta wiadomość dotarła do Władysława Ostrowskiego na kilka miesięcy przed jego śmiercią w listopadzie 1869 roku. W roku 1862 powrócił on z emigracji „na paryskim bruku” i osiadł w Krakowie. Jego syn Stanisław uzyskał zgodę cara Aleksandra II na wykup swoich dóbr rodzinnych oprócz Ujazdu i Tomaszowa, które

przeszły na własność rządową. Kiedy w roku 1870 Józef Chmielowski opuszczał podupadły Ujazd, liczył on tylko 79 parterowych domków i 1190 mieszkańców, z czego 764 stanowiła ludność żydowska. Do szkoły elementarnej uczęszczało coraz mniej dzieci polskich, a kiedy zarządzono naukę wszystkich przedmiotów po rosyjsku, rodzina Chmielowskich zdecydowała się na opuszczenie tej miejscowości. Na nic zdały się prośby i nalegania brata Józefa księdza Franciszka Chmielowskiego, który zawsze wspierał swoich krewniaków i żył się z nimi. On także jednak utracił sporo, gdyż parafia została pozbawiona przez zaborcę wielu przywilejów. Parafia miała grunty, place w mieście, korzystała z dziesięciny i świadczeń w naturze. Wszystkie te źródła utrzymania parafii i proboszcza były stopniowo likwidowane przez władze rosyjskie. W 1964 roku skonfiskowano ostatecznie wszelkie dobra kościelne pozostawiając jedynie sześć mórg ziemi. Od tej chwili proboszcz miał otrzymywać stałą pensję w wysokości 300 rubli rocznie. Ksiądz Franciszek był w tym czasie zaangażowany w remont kościoła, budował też kaplicę cmentarną, która trwała od roku 1820. Powstała ona w miejscu starego kościoła drewnianego, kiedy proboszczem był ks. Baranowski. Franciszkowi, mimo znacznego pogorszenia sytuacji materialnej parafii Ujazd, przypadło zakończenie tej budowy, co nastąpiło w roku 1874. Pensja wypłacana przez zaborcę proboszczowi parafii, którą musiał się jeszcze dzielić z wikarym, była marną rekompensatą utraconego w latach 1864-68 majątku. Przypomnijmy, że oprócz kilkudziesięciu mórg ziemi proboszcz miał wiele zabudowań gospodarczych w skład, których wchodziły 3 stodoły, kuźnia, stajnia na 10 koni, obora na 20 sztuk bydła, owczarnia na 110 owiec, chlew, piwnica, spichlerz, drwalnia i szopa. Istniał też oddzielny budynek dla obsługi gospodarczej, w którym mieszkało 2. parobków, 2. dziewczki służebne, kucharki i pastuch. Wielki sad i ogrody warzywne dostarczały swoje produkty na plebanię, starczało także na sprzedaż nadwyżek. Wszystko to zniknęło w latach sześćdziesiątych i było rozprzedawane przez carskich czynowników za bezcen. Wielkie łąpówki łądowały w ich kieszeniach, a parafia utraciła niemal wszystkie źródła utrzymania. Kiedy zatem budowa kaplicy cmentarnej została ukończona ksiądz Franciszek Chmielowski opuścił parafię przekazując ją ks. Nestorowi Wachowskiemu.

Ubożał też Józef Chmielowski, gdyż jego dochody nie rosły, a za to powiększała się rodzina. Pierwsza na świat przyszła Zofia urodzona w styczniu 1861 roku. Jej ojciec pragnął, aby była mądra, kształciła się i w przyszłości została nauczycielką lub guwernantką. Dlatego nadał jej imię symbolizujące mądrość. Dziewczynka była bardzo drobna i niestety chorowita, a wizyty lekarza kosztowały. Coraz mniej dzieci uczęszczało do szkoły prowadzonej przez Józefa, omijały ją bowiem dzieci żydowskie, których liczba stale rosła. W Ujeździe mieszkało też ponad 200 osób wyznania protestanckiego, ale ich dzieci uczęszczały do szkoły. Nie przynosili natomiast dochodu parafii, gdyż mieli własny zbór oraz parafię w pobliskim Tomaszowie.

10 lutego 1863 przyszła na świat kolejna córka Józefa i Felicjanny. W kraju wrzało powstanie, zbrojne watahy grasowały na drogach, czasy były niebezpieczne. Szczęśliwy ojciec czekał tydzień i 17 lutego udał się do kościoła, gdzie proboszczem był jego brat Franciszek. Za świadków miał swoich znajomych tj. Bartłomieja Olczyka oraz Karola Plebanka. Nie wyszło jednak z rodzicami chrzestnymi, gdyż po prostu zabrakło chętnych. Miejscowa ludność była w 65% pochodzenia żydowskiego i zajmowała się głównie handlem i prowadzeniem szynków. Polacy stanowili mniejszość, byli to w większości rzemieślnicy lub urzędnicy. W tej trudnej sytuacji chrzestnymi zostali dwaj duchowni. A więc sam proboszcz, brat Józefa oraz ksiądz Jan Jasionowski, który administrował dobrami parafii. Kodeks prawa kanonicznego nie zabrania księdzu wystąpienia w tej roli, ale musi on mieć zgodę biskupa. Nie wiemy, czy taką zgodę obaj kapłani uzyskali. Świadkiem chrztu mógł być nie katolik, ale ochrzczony, co wykluczało Żydów, a promowało protestantów i prawosławnych. Dziewczynka

otrzymała imiona Eufrozyna Władysława, co potwierdza upodobanie Józefa do mitologii greckiej. Eufrozyna była bowiem jedną z mitologicznych Gracji, bogiń wdzięku i radości. Była też święta Eufrozyna Egipcjanka z V wieku n.e., o czym z pewnością wiedział brat Józefa. Kiedy dziewczynka dorośnie nie będzie jednak używała tego imienia, poznamy ją wyłącznie, jako Władysławę i gdyby nie odszukany akt chrztu, nigdy nie usłyszelibyśmy tego pięknego imienia.

W domu państwa Chmielowskich były już dwie córeczki, 2. letnia Zosia i małeńka Władzia. Felicja nie radziła sobie najlepiej z opieką nad małeństwami, obciążały ją też liczne obowiązki domowe, a także uprawa działki należącej nauczycielowi, hodowla kur, kaczek i kóz. Do pomocy przyjechała, więc ze stolicy jej siostra Paulina Władysława Unierzyska, którą pamiętamy z krótkotrwałego małżeństwa z porucznikiem żandarmerii. Traf chciał, że i ona używała na co dzień swojego drugiego imienia uważając je za bardziej polskie, niż to nadane na chrzcie. Matka wołała na nią pieśczołliwie Olinka, ale gdy dorosła wybrała swoje drugie imię. Ciocia Władzia nie zdążyła mieć własnych dzieci, za to całym sercem pokochała dzieci swej siostry i będzie się nimi opiekowała przez długie lata. Na najmłodszą wołała Fruzia, starsza zaś to była jej słodka Zosieńka. Pomoc starszej siostry bardzo się Felicji przydała, a dziewczynki uwielbiały ciocię Władzie. Nie zamieszkała ona na stałe w Ujeździe, nadal miała swoje mieszkanie w Warszawie i skromną rentę po zmarłym poruczniku. Przyjeżdżała do Ujazdu kolejną warszawsko-wiedeńską kilka razy w roku i pozostawała u Chmielowskich przez okres około miesiąca. Była od czterech lat wdową, a że zmarły mąż miał niski stopień oficerski, jej renta ledwo starczała na życie. U siostry miała wyżywienie za darmo, niczego na stole nie brakowało, gdyż w razie potrzeby wspierał ich brat Józefa, miejscowy proboszcz. Dzięki temu Unierzyska mogła co nieco ze swojej renty wdowiej zaoszczędzić. Wspominała często, jak jej zmarły mąż, młody wówczas podporucznik żandarmerii ucieszył się, kiedy doszły ich wieści, że z okazji wizyty cara otrzymają gratyfikacje pieniężne. Rozczarowanie było wielkie, gdy okazało się, że jako młody oficer otrzyma ledwo 50 kopiejek! Donosił o tym fakcie „Kurjer Warszawski z 2 lipca 1852 roku. Nie wiemy, jaką premię otrzymał dowódca dywizjonu żandarmerii pułkownik Rudzewicz. Z pewnością nie była ona liczona w kopiejkach, a w rublach srebrnych.

Józef Chmielowski marzył o synu, który miał otrzymać jego imię i stać się jego następcą. Los jednak spletał mu figla, gdyż w marcu 1866 roku na świat przyszła kolejna córka. Nieco opóźniony „z winy ojca” chrzest odbył się 2 kwietnia, a świadkami jego byli: Roman Wysocki, urzędnik z Rawy oraz znany już nam Bartłomiej Olczyk, który był ławnikiem miasta Ujazd. Dziewczynka otrzymała jedno imię Józefa, a jej rodzicami chrzestnymi zostali: wójt gminy Łazisko Jan Niklewicz oraz Józefa Wysocka, przypuszczalnie żona Romana Wysockiego. Felicja miała wówczas 26 lat, a jej małżonek 43 lata. Pensja nauczyciela szkoły elementarnej nie starczała już na utrzymanie powiększającej się rodziny i dlatego Józef z chęcią przyjął propozycję swego brata podpisując umowę dzierżawną dóbr należących do probostwa. W tym czasie majątek ten był jeszcze spory i Józef, który nie zrezygnował z funkcji nauczyciela, miał teraz bardzo mało wolnego czasu. Szkoła nie absorbowało go zbyt, mało kto kończył 3 klasy, a uczniów było coraz mniej. Nie bez znaczenia była jednak pensja oraz świadczenia w naturze, które Chmielowski otrzymywał. Obejmowały one m.in. 3 garnce żyta i tyleż jęczmienia i gryki tatarskiej, 2 korce i 2 garnce grochu oraz 5 korcy kartofli. Szkoła przeżywała swój okres schyłkowy i wkrótce po pozbawieniu Ujazdu praw miejskich i ona zostanie zlikwidowana. Coraz ostrzejszy kurs na rusyfikację szkolnictwa ostatecznie zniechęcił Józefa do zawodu nauczyciela.

W końcu w lutym 1869 roku, a więc w tym feralnym dla Ujazdu roku w którym utraci prawa miejskie, przychodzi na świat upragniony syn Józefa i Felicji. Otrzymał on na chrzcie imiona Juliusz

Bogumił, a świadkiem był ostatni burmistrz Ujazdu Jan Sierputowski wraz z Leonem Patkiem, posiadaczem ziemskim. Ten ostatni należał do szlachty i pieczętował się herbem Prawdzic. Chrzest celebrował ksiądz Nestor Wachowski, wikariusz parafii Ujazd. Kiedy proboszcz Chmielowski opuścił parafię w roku 1874, ksiądz Wachowski zostanie jej proboszczem, a w roku 1887 obejmie probostwo w Izdebnie. W tym czasie ksiądz Franciszek Chmielowski będzie już cenzorem diecezjalnym, daty jego śmierci nie ustaliłem. Rodzicami chrzestnymi małego Julka zostali Romuald Wysocki, sekretarz magistratu gubernialnego w Piotrkowie oraz Bogumiła Patek, z pewnością żona dziedzica Leona Patka. Ten akt chrztu został już spisany w języku rosyjskim, rusyfikacja społeczeństwa nasilała się z roku na rok.

Ciotka Władzia zobaczyła małego Juliusza w maju tego roku, kiedy to zjechała do Ujazdu z Warszawy pomagać Feli w opiekowaniu się czwórką małych dzieci. Zosia miała już 8 lat i chodziła do szkoły prowadzonej przez ojca, ale Józia i Julek to jeszcze małeństwa, Była jeszcze 6. letnia Fruzia, ulubienica ciotki, choć ta kochała wszystkie dzieci swojej siostry. A dzieci ich najstarszej siostry Józii, żony Ludwika Szletyńskiego, były już dorosłe, najmłodsza Ludwisia miała już lat 16 i kształciła się w warszawskiej pensji dla panienek.

Chrzest małego Julka symbolicznie kończy okres ujazdowski w życiu rodziny Chmielowskich. Miasto w roku 1870 stanie się definitywnie wsią, degradacja dotknie też parafię pozbawioną większości swoich dóbr. Józef Chmielowski jeszcze zarządzał dobrami parafialnymi, ale tak naprawdę był to już tylko jeden niewielki folwark, który nie został objęty sekwestrami urzędników rosyjskich, stanowił bowiem prywatną darowiznę. O ile w parafii Ujazd w roku 1850 odbyło się 75 chrztów, 20 ślubów i 60 pogrzebów, to 20 lat później liczby te spadły więcej, niż o połowę. Franciszek Chmielowski cudem zdobywał fundusze na ukończenie budowy kaplicy cmentarnej i kiedy ten cel osiągnął odszedł z parafii. Józef Chmielowski starał się o posadę na kolei, która w tych latach przeżywała burzliwy rozwój. Dzięki swoim znajomościom oraz koneksjom siostry Felicji z Higinem Liszko, posadę taką dosyć szybko uzyskał. Zaczęło się życie koczownicze, z budowy na budowę, z jednej stacji kolei żelaznej na inny odcinek budowy bądź eksploatacji. Obarczony liczną rodziną Józef podupadł na zdrowiu, nie było go też stać na kształcenie dzieci. A to przecież one miały się w przyszłości stać jedynym oparciem dla starzejących się rodziców.

5

Ponure to były czasy dla ludu polskiego. Wielu duchownych za wspieranie powstania wywieziono na Sybir, klasztory i kościoły zamykano. Oberpolicmajstrem Królestwa Polskiego był polakożerca, osławiony generał Fiodor Trepow, właściwie od 1867 roku był to już Kraj Przywiślański, gdyż resztki autonomii królestwa zostały zlikwidowane. Najwartościowisi ludzie zginęli w nierównych walkach, tysiące pomaszerowało na Syberię. Trzeba było żyć w nieporównanie gorszych warunkach, aniżeli za czasów Królestwa Polskiego, obecnie Polska stała się jedną z prowincji cesarstwa Rosji, nauka w

szkole miała się odbywać wyłącznie w języku rosyjskim. Polskich urzędników zmuszano do przechodzenia na prawosławie, a w razie odmowy zwalniano z pracy.



22. Fiodor Fiodorowicz Trepow

Rodzina Eborowiczów spotkała się prawie w komplecie z powodu śmierci i pogrzebu Marianny z domu Miller, protoplastki tej rodziny. Zmarła on 16 stycznia 1867 roku o godzinie 10.00, a fakt jej zgonu zgłosił jej syn Mikołaj liczący sobie lat 39 oraz znany nam krewny Andrzej Nastalski. Urodzona w stolicy z początkiem XIX wieku Marianna latem tegoż roku skończyłaby 67 lat. Jednak z aktu urodzenia jej syna Karola Jędrzeja wynika, że mogła być o dwa lata starsza. W chwili śmierci zamieszkiwała przy ulicy Bednarskiej w kamienicy pod numerem hipotecznym 2675. Kilka dni później w parafii św. Antoniego odbył się pogrzeb seniorki, w którym udział wzięły wszystkie żyjące córki oraz synowie Szymona i Marianny. Przyjechał też Józef Chmielowski z żoną, dzieci pozostały w Ujeździe pod opieką wynajętej w tym celu niani. Z lokalnej prasy dowiadujemy się, że w tym samym dniu zmarli w Warszawie: Marianna z Kruszewskich Czaki, żona urzędnika Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, niespełna 2. letni Jasiu Plocer, jedyny syn urzędnika Banku Polskiego, Jan Kraźły, lat 71 mający oraz dr Jan Bęcewicz, znakomity lekarz. Na kolejnym pogrzebie rodzina spotkała się jesienią 1869 roku, kiedy to umrze przedwcześnie znany muzyk i kompozytor August Eborowicz. W roku 1868 Karolowi Eborowiczowi urodziła się córka Feliksa Julia, która miała już braciszka Stanisława Jana Niepomucena urodzonego dwa lata wcześniej.

Wizyty w Warszawie były raczej smutne, gdyż ulica Bednarska zmieniła się nie do poznania. Cały górny jej odcinek wyburzono w latach 1865-66. Usprawnienia komunikacyjne były tylko pretekstem, władzom chodziło bowiem o zlikwidowanie wąskich przesmyków, niedostępnych dla szarżujących kozaków tłumiących antyrosyjskie demonstracje, które często w tym rejonie się odbywały. Zburzono kilkadziesiąt domów, w tym cały górny odcinek Bednarskiej wraz z siedmioma starymi kamienicami (nr hip. 371-372 i 2669-2672). Na zniwelowanym terenie założono istniejący do dzisiaj skwer. Poza tym ruchliwa i gwarna niegdyś Bednarska zamieniła się w cichy zaułek, gdyż przestała być ulica dojazdową do mostu z chwilą oddania do użytku mostu stałego. Wielkie wyburzenia odśłoniły uliczkę Dziekanka zabudowaną niewielkimi kamieniczkami, które nie pasowały do reprezentacyjnego Krakowskiego Przedmieścia. Nastąpiła więc szybka wymiana zabudowy,

ocalał tylko zgrabny gmach zajazdu „Dziekanka” wzniesiony w 1780 roku. W 1868 roku ukończono piękną kamienicę Maksymiliana Fajansa (2673b), która mieściła wysokiej klasy łaźnię i była ozdobiona licznymi rzeźbami. Po kilku latach zabudowano wreszcie narożnik Bednarskiej i Krakowskiego Przedmieścia 3. piętrową kamienicą Efrosów (2673a). Jak pamiętamy w ramach represji po powstaniu władze zlikwidowały klasztor Karmelitów Bosych, gdzie nocował Józef Chmielowski przed swoim ślubem. Zabrano zakonnikom także domy czynszowe przy Bednarskiej. W starej kamienicy (2677) ulokowała się Resursa Ruska, którą po kilku latach zastąpiło Rosyjskie Towarzystwo Dobroczynności.

Z rodziny Eborowiczów jedynie Mikołaj oraz Stanisław mieszkali jeszcze przy Bednarskiej i prowadzili tam skład wódek przejęty po zmarłej matce oraz handel hurtowy artykułami spożywczymi. Mikołaj więcej przebywał w swoim dzierzawionym majątku, gdzie wytwarzał alkohole.

Przyszłość rodziny Chmielowskich zależała obecnie od budującej się sieci połączeń kolejowych. Powstawała właśnie Droga Żelazna Nadwiślańska, która połączyła Kowel na Ukrainie i urodzajne w zboża ziemie lubelskie tj. Chełm i Lublin, z ufortyfikowaną linią Wisły. Dalsza trasa prowadziła poprzez Ciechanów i Mławę do granicy Prus Zachodnich. Po stronie pruskiej linia posiadała połączenie z portem morskim w Gdańsku. Łączna długość linii kolejowej z 24. znajdującymi się na niej stacjami, wynosiła 475 km. Szerokotorowa kolej (o standardzie rosyjskim) przebiegała wzdłuż przypuszczalnej linii frontu i łączyła ze sobą najważniejsze twierdze rosyjskie na terenie Królestwa Polskiego: Warszawę, Nowogiejorgijewsk (Modlin) i Iwanogród (Dęblin). Pozwalało to na szybki transport wojska, amunicji i sprzętu. Kolej Nadwiślańska była więc być obiektem o wyjątkowo ważnym znaczeniu strategicznym. Budowę linii kolejowej rozpoczęto w końcu 1874 roku. W rekordowym czasie trzech lat, 24 lipca 1877 roku, zakończono prace budowlane.

Istniejąca wcześniej kolej warszawsko-wiedeńska zatrudniała wielu Polaków, którzy masowo brali udział w powstaniu styczniowym. To spowodowało wielką czystkę i za zgodą namiestnika Królestwa Berga, zresztą z pochodzenia Niemca, na większość stanowisk sprowadzono z Prus urzędników i inżynierów niemieckich. Dla Polaków nie było pracy, zresztą wszystkie instrukcje i regulaminy służbowe wydawano po niemiecku. Niemcy też doprowadzili tę kolej do ruiny wypłacając sobie hojne dywidendy. Uratował ją genialny biznesmen, jak byśmy dzisiaj powiedzieli, Leopold Kronenberg. Ten bankier, przemysłowiec i wizjoner wykupił w roku 1872 akcje obu dróg żelaznych: Wiedeńskiej i Bydgoskiej i położył tym samym kres rządowi niemieckim oraz tajnego radcy rosyjskiego Krusego. Następuje odniemczenie kolei, do pracy na najważniejszych stanowiskach wracają Polacy. Naczelnikiem Transportów został W. Grabowski, który odegra ważną rolę w naszej rodzinnej historii. Do kraju wracali powoli zesłańcy i oni także mogli liczyć na sezonowe zatrudnienie przy budowie, chociażby na najniższych stanowiskach robotniczych

Józef Chmielowski zaczął pracę na kolei w roku 1873, kiedy ostatecznie zlikwidował swoje sprawy w Ujeździe. W nowej pracy mógł czasem liczyć na lepsze lub gorsze mieszkanie, co było ważne przy jego licznej rodzinie. Pierwszą pracę otrzymał przy budowie linii Brześć –Grajewo, a potem Brześć-Równe. Wiosną 1875 roku Józef trafia do Pomiechowa na budowę kolei Nadwiślańskiej. W tym samym czasie z Kiwerc na Ukrainie przyjeżdża do Warszawy młody Aleksander Niewiarowicz. Pochował tam przedwcześnie zmarłego ojca i pracował przez kilka miesięcy na miejscowej stacji kolejowej, jako pomocnik zawiadowcy. W Warszawie Aleksander zatrzymał się u rodziny i zaczął rozglądać się za pracą. Po kilku dniach dowiedział się, że inż. Mosin, znany mu wcześniej z kolei odesskiej, kieruje pracami w Nowym Dworze. Ten niezwłocznie zatrudnił znanego mu wcześniej młodzieńca i skierował go na budowę do Pomiechowa. Była to duża wieś położona na prawym brzegu Wkry, niedaleko twierdzy modlińskiej. W ramach represji po powstaniu styczniowym władze rosyjskie wysiedliły kilka okolicznych wsi osiedlając tam kolonistów z głębi Rosji, a także osadników

niemieckich. W okolicy ważnej twierdzy, którą w tym czasie intensywnie rozbudowywano, nie mogło być przewagi buntowniczego żywiołu polskiego. W samym Pomiechowie i w nowych wsiach z ludnością prawosławną, pobudowano cerkwie i ewangelickie domu modlitwy. Aleksander określał Pomiechowo, jako „śliczną miejscowość, równą każdemu miasteczku”. Dostał zakwaterowanie w koszarce oraz 70 rubli wynagrodzenia, co w tym okresie w pełni go satysfakcjonowało. Pensję swoją głównie przegrywał w karty z kolegami, ale jako kawaler nie martwił się tym zbyt. Zaczynał jednak powoli myśleć o małżeństwie i o bardziej regularnym trybie życia. W miejscowym kościele dostrzegł śliczną blondynkę, którą po mszy śledził i dowiedział się, że jest to panna Waleria Karpińska mieszkająca przy rodzicach. Poznaje ją, trwa okres narzeczeństwa, ale kiedy przyszło do ustalenia daty ślubu uczucia Aleksandra gwałtownie wygasły.

Pewnego majowego dnia Aleksander nadzorował budowę mostu kolejowego przez Wkrę. Zauważył tam postawnego mężczyznę o „*postawie staropolskiej*” z wąsami i faworytami lat około 50. Tyle też liczył sobie obecny tam Józef Chmielowski, który wraz z rodziną wynajmował mały domek w Pomiechowie i pracował na tym samym odcinku budowy, co Aleksander. Szła za nim legenda, że był posiadaczem ziemskim, ale za udział w powstaniu stracił majątek, co jak wiemy nie było prawdą. Wiadomo też było, że ma dorastającą córkę oraz dwie mniejsze dziewczynki i synka. Aleksander nie miał jednak żadnej okazji, aby ich widywać. Dopiero po kilku tygodniach spotkał przypadkowo spacerującą z matką i siostrą Zosię. Nie zrobiła na nim początkowo żadnego wrażenia. Była bardzo drobną, młodziutką brunetką o dużych oczach, zawsze uśmiechniętą. A on w tym czasie sypiał z dorodną blondynką Walercią i uzgadniali właśnie datę ślubu. Zosia przy narzeczonej Aleksandra, to było jeszcze dziecko. Poza tym cała wieś wiedziała o romansie Aleksandra, siłą rzeczy także Zosia, więc jakże mógłby on do niej smalić cholewki?

Pewnego dnia w czasie przerwy śniadaniowej Józef zaczął narzekać na wysokie koszty, jakie ponosi wynajmując domek dla swojej licznej rodziny. Aleksander zaproponował mu przeniesienie się z rodziną do baraku, który on samotnie zajmował, a były tam 3 pokoje i mała kuchnia. Jemu, jako kawalerowi, w zupełności wystarczy jeden pokój, zapewniał starszego pana. I tak się też stało, po kilku dniach wszyscy zamieszkali razem. Ściany tego baraczku były cienkie, a coraz bardziej zakochany w Zosi Aleksander upajał się myślą, że jej łóżko stoi oddzielone tylko byle sklejką od jego miejsca do spania. Tak blisko, że mógł nawet słyszeć jej oddech, nie mówiąc o rozmowach toczonych przez rodzinę Chmielowskich wieczorami. Wkrótce zaczęli je spędzać razem grając do późna w jerełasza. Była to odmiana popularnego w owych czasach preferansa czy wista, którą z czasem zastąpił brydż. Gra wymagała 4. osób, a więc do stołu siadali Chmielowski z Felicją oraz Aleksander z Zosią. I tak biegły tygodnie poświęcone pracy i wieczory w gronie rodzinnym. Aleksander zdecydowanie zerwał z Walerią, co ta blondynka przyjęła za zrozumieniem, nie brakowało jej bowiem innych pretendencji do małżeństwa. Teraz był już pewny, że kocha Zosię i z nią pragnie spędzić resztę życia. Tylko jak jej to powiedzieć? Ta myśl dręczyła go przez kilka tygodni, aż wreszcie postanowił napisać list. Było to czułe wyznanie miłości, ale nie powierzono go urzędowi pocztowemu. Przecież Zosieńka mieszkała tak blisko, list doniosła zatem służąca. Odpowiedzi żadnej nie było, trzeba było zatem porozmawiać osobiście. Aleksander wyczekał na moment, aż Zosia była sama w ogródku przy ich mieszkalnym baraku. Podszedł do niej, uściskał rączkę i zapytał.

- Zosieńko droga, czy dostałaś może mój list?

-Tak, mój panie. I bardzo mnie on zadziwił

-A to niby dlaczego? Spać nocami nie mogę, myślę bez przerwy o nas i czekam na miłą sercu memu zgodę.

-Odpowiedzi żadnej, ani też zgody nie będzie-padła twarda odpowiedź.

-Zostaw mi panna, chociaż nadzieję na przyszłość!

-Nie miej pan żadnej nadziei- po tych słowach Zosia odwróciła się na pięcie i wbiegła do baraku. Słowa te były ciosem dla młodzieńca, ale nadziei całkiem nie stracił. Liczył, że będąc blisko każdego dnia po pracy, a także spędzając z Zosią i jej rodziną dni wolne pozyska w końcu jej względy. Czekać musiał kilka miesięcy, aż wreszcie będąc z całą rodziną na spacerze znalazł okazję, aby pozostać sam na sam z Zosią. Złapał ją wtedy za rękę i przycisnął do swojej piersi.

-Posłuchaj Zofio, jak bije serce moje- wykrzyknął-ono bije gorącą miłością do ciebie! Chcę być twoim sługą, niewolnikiem i wiernym mężem. Zofio, nikt nie potrafi kochać tak czystą i gorącą miłością, jak ta dusza moja!

Zosia, spłoniona i przejęta, słuchała tego wyznania z cichą radością w sercu. Ona też, kiedy tylko bliżej poznała Aleksandra, zrozumiała, że resztę życia chce spędzić właśnie z nim.

-Aleksandrze, ja cię kocham, ja chcę być twoją-wyszeptała. Poczym przycisnęła się mocno do jego boku, uniosła oczy ku górze i rzekła cicho -Aleksandrze, stosownie do twoich zamiarów zgadzam się i owszem.

Powiadomieni rodzice oświadczyli Aleksandra przyjęli z chęcią, gdyż był to pracowity i sympatyczny młody człowiek, choć bez majątku i rodziny. Uzgodniono, że ze ślubem poczekają do ukończenia budowy linii kolejowej, gdyż wówczas pracujący tam personel nadzorczy mógł liczyć na stałe posady na nowych stacjach tej linii. Naczelnikami stacji zostawali przeważnie Rosjanie, ale na pozostałych stanowiskach zatrudniano Polaków. Józef Chmielowski dostał pracę na stacji w Płudach niedaleko Warszawy. W tym czasie była to miejscowość letniskowa dla bogatszych mieszkańców stolicy, którzy mieli tam swoje domki letnie. 24 czerwca 1877 roku przyszedł wagon po meble i inne rzeczy Chmielowskich, pakował je Aleksander, gdyż Józef był już w Płudach. Czule pożegnał się z Zosią nie wiedząc kiedy ją znowu zobaczy.

Niestety Aleksander nie dostał początkowo posady na linii kolei nadwiślańskiej, ale interwencja niezawodnego Mosina znowu pomogła. Aleksander otrzymał nominację na dozorcę na stacji Gąsocin, w końcu lipca przysłano wagon po jego rzeczy, a już 1 sierpnia objął posadę dozorcę na tej stacji, czyli zawiadowcy odcinka torowego. Głównym zawiadowcą Gąsocina był Rosjanin Podwierbny żonaty z Polką Olgą i to on został przełożonym Aleksandra. Dozorcy torów przysługiwało służbowe mieszkanie na stacji, a także miał prawo do działki, która mógł uprawiać zboża czy warzywa na własne potrzeby oraz hodować drób i trzodę. Urządzenie mieszkania, a także obowiązki służbowe sprawiły, że Aleksander mógł odwiedzić swoją narzeczoną w Płudach dopiero 20 września. Kolejny swój przyjazd zapowiedział Aleksander na 1 listopada, kiedy to miała zostać ustalona data ślubu. Po powrocie do pracy Aleksander zakupił garnitur ślubny, wstawił do mieszkania nowe meble i fortepian. Podjął też starania o aktualną metrykę chrztu, a potem odwiedził parafię w Tarchominie, gdzie zapłacił za zapowiedzi i uzgodnił datę ślubu na 12 lutego 1878 roku. Wszystko było związane na ostatni guzik.

Do spowiedzi przedślubnej udał się Aleksander do kościoła w Nowym Mieście na jeden dzień przed wyznaczonym terminem ślubu. Po powrocie nakazał służącej, aby o 21.30 pozapalała wszystkie światła w jego mieszkaniu, tudzież latarnię na ganku, gdyż około 22.00 miał tam powrócić z nowo poślubioną żoną.

12 lutego Aleksander był u Zosi i trwało czekanie na gości oraz na świadków. Kiedy wszyscy się zebrali o godzinie 14.00, cały orszak wyruszył saniami do kościoła. Dzień był mroźny, leżało dużo śniegu, ale nie wiał nawet najmniejszy wiatr. Świadkiem ślubu był kolega Aleksandra z pracy Walerian Wysocki, a także Eliza Ceputeszowa, znajoma pana młodego z Pomiechowa. Wiemy o niej tylko tyle, że pracowała jako urzędniczka w twierdzy Modlin i razem z Aleksandrem była na weselu byłej jego narzeczonej Walerci Karpińskiej z którą, jak pamiętamy, rozstał się w zgodzie.

Na tym pamiętnym dla następnych pokoleń ślubie spotykamy postacie znane z wcześniejszych kart tek książeczki. Jest Konstancja Liszko, siostra Felicji, żona samego naczelnego inżyniera dystansu

kolei żelaznej Hicina Liszko oraz dwie młodsze siostry Zosi: Władzia i Józia z najmłodszym bratem Julkiem. Była też wdowa Władzia Unierzyska, ciotka Zosi oraz dwóch jej stryjecznych braci Romek i Walery Chmielowscy, których wcześniej nie znaliśmy. Ze strony Aleksandra nie pojawił się nikt, gdyż jego siostra mieszkała na Litwie, a kuzyni w guberni czernihowskiej w powiecie konotopskim na Ukrainie. Razem na weselu w Płudach do 3. nad ranem bawiło się 18 osób, ale pamiętajmy, że Julek miał niespełna 10 lat, a były też dwie córeczki wujenki, także małoletnie. Po odespaniu wesela zaczęło się pakowanie garderoby Zosi i jej panieńskich drobiazgów. Był czas na pożegnanie rodziców i rodzeństwa, były łzy i uściski bez końca. W końcu sanie ruszyły na stację Jabłonna, skąd o 19.00 odchodził pociąg do Gąsocina. Zakochana para złączyła usta, a pocałunki przerywały tylko gorączkowo układane plany na przyszłość. Droga do stacji w tęgim mrozie szybko minęła, tam trzeba szybko nadać spory bagaż i kupić bilety, gdyż zostało niespełna pół godziny do przyjazdu pociągu. Korzystając z przywilejów kolejarza nowożeńcy zajęli wydzielony przedział II klasy i ruszyli do stacji Gąsocin w podróż trwającą około 2 i pół godziny.



23. Zabytkowa stacja kolejowa Gąsocin po renowacji

Na stacji czekał już komitet powitalny złożony z kolegów pana młodego, czekały też konie, choć do baraku zajmowanego przez Aleksandra było zaledwie 200 metrów. Po kilku minutach nowożeńcy byli już w swoim 3. pokojowym mieszkaniu, gruntownie wysprzątanym, podłogi wyfroterowane na wysoki połysk, pokoje pełne nowych mebli, wielki nowy dywan ciągnący się przez wszystkie pokoje. U progu powitała ich pani Olga Podwierbna, żona naczelnika stacji, tradycyjnie po polsku, czyli chlebem i solą. A potem usiadła do fortepianu i zagrała marsza Mendelsohna nie żałując klawiszy nowego instrumentu.



Przydreptała też starszuszka służąca, aby przywitać nową panią w jej nowym domu. Wzniesiono toast winem i w końcu młodzi zostali sami. Tu musimy pamiętać, że w tamtych czasach nie istniało żadne uświadamianie seksualne młodych dziewcząt. Nasza niespełna 17. letnia Zosia niewiele się o tym dowiedziała od swojej matki Felicji poza tym, że ma być mężowi posłuszna. Nie miała zatem pojęcia o najprostszych kwestiach swojej kobiecości oraz o tajemnicy nocy poślubnej. Wszystko to wyłożył jej Aleksander tego wieczoru wprowadzając dziewczynę w niemałe pomieszenie. Aż wreszcie małżonkowie połączyli się w tej jednej chwili rozkoszy i bólu.

24. Olga Podwierbna

Nazajutrz czekało ich zwyczajne, codzienne życie. Aleksander przekazał Zosi klucze od spiżarni, oprowadził ją po swoim małym gospodarstwie i wydawało się, iż będą żyli spokojnie, w miarę dostatnio. Pensja dozorczy torowego wynosiła blisko 1.000 rubli rocznie, był kawałek ziemi, kury, owoce i warzywa z własnego ogródka. Los jednak szykował dla młodych małżonków straszliwy i niespodziany cios. Na razie jednak para złożyła kilka wizyt u sąsiadów i kolegów i urządzili wieczorek tańczący na 20 osób. Zabawa trwała do białego rana, tańczono mazura, poloneza i wesołe polki pod akompaniament fortepianu.

Stacja kolejowa Gąsocin leży na trasie z Warszawy do Ciechanowa i w owym czasie zatrudniała wielu kolejarzy i personelu pomocniczego. Powstało tam nawet w XIX wieku małe osiedle domków kolejarskich, które zapoczątkowało rozwój tej miejscowości. Sam drewniany budynek stacyjny zbudowany w roku 1877 był naprawdę imponujący. Zaprojektowano go w stylu typowej architektury rosyjskiej, a więc wyglądał ciekawie w krajobrazie Mazowsza. Na tyle, że zaczął przyciągać uwagę ludzi. Wieść rozeszła się tak daleko, że wielu sławnych ludzi polskiej literatury jak: Bolesław Prus, Maria Dąbrowska, Stefan Żeromski, Henryk Sienkiewicz, przyjeżdżało do Gąsocina aby obejrzeć wytworną jak na owe czasy budowlę. Stacja ta miała bocznicę towarową, co powodowało, że była ważnym punktem przeładunkowym. Z różnych dokumentów wynika, że mogło tam pracować blisko 50 ludzi. Sama ekipa utrzymania torów, która kierował Aleksander zatrudniała kilkanaście osób. Naczelnikiem stacji był Konstanty Podwierbny i wbrew pozorom nie był to Rosjanin. Jego babka, Konstancja z Butkiewiczów, wyszła za mąż za Rosjanina w roku 1830, stąd nazwisko, ale ich dzieci były wychowane w tradycji polskiej. Także żona naczelnika Olga była Polką i pochodziła z rodziny zesłanej na Syberię. Tam też wyszła za mąż za bogatego kupca, Rosjanina i przeszła z tego powodu na prawosławie. Małżeństwo to nie było udane i Olga uciekła do Polski, gdzie wyszła za mąż po raz drugi za Konstantego. Mieli dwóch synów, jeden z nich w okresie zawirowań historycznych wybrał Rosję, a drugi wolał zostać Polakiem. Wiele było takich dylematów, także w rodzinie Niewiarowiczów. Do dzisiaj żyją w Rosji ich potomkowie, którzy przy pomocy Internetu nawiązują kontakty ze swoją linią polską.

Na stacji w Gąsocinie znajdował się bufet prowadzony przez Władysława Świąteckiego, który naturalnie kolejarzem nie był, ale można go zaliczyć do pracowników stacji. Sam naczelnik oprócz zastępcy miał także swego pomocnika, który nazywał się Franciszek Gibiński. Wiemy też, że zwrotniczym na tej stacji był Wojciech Dumański. Pracowało tam też spore grono służących, sam Aleksander zatrudniał staruszkę, której nazwisko nie zachowało się niestety. Znamy za to Adama Tyszkiewicza, który był służącym samego naczelnika stacji. I na końcu mamy żandarma stacyjnego, który dbał o bezpieczeństwo i porządek na kolei i miał swój posterunek na tej stacji. Na większych stacjach kolejowych pracowało od 2-6 żandarmów stacyjnych.

Niestety we wrześniu Zosia poważnie zachorowała, lekarz kolejowy odwiedzał ją często, ale żadnej poprawy nie było. Trzeba było poszukać innego lekarza w Warszawie, ten ulżył cierpieniom chorej i jej zdrowie z wolna zaczęło się poprawiać. Wtedy nadszedł cios straszny, gdyż Aleksander prawie z dnia na dzień stracił pracę i został wyrzucony na bruk. Jego pomocnik fałszywie doniósł naczelnikowi odcinka, że jego szef sprzedał na boku drewno będące własnością kolei. Tłumaczenia nie zostały przyjęte, ów naczelnik okazał się być zaciętym wrogiem Aleksandra i tylko czekał na pretekst, aby się go pozbyć. Pierwszego dnia grudnia wręczono mu dymisję i musiał opuścić Gąsocin. Udali się do rodziny Zosi, ale Chmielowski miał jedynie 40 mizernych rubli pensji miesięcznie, a na utrzymaniu żonę i trójkę dzieci. Aleksander miał do spłaty długi zaciągnięte na swój ślub, więc sytuacja finansowa rodziny stała się naprawdę tragiczna. I oto 23 stycznia 1879 roku okazało się że w łonie matki jest dziecko, owoc wielkiej miłości, ale też i troski, gdyż rodzina nie mogła się utrzymać z braku pracy. Dopiero 10 kwietnia zaświtała nadzieje na pracę, gdy do teścia przyjechał jego znajomy pan Rogozin. On też powiedział Aleksandrowi, że jest wakat na stacji w

poblizu Puław. Znajomy inżynier Uszyński napisał list polecający Aleksandrowi i ten następnego dnia pojechał do Lublina, gdzie przenocował w hotelu kolejowym. Posada się znalazła, choć była to degradacja w kolejowej karierze Aleksandra, gdyż został ledwie brygadzystą robót torowych na małej, zagubionej w lasach stacyjce Gołąb. Zawiadowca był kawalerem, a dozorca torowy mieszkał razem z żoną i to jemu obecnie podlegał Aleksander. Pensja 20 rubli miesięcznie była głodowa i nie starczało na życie, nie mówiąc o kupnie czegokolwiek do ubrania. Mieszkali w małym pokoiku na piętrze, a kuchnia była na parterze. Praca od rana do późnego wieczora, Zosia na całe dni zostawała sama nie mając do kogo ust otworzyć. Nadszedł dzień 9 września, Aleksander wrócił o 19.00 z pracy, siedzieli z Zosią rozmawiając i pijąc herbatę, kiedy nagle zaczęły się bóle porodowe. Mąż szybko wskoczył do drezwiny i popędził do Puław po akuszerkę. Zdążył w ostatniej chwili, doświadczona położna pani Cechner odebrała zdrowe dziecko płci męskiej o 2.50 w nocy. Tego samego dnia dziecko było chrzczone, gdyż obawiano się, czy chłopczyk przeżyje. Otrzymał on imię Wacław, matką chrzestną została żona dozorca Michalina Puchalska, a ojcem miał być pisarz gminny Bochiński, ale nie można go było odszukać. W tej nagłej potrzebie ciężar ten wziął na siebie ksiądz wikary parafii gołębskiej Franciszek Dyka.

Chłopczyk rósł jednak krępy i zdrowy, rodzina zajęła większe mieszkanie na piętrze i tak doczekali wigilii 1879 roku. W odwiedzin przyjechała siostra Zosi Władzia i razem siedli do kolacji o 5.30 po południu, razem z nimi Wacuś, którego ojciec trzymał cały czas na kolanach.

Ale już twarda rzeczywistość pukała do drzwi, nie sposób było wyżyć za 20 rubli miesięcznie rodzinie z małym dzieckiem, więc Zosia wyjechała z nim do swoich rodziców pod Warszawę. Miała szybko wrócić, ale tak się nie stało, gdyż Aleksander nadal cierpiał nędzę i ledwie sam się mógł utrzymać ze swojej głodowej pensji. Odwiedził Zosię i synka dopiero z okazji świąt wielkanocnych 1880 roku, udając się pociągiem do stacji Płudy. A potem nastąpiły znowu długie miesiące przymusowego rozstania. Sytuacja Aleksandra poprawiła się o tyle, że jego zwierzchnik miał niewielkie pojęcie o swojej pracy i całą papierkową robotę składał w jego ręce. Dzięki temu miał on więcej czasu, nie wychodził z ekipą na tory, a siedział na stacji, wyprawiał na polowania, albo grał w preferansa z zawiadowcą w przerwach między ruchem pociągów, a nieraz i w nocy. Żył nadzieją, że jego sytuacja materialna poprawi się na tyle, że będzie mógł znowu sprowadzić Zosię i żyć na przyzwoitym poziomie. A o to nie było łatwo, gdyż 30 listopada 1881 roku przyszedł na świat drugi syn Aleksandra i Zofii, który otrzymał imię Lucjan. W chwili porodu małżonkowie mieszkali już razem w Gołębiu, a Aleksander nade otrzymywał głodową pensję 20 rubli miesięcznie. Los odmienił się dopiero w marcu 1882 roku, kiedy to Aleksander przeglądał pocztę służbową i trafił na informację o zwalnianej się posadzie dozorca torowego w Świdniku, na którą został właśnie wyznaczony. Dotychczasowy dozorca Grabowski wskutek opilstwa nie radził sobie z obowiązkami i otrzymał dymisję. Ponad 30 lat spędził on w armii rosyjskiej, która opuścił w stopniu kapitana, ale hulaszcze życie sprawiło, iż wyglądał jak starzec. Na dodatek obarczony był liczną rodziną z pięciorgiem małych dzieci.

Był Aleksander szczęśliwy, że po 3 latach ponieważ odzyskał swoje stanowisko, gdyż jak mało kto znał się na budowie i konserwacji torów i mostów kolejowych. Trwały oczywiście procedury urzędowe i ostateczna decyzja w sprawie nominacji przyszła 5 maja. Mógł zatem Aleksander remontować mieszkanie, kupić dwie krowy, aby było mleko dla synków, posadził warzywa w ogrodzie. Kiedy miał już jechać po Zosię do Płudów przyszła inna nominacja do Jaszczoła, gdyż dozorca tego odcinka pan Wyszomirski niespodziewanie zmarł. Nie mogąc się z Zosią złączyć w zaplanowanym czasie, Aleksander pojechał ją odwiedzić do Płudów. I tu przykra nader niespodzianka, gdyż zastał żonę swoją „w najokropniejszym stanie”. Skrajnie zmęczona, obciążona dwójką dzieci, które trzeba było pilnować i piastować, zmieniła się bardzo. Na tej małej stacyjce nie było poczekalni dla pasażerów i dlatego liczni znajomi byli zapraszani na herbatę do mieszkania

Chmielowskich, panował więc tam ciągle ruch i gwar. Na dodatek latem przychodzili tam letnicy wypoczywający w swoich domkach letnich, więc stale w mieszkanku był tłum gości. Nędznie ubrana Zosia z dwójką synków przy spódnicy nie miała tam żadnych warunków do życia, a siostry nie kwapiły, aby jej pomóc przy dzieciach. Wielu ludzi brało ją za służącą bądź za mamkę, co bardzo zabolalo jej męża. Niestety gotowe mieszkanie i gospodarstwo w Świdniku trzeba było pozostawić i urządzić się od nowa w Jaszczowie. W lipcu 1882 roku udało się rodzinę sprowadzić na nowe lokum i zaczęło się zupełnie inne, bardziej dostatnie życie. Dni upływały w szczęściu i zgodzie, zarobki Aleksandra starczały w zupełności na potrzeby rodziny, poza tym uprawiał on spory kawał ziemi i hodował krowy, świnie i drób. Wielkim wydarzeniem w życiu rodziny było przyjście na świat w październiku 1884 roku synka Stefana. Ten okres, kiedy w domu było trzech małych chłopców, ich ojciec dobrze zarabiał, był najszczęśliwszym okresem w życiu rodziny.

W grudniu 1884 roku Aleksander wybrał się do Wilna, aby załatwić sobie przeniesienie do guberni lubelskiej, gdyż nadal był przypisany do miejsca urodzenia tj. wsi Miłejkowo. Tam na świat przyszedł jego ojciec i jego dziad, to była kolebka rodu w XVIII wieku. Wcześniej był nim majątek Niewiary nadany w XV wieku przez Mikołaja Radziwiłła jeszcze starszym przodkom za zasługi w walkach z Rosją. Siedzieli tam Niewiarowicze do roku 1770, kiedy to majątek w nieznanych okolicznościach utracili i przenieśli się do Miłejkowa. Tam też urodził się ojciec Aleksandra Jan (1818-1874) i jego brat Piotr (1815-?), który zamieszkał potem w Wilnie. Ich ojcem był Szymon Niewiarowicz (1780-?), o którym niewiele wiemy. Aleksander zatrzymał się w Wilnie u swego stryja Piotra, wówczas już ponad 70. Letniego i jego jedynym źródłem utrzymania był wynajem części domku, w którym mieszkał. Jego kaleki syn Marek, wtedy mający lat 18, został szewcem i z tego czerpał skromne dochody. Niezbędne dokumenty złożył Aleksander w miasteczku Krewie i niespodziewanie szybko, czyli po niespełna roku, uzyskał akt przesiedlenia do Jaszczowa w guberni lubelskiej. Jadąc do Wilna zatrzymał się Aleksander na stacji Koszedary, mniej więcej w połowie drogie między Kownem, a Wilnem. Był tam zatrudniony Antoni Siewruk, mąż jego siostry Anastazji. Było to ostatnie spotkanie rodzeństwa, gdyż Anastazja, chora na gruźlicę, zmarła po kilku miesiącach.

Straszny to był cios dla Aleksandra, gdyż pozostał bez bliższych krewnych, a siostrę bardzo kochał. Pozostało z wdowcem czterech małoletnich synów w wieku od 2 do 12 lat. Ich losów nie udało się do tej pory ustalić. Antoni Siewruk musiał się szybko ponownie ożenić, aby zapewnić im wychowanie i opiekę.

Śmierć Anastazji była to, jak gdyby, zapowiedź pasma nieszczęść i niepowodzeń, gdyż w czerwcu 1885 roku zmarł synek Lucjan, który przeżył ledwo 3,5 roku. Błyskawiczny atak dyfterytu, zwanego wówczas krupami, zakończył krótkie życie tego małego chłopczyka, zmarł męcząc się bardzo, praktycznie uduszony przez chorobę. Na szczęście Wiktor i Stefan chowali się zdrowo i tylko oni pozostali rodzicom.

W tych latach odbyło się w Warszawie wiele pogrzebów krewnych i powinowatych z rodzin Szletyńskich czy Eborowiczów. W sędziwym wieku ponad 80 lat zmarł w 1884 roku emerytowany komisarz policji Ludwik Szletyński. Pozostawił wdowę Józefę z Eborowiczów. Zdążył jeszcze pobłogosławić małżeństwo swego syna Józefa Ludwika z Zofią z Daszewskich zawarte w roku 1880, z którego powstanie współczesna linia tego rodu. Zofia lubiła wesela, więc brała udział w prawie każdym takim święcie rodzinnym. Oczywiście jedynie wtedy, gdy chodziło o ród Eborowiczów. W roku 1881 były aż dwie takie okazje. Zaraz na początku stycznia (wg kalendarza juliańskiego był to jeszcze rok 1880) w kościele św. Aleksandra brał ślub Szymon Antoni Eborowicz, a jego wybranką

była Karolina z Górskich. Zofia pojechała na ten ślub, zatrzymała się w Płudach, a potem razem z matką i siostrami uczestniczyła w ceremonii. Z pewnością nie przypuszczała, że prawie 40 lat później weźmie udział w ślubie córki tej pary, na którym po raz ostatni spotka się ze swymi krewnymi z rodziny Eborowiczów. Cudem zachowane zdjęcie z tej uroczystości pozwoli nam spojrzeć w twarze dawno zapomnianych przodków. Na pierwszy rzut oka niewiele było widać z powodu znacznego stopnia zniszczenia starej fotografii wykonanej w sepii. Potem spośród zebranych tam osób rozpoznałem jedynie moją prababkę Zofię zmarłą 16 lat przed moim przyjściem na świat. Kilka lat trwało, zanim można było z dużą pewnością rozpoznać następne osoby. I w ten sposób całkowicie nieznana przeszłość odsłoniła przed nami swoje długo skrywane tajemnice. Potrzeba jednak zawsze dużo cierpliwości, czasu i odrobiny szczęścia.

Wracając do ślubów to jeszcze w tym samym roku, ale 19 listopada 1881 odbył się w Tomaszowie ślub Juliana Donata Eborowicza z Joanną Bieske, na którym świadkami byli Władysław Tafiłowski oraz dr Ksawery Witkowski. Tomaszów to rodzinne strony Chmielowskich, więc Zofia i jej siostra Władzia pojechały na ten ślub odwiedzając przy okazji Ujazd. Joanna Seweryna miała lat 17, a pan młody 25. Oba te śluby łączy osoba jednego ze świadków Władysława Tafiłowskiego, mieszkańca Warszawy utrzymującego się ze środków własnych. Można przypuszczać, że był to Władysław Maurycy Tafiłowski urodzony w roku 1837 z ojca Franciszka i matki Magdaleny z Tarszewskich. W roku 1868 poślubił on Julię Lipińską z rodziny Karów i to wyjaśnia jego pokrewieństwo i koligację rodzinną. Na ślubie Szymona drugim świadkiem był inżynier Hipolit Cieszkowski (1835-1907), wybitny fachowiec w dziedzinie budowy linii kolejowych oraz mostów. Kierował pracami m.in. przy budowie dróg żelaznych Koluszki-Łódź, Koluszki-Skarżysko Kamienna i Skarżysko Kamienna-Ostrowiec Świętokrzyski, gdzie wybudował 200 mostów metalowych. Żonaty z Marią z Tielów miał syna Henryka Władysława urodzonego w r. 1865. Dopiero ten akt urodzenia wyjaśnił nam, że Maria z Tielów była wdową i nazywała się Górską, a oboje z Hipolitem Cieszkowskim zamieszkiwali na ulicy Bednarskiej pod nr hip. 2688 A. Trudno więc, aby nie znali się z rodziną Eborowiczów i dlatego obecność inżyniera na tym ślubie absolutnie nie dziwi. Co ciekawe w chwili urodzenia syna Cieszkowski i Maria Górską nie byli formalnie małżeństwem, ojciec mieszkał na Bednarskiej, ale pod nr hip. 2675. Ślub wzięli później, gdyż Cieszkowski właśnie w 1865 roku rozpoczął budowę linii kolejowej łączącej coraz bardziej przemysłową Łódź z koleją warszawsko-wiedeńską na stacji Koluszki. Budowa ta była prowadzona w niezwykłym tempie, gdyż odcinek liczący 27,5 km wybudowano w czasie zaledwie 3 miesięcy, co jest zapewne rekordem nie pobitym do dzisiaj. Inwestorem był Jan Bloch, który obok Leopolda Kronenberga, inwestował w budowę linii kolejowych na terenie Polski i Rosji. To dla niego pracował inż. Cieszkowski, jako główny projektant odpowiedzialny za stronę techniczną budowy. Sprawami organizacyjnymi zajmował się szwagier Blocha Maksymilian Jellinek. Tak więc syn Cieszkowskiego urodził się 13 czerwca, budowę kolei rozpoczęto 1 września, a pod koniec listopada przejechał po niej pierwszy pociąg. A przecież prace projektowe i studyjne trzeba było rozpocząć znacznie wcześniej. Równie błyskawicznie budował inż. Cieszkowski kolej z Dębina do Skarżyska, ale tam trasa wiodła przez tereny góryste i trudności techniczne były znaczne. Głównym inżynierem tej budowy był Rosjanin Aleksander Izmaïłow, ale faktycznie pracami kierował Cieszkowski. Budowę rozpoczęto w roku 1882, a już w listopadzie 1884 trasy ruszył tam pierwszy pociąg. Lepiej zrozumiemy problemy Aleksandra Niewiarowicza z pracą, jeśli podamy, że po ukończeniu omawianej budowy podania złożyło ponad 15 tysięcy chętnych, a przyjęto zaledwie około 2.400 osób.

Nie wiemy, jak długo Hipolit Cieszkowski mieszkał przy ulicy Bednarskiej, ale można przypuszczać, że był to okres w latach 1860-1868, gdyż w spisach z roku 1870 już nie figuruje. Był jednak świadkiem wielkich zmian, jakie w tych właśnie latach zaszły na tej ulicy spowodowanych likwidacją mostu na Wiśle. Zniknęły wszystkie hotele i zajazdy, może lepiej powiedzieć, że się

„przebranzowili”. W dawnym hotelu „Bawarskim” ulokował się dom publiczny. Inny tego rodzaju przybytek funkcjonował pod nr 18. Spis mieszkańców z roku 1870 wymienia 567 osób, ale nie uwzględnia służby domowej, która stanowiła zwykle 20% mieszkańców oraz członków rodzin. Uwzględniając te fakty zaludnienie ulicy oceniono na ok. 3.000 osób. Było mniej rzemieślników, a coraz więcej emerytów i osób utrzymujących się z funduszy własnych. Mieszkał tu jeszcze Karol Eborowicz prowadząc skład wódek, działały drukarnia Orgelbrandta i fabryka organów Leopolda Bromberga. Wymienić też można spory zakład produkujący ramy złożony oraz wytwórnię waty. W latach siedemdziesiątych otwarto winiarnię Koteckiego oraz magazyn mody Celiny Rajzacher. Rodzina Majewskich nadal utrzymywała swój zakład kąpielowy, a łaźienki Ciemskiego przeszły w posiadanie Banzemerów. Egzystowały nadal liczne małe sklepiki, kilka niskiej kategorii restauracji i garkuchni. Ale ogólnie rzecz biorąc czasy świetności tej ulicy przeminęły.

W końcu XIX wieku otwarta została restauracja „Herkulanum” mieszcząca się w suterenie domu Efrosów na rogu Krakowskiego Przedmieścia. U wejścia, po obu stronach drzwi, stały skrzydlate gryfy, a wewnątrz uwagę zwracało ogromne akwarium, z którego goście mogli sobie wybrać rybę na obiad. Był tam też słynny szyld nad bufetem z ironicznym napisem *„Witajcie, dzisiaj za pieniądze – jutro za darmo!”*. Nie był to lokal dla elity, wręcz przeciwnie. Jak wynika z jego opisów w ówczesnej prasie stołowali się tam rzemieślnicy oraz niżsi urzędnicy rządowi i prywatni.

W każdą słoneczną niedzielę czy też w święto tłumy warszawiaków ciągnęły nad Wisłę, pływali łodziami, piknikowali i kąpali się. W dni robocze kotwiczyły tu wiślane galary, a w sąsiedztwie łaźienek Majewskich wyładowywano piach, co zostało uwiecznione na słynnym obrazie Aleksandra Gierymskiego „Piaskarze” z roku 1877.



25. „Piaskarze” Aleksandra Gierymskiego

Dawały się we znaki kolejne powodzie: w 1884 roku sfotografowana przez Konrada Brandla nowym typem aparatu zaopatrzonego w migawkę, oraz w roku 1888. Dla odmiany w posesji nr 6 wybuchł pożar, który strawił zabudowania gospodarcze i spowodował śmierć dwojga ludzi i czwórki koni. Wraz ze starzeniem się substancji mieszkaniowej następowała pauperyzacja ulicy. Nowy, XX. wiek, nie przyniósł ze sobą poprawy, ani ożywienia budowlanego. Jedynym nowym domem była kamienica nr 27 (2675) wybudowana ok. 1904 roku. Powstała ona z połączenia i rozbudowy dwóch XVIII. w. kamieniczek. Stan wielu budynków przy Bednarskiej był już podówczas bardzo zły. Najgorzej chyba prezentował się zespół dawnej „Kasztelanki”. Zarówno placyk, jak i otaczające dziedzińce parterowe budyneczki wyglądały tragicznie. Zapadnięte w ziemię, pozbawione tynków i przepełnione miejską biedotą. Na rozbiorke musiały czekać te rudery aż do roku 1939. Jak wyglądała ulica Bednarska w początkach XX wieku przeczytamy w autentycznych wspomnieniach z epoki: *„...po lewej stronie porządne, trzypiętrowe kamienice, aż do końca, do narożnego sklepu w podziemiach, skąd pachniał lakier, słodko i mdląco, jak landrynki. Po prawej stronie na długiej przestrzeni wznoszą się mury Towarzystwa Dobroczynności i co parę metrów trzeba obchodzić skarpy, które dają osłonę i chwilowe wytchnienie gdy wieje wiatr, a wieje często od Wisły. Na środku jezdnia wybrukowana była kocimi łbami. Tą ulicą lepiej było iść pod górę, niż schodzić w dół, bo nogi zawsze się tam ślizgały. Wśród skarp Towarzystwa Dobroczynności mieściła się mydlarnia i sklep pani Stodólskiej z interesującą wystawą: były na niej zawsze lalki-Krakowianki, ręcznie wykonane. Przy samym rogu był kantor pralni Musiałowej. Dom nr 26 wyglądał skromnie od frontu, tylko dwa piętra bez facjatek, bo na poddaszu mieściły się pracownie malarskie z oknami w dachu.”*

Przy tej ulicy było też wiele magli ręcznych, z których korzystali również mieszkańcy pobliskiego Mariensztatu. Nie sposób wyliczyć dziesiątków małych sklepików wypełniających przyziemia i sutereny kamienic. Było tu wszystko, czego człowiekowi potrzeba za życia i po śmierci: od pieczywa, wędlin, artykułów winiarsko-monopolowych i kolonialnych, poprzez skład apteczny, skład opatu i zakład fotograficzny (nr 21), aż po firmę oferującą trumny i wieńce. Sklep z norymberszczyzną prowadził w domu nr 15 L. Jaroszewski. Do I wojny istniała w domu pod nr 21 redakcja tygodnika „Warszawianka” wraz z drukarnią L. Kopczyńskiego, a druga drukarnia – W. Szulca, działała naprzeciw, pod nr 22. Spośród zakładów rzemieślniczych wyróżniał się zakład mechaniczny L. Gila pod nr 28 i zakład stolarski T. Idzika (nr 4). Wytwórnia organów, należąca teraz do L. Hartmana przeniosła się na posesję nr 10, a starą łaźnię Majewskich przejął T. Świetliński.

Miała Bednarska ten rys osobliwy, trochę typowy dla Powiśla, uosabiany przez jej mieszkańców, nierzadko wielkich oryginałów, o których krążyły legendy. Należał do nich pewien stolarz z pobliskiej ulicy Mularskiej, który sypiał w swym zakładzie, w wyścielonej wiórkami trumnie. Mieszkało tutaj wielu malarzy, literatów i konspiratorów.

Eborowicze spędzili na tej ulicy prawie równe sto lat, od przybycia tutaj Szymona w roku 1815, do wybuchu I wojny światowej w roku 1914. Wnuk protoplasty Szymona, Szymon Antoni mieszkał potem aż do śmierci przy ulicy Pięknej pod nr 7.

Eborowicze zapisali bogatą kartę w historii ulicy Bednarskiej inicjując tam swoją działalność gospodarczą w wytwórni olejów, potem produkowali i sprzedawali napoje alkoholowe i artykuły spożywcze. Dlatego tak szczegółowo zostały tutaj omówione dzieje tej ulicy, gdyż w tym mikroświecie działy się rzeczy ważne dla wielu warszawskich rodzin. A także ważne dla historii całego miasta. Spojrzenie na dawną ulicę Gnojową, która rozkwitła w czasach, gdy funkcjonowała tam jedyna przeprawa przez Wisłę, a potem stopniowo podupadała po otwarciu mostu Kierbedzia, pokazuje nam skalę przemian gospodarczych i społecznych w mikroskali małego wycinka miasta. Mimo okropnych zniszczeń wojennych i często bezmyślnych działań powojennych planistów, jeszcze dziś można zobaczyć na Bednarskiej okruchy dawnej świetności. Ale to już jest zupełnie inna

ulica niż ta, na której osiedlił się blisko 200 lat temu Szymon Eborowicz. Czas zatarł większość śladów i właśnie dlatego powstała ta książeczka. Aby ocalić od zapomnienia losy jednej rodziny i jednej warszawskiej uliczki.

6

Po śmierci małego Lucjana Aleksander Niewiarowicz pracował i gospodarował w Jaszczowie przez pięć spokojnych i zasobnych lat. Rodzinie niczego nie brakowało, na polach rosło zboże, w ogrodzie warzywa i owoce, a w oborze stały krowy. Były też konie i narzędzia rolnicze. Na to wszystko krzywym okiem patrzył stacyjny żandarm, z pochodzenia Rosjanin, który nie mógł znieść tego, że temu Polakowi tak dobrze się powodzi. Wykorzystał więc chwilę, aby złożyć donos, że dozorca odcinka zatrudnia w swoim gospodarstwie robotników kolejowych. Był to oczywisty fałsz, gdyż chodziło o jednego człowieka, który z własnej woli naprawił ogrodzenie podwórza. Donos zawistnego człowieka, który potwierdził wrogi mu dróżnik, wystarczył jednak do dymisji Aleksandra, która nastąpiła 30 maja 1890 roku o godzinie 14.00. Nagle i niespodziewanie został on bez pracy i bez swego małego gospodarstwa rolnego, które za marne pieniądze musiał szybko wyprzedać. Na domiar złego w tym samym roku prace stracił Józef Chmielowski, którego zwolniono ze stacji Płudy bez żadnego zabezpieczenia na stare lata. Nagle i niespodziewanie na utrzymaniu Aleksandra znalazły się cztery osoby z rodziny żony oraz kolejne cztery osoby, czyli Zosia, Wacek i Stefek, jego najbliżsi. Utrzymanie tak licznej rodziny, w dodatku w Lublinie, gdzie panowała drożyzna, nie było możliwe bez żadnych dochodów. Sytuacja była rozpaczliwa, Aleksandrowi pozostało tylko około 600 rubli, z czego 150 rs zapłacił za wynajęcie mieszkania w mieście na rok. Środków na utrzymanie nie wystarczyłoby nawet rok, gdyż Chmielowscy nie liczyli się z wydatkami przekonani, że Aleksander szybko znajdzie inną pracę. Dobijali się też o pomoc swego krewniaka Higin Liszko, który poślubił siostrę Felicji Chmielowskiej Konstancję. Ten wysoki urzędnik kolejowy rok wcześniej przeszedł na emeryturę i nabył majątek ziemski. Tylko dlatego zgodził się zabrać do siebie siostrę swej żony i jej męża, gdyż mieli pracować na jego gospodarstwie. Dwie osoby z utrzymania bezrobotnego Aleksandra ubyły, ale nadal było ich sporo, a pracy żadnej na horyzoncie.

Głodny, zmęczony i pełen rozpaczyl włókł się Aleksander ulicami Warszawy, gdzie bezskutecznie dobijał się do różnych drzwi za jakimkolwiek zatrudnieniem. Nagle przypomniał sobie rodzinę inżyniera Kosteckiego, który sam nie tak dawno stracił pracę i był w podobnie trudnej sytuacji. Obarczony liczną rodziną, mimo specjalistycznego wykształcenia, wiele miesięcy pozostawał bez pracy. Kiedy zapukał do drzwi jego mieszkania otworzyła mu żona inżyniera. Gdy Aleksander opisał jej swoje trudne położenie powiedziała, że właśnie wyjeżdża do męża do Besarabii i poprosi go o załatwienie posady. Znękany bezowocnymi do tej pory poszukiwaniami Aleksander miał niewielką nadzieję, że coś z tego wyniknie. Wielka była więc jego radość, gdy po 10 dniach nadszedł telegram od Kosteckiego, że wysyła mu bilety kolejowe, a na miejscu czeka go praca za 60 rubli miesięcznie. Wielka była radość Aleksandra z tej miłej sercu wiadomości! Natychmiast zaczął przygotowania do dalekiej podróży.

Dzisiaj nie używamy już nazwy Besarabia, która była częścią Mołdawii, a ta z kolei należała do Rumunii. Sam Rumunia odzyskała niepodległość w roku 1877, uniezależniając się od Imperium Osmańskiego. Ceną za wsparcie rosyjskie w tej walce było przekazanie południowej Besarabii na

rzecz Moskwy. W tej sytuacji linie kolejowe w samej Rumunii pomagali budować Francuzi, a w Besarabii budowali je Rosjanie według przyjętej w całym imperium szerokości torów. Rumuni po odzyskaniu niepodległości przyjęli też alfabet łaćniński. Dopiero w roku 1918 Besarabia wróciła do Rumunii, ale w roku 1940 ponownie została zaanektowana przez ZSRR na mocy paktu Ribbentrop-Mołotow. I powstała Mołdawska Republika Socjalistyczna. W roku 1991 nastąpiła secesja i z tej części kraju powstało niezależne państwo Mołdowa. Kiedy Aleksander przyjechał do Besarabii liczyła ona 1,8 mln mieszkańców, a w tym 50% Mołdawian, 20% Ukraińców, 12% Żydów, 8% Rosjan i 5% Bułgarów celowo sprowadzanych przez Rosjan, jako osadników.

Nic zatem dziwnego, że Aleksander po przyjeździe na miejsce nie mógł się w żaden sposób dogadać, jeśli trafił na rodowitego mieszkańca posługującego się językiem rumuńskim. Inżynier Kostecki mieszkał we wsi Parkany, która obecnie leży na terenie samowłańczej Republiki Naddniestrzańskiej. Zmęczonego kilkudniową podróżą Aleksandra serdecznie przyjęła pani Kostecka otoczona gromadką dzieci. Ogolony i odświeżony doczekał się wieczorem na powrót inżyniera. Usiedli razem do kolacji, w trakcie której Kostecki omówił szczegółowo zakres prac, jaki ich czekał. Budowa linii kolejowej jeszcze się nie rozpoczęła, trwały pomiary geodezyjne i wytyczanie trasy w dosyć ciężkim, gęsto zalesionym terenie. Następnego dnia zaczęły się wędrówki po bezdrożach Besarabii całej tej wesołej gromadki w skład której wchodziła liczna rodzina inżyniera tj. jego żona, dwie córki, jedna już dorosła, a druga 12. letnia, synkowie 7. i 15. letni, kuzynka 17 lat oraz starsza guwernantka. Całe to towarzystwo posuwało się razem z ekipą kolejarzy pracujących przy pomiarach, w południe przygotowywali obiad, a wieczorem ze śpiewem na ustach wracali na kwaterę w kolejnej wsi. Nie wszystko jednak było sielanką, praca była trudna, a nawet niebezpieczna dla życia. Już po dwóch tygodniach Aleksander poczuł znaczne zmęczenie fizyczne, dręczyła go też tęsknota za rodziną pozostawioną w dalekim Lublinie. Mógł tam pojechać dopiero w listopadzie, kiedy zaczynała się zima, co wykluczało dalsze prowadzenie prac geodezyjnych nad wytyczaniem nowej linii kolejowej.

Po kilku dniach podróży Aleksander dotarł do Lublina i utonął w ramionach ukochanej Zosi. Kiedy jednak bliżej mu się przyjrzała zobaczyła, że jej mążonek zmienił się nie do poznania. Gdy wyjeżdżał ważył sporo ponad 100 kg, a teraz schudł, szerniał i pochylił się, jakby przygnieciony ciężarem cierpień fizycznych oraz trosk o rodzinę. W dodatku znowu miał na głowie rodziców Zosi w komplecie, a jego pensja 60 rubli miesięcznie w żaden sposób nie wystarczała na utrzymanie rozdzielonej rodziny. Trzeba było pomyśleć o sprowadzeniu żony i dzieci do Besarabii, gdzie utrzymanie było mniej kosztowne. Na razie jednak po dwóch tygodniach urlopu trzeba było wracać do Mołdawii, ale już na inny odcinek i na budowę linii, a nie na pomiary i wytyczanie trasy. Kierownik tego odcinka prac inż. Lenc zapoznał Aleksandra z zakresem obowiązków i tak upłynął czas do świąt Bożego Narodzenia. W dzień wigilijny wielka nostalgia ogarnęła Aleksandra. Był tak daleko od kraju, od swoich najbliższych, a tutaj w obcym kraju, gdzie katolików było bardzo mało, nie miał nawet przyjaciela. Kiedy zatem wrócił z pracy do skromnego pokoiku, który wynajął w wiosce mołdawskiej, kazał sobie ugotować garnuszek suszonych śliwek i to miała być jego cała kolacja wigilijna. Nagle do drzwi zapukał stróż z biura zarządu budowy i dostarczył zgłębionemu Aleksandrowi list. Serce zabiło radością wielką, tak, to był list od Zosińki kochanej! Przyszedł w samą porę, aby rozjaśnić tę smutną Wigilię i ukoić stęsknione serce. Otwiera go szybko Aleksander, a tu z listu wypadają trzy opłatki, każdy podpisany słowami „od Zosi”, „od Wacia” i „od Stefka”. Z głębin nostalgii do ekstazy radości, ze smutku do łez szczęścia, takie uczucia targały Aleksandrem. Ułamał on opłatki, zmówił modlitwę i spożył swoją skromną kolację wigilijną złożoną z herbaty i śliwek.

Minął Nowy Rok 1891 roku, a w końcu lutego nadchodzi telegram od Kosteckiego, że Aleksander ma stawić się do Bielc, gdzie on został mianowany zastępcą naczelnika XV odcinka budowy. To miasto powiatowe właśnie w tym czasie stawało się ważnym węzłem kolejowym, gdyż tam krzyżowały się szlaki do Kiszyniowa, Ocnita, Rezina i Ungheni. Budowa już ruszała, Kostecki kierował pracami, gdyż naczelnik miał przyjechać dopiero w maju. Aleksander wynajął mieszkanie z wyżywieniem u wdowy Kaczaunowej, gdyż budowa linii kolejowej miała potrwać około dwóch lat, a razem z nim miała zamieszkać rodzina. Dodatkowo zabrał z sobą teścia Chmielowskiego i Władzię, siostrę Zosi. Felicja została ze swoją siostrą Konstancją w majątku ziemskim Higina Liszko. Józef Chmielowski czuł się tam źle, do prac rolnych się nie nadawał i szybko pokłócił się „panem dziedzicem”, jak go ironicznie nazywał. W maju pojechał więc Aleksander do Lublina mając w kieszeni bilety na przejazd całej rodziny oraz bilet bagażowy na przewóz rzeczy. Początkowo wszystko układało się dobrze, ale 1 lipca na budowie pokazał się naczelnik odcinka XV niejaki Sachański, który okazał się być wrogiem Polaków. Chociaż sam pochodził z rodziny polskich katolików, przyjął prawosławie i nigdy nie używał języka polskiego. Jak każdy neofita był bardzo gorliwy w szykanowaniu swoich rodaków, a Kosteckiego i Aleksandra nie cierpiał. Wyzywał ich i poniżał na każdym kroku. Dla niego Aleksander to był „parszywy Polak”, dwukrotnie go zwalniał, a po wstawiennictwie znowu przyjmował, ale za każdym razem zmniejszał mu pensję, aż doszła do żałosnego poziomu 40 rubli miesięcznie. Nie sposób było z tego żyć z liczną rodziną na karku. To było 6 osób, którym trzeba było zapewnić mieszkanie, wyżywienie i opał, który był tam bardzo drogi. Wacława trzeba było posyłać do szkoły, miał już wtedy 12 lat. Także Stefan chodził do szkoły, a to oznaczało dodatkowe wydatki na mundurki, podręczniki i opłaty szkolne. Do domu zawitał głód, biedna Zosia od ust sobie odejmowała, aby wyżywić synów, siostrę i ojca. Sama schudła i zmizerniała wskutek ciężkiej pracy, trosk i braku wyżywienia. Na domiar złego jesienią 1892 roku Sachański po raz trzeci zwolnił Aleksandra z pracy pod pozorem, że zimą budowa kolei stanie. Pensja za dwa miesiące i fora ze dwóra! Połowa pieniędzy, tj. 40 rubli, poszła od razu na spłatę zaciągniętych długów. Aleksander był całkowicie zdruzgotany i pozbawiony nadziei, pragnął już tylko śmierci. Nie widział żadnej przyszłości dla siebie, ani dla rodziny, tam w dalekim, obcym kraju, bez żadnych środków do życia. Trzeba było jednak działać, żona i chłopcy wymagali pomocy, zostawali w Bielicach niemal bez pieniędzy. W tym akurat czasie zaczęła tam grasować epidemia cholery, która była szczególnie groźna dla ludzi biednych, osłabionych i niedożywionych. Rusza zatem 1 października Aleksander do Warszawy, a po drodze zajeżdża do Kijowa mając przy sobie list rekomendacyjny od głównego inżyniera budowy w Mołdawii. Traf chciał, że wakowała w tym okręgu posada dozorczy odcinka w Humaniu. Uszczęśliwiony Aleksander złożył natychmiast wszelkie papiery, ale kiedy naczelnik zobaczył jego paszport zmienił zdanie.

-Niestety, pan jesteś Polakiem, a ja mam rozporządzenie, aby Polaków, a w szczególności katolików nie przyjmować-oświadczył naczelnik.

-Może jednak zrobiłby pan wyjątek, jestem w trudnej sytuacji-błagał go Aleksander.

-Naturalnie, jest wyjście drogi panie. Przejdzie pan na wiarę prawosławną i po kłopotcie-rzekł Rosjanin.

-Zdrajcą, a w szczególności zdrajcą religii nie zostanę, choćbym miał umrzeć z głodu-odparł dumnie załamany Aleksander i chwiejnym krokiem wyszedł z gabinetu naczelnika.

Następnego dnia wyjechał do Warszawy i po przyjeździe spotkał się ze swoim dawnym przełożonym naczelnikiem Mikulskim. Niestety ten nie miał dla niego żadnego zatrudnienia. Oświadczył, że wakatów brakuje, a dla Polaków są dodatkowe zakazy i ograniczenia wprowadzone przez władze carskie. Znikąd nadziei, w dodatku zbliżała się zima i koleje masowo zwalniały ludzi na ten okres. Wszyscy znajomi zawiedli, w końcu Aleksander przypomniał sobie inżyniera Kamińskiego, który pracował dla Kolei Nadnarwiańskiej budując odcinek Łapy-Ostrołęka-Małkinia. Przez kilka godzin

dziennie koczował Aleksander pod domem Kamińskiego, gdyż trudno go było zastać, a kiedy w końcu będąc już na dnie rozpacz złapał go w przelocie, też spotkała go odmowa.

Poszedł, więc Aleksander w ten mroźny, listopadowy wieczór nad Wisłę, stanął na moście i rozmyślał nad rzuceniem się w otchłanie zimnych wód toczonych przez tą rzekę. Jego bliscy byli oddaleni o 2 tysiące kilometrów, pozbawieni środków do życia w kraju, w którym szalała groźna epidemia. A on sam w żaden nie potrafił im pomóc, sam nie miał już pieniędzy i najmniejszych nawet szans na jakiekolwiek zatrudnienie. Kusiło najprostsze rozwiązanie – skok z mostu do Wisły. Rozpoczął więc Aleksander swoją ostatnią modlitwę.

- A więc Boże Wszechmocny! Ojcie Sierot! Przyjmij mnie i daj odpocząć, łódź moja na falach zdruzgotana już tonie. O, przyjmij mnie skołatanego do odpoczynku, nie mam już sił walczyć, odrzucili mnie żyjący z tego padołu płaczu, a umarli nie odrzucą. Żegnam cię Słoneczko, zaledwieś wzeszło tak pięknie, tak błogo dla mnie i już zachodzisz, zachodzisz na wieki! Żegnam was gwiazdki na jasnym niebie, które tak pięknie gorejecie, lecz tylko moja, moja zaćmiła się i już gaśnie. Żegnam cię ziemio uroczą, którą tak kochałem, w końcu najboleśniej pozostało pożegnanie mojej drogiej rodziny. Zosiu, Zosiu droga, pokorna towarzysko niedoli, któraś wiernie wytrwała na stanowisku, jako żona, jako Matka najtkliwsza, przebacz, daruj mi i żegnaj, zobaczymy się lecz na lepszym świecie. Nareszcie biedne i drogie moje dzieci, Wacio mój miły synu i rozkoszny, ukochany Stefcu, żegnajcie i prosicie Wszechmocnego, aby mi przebaczył, módlcie się za mną, za ojcem który was kochał całą duszą lecz musiał upaść pod ciężarem losu, którego nie mógł udźwignąć.

Chwycił Aleksander za balustradę i przełożył jedną nogę na drugą stronę przygotowując się do skoku. Nagle w jego uszach zabrzmiał wyraźny głos wołający do niego.

- Mężu! Ojcie! Co się stanie z nami, opuszczasz nas, zostawiasz bezbronną kochającą cię żonę, opuszczasz nas ojcie bezsilne i słabe latorośle, które nie mając tarczy ojcowskiej opieki za najmniejszym powiewem wiatru ugną się i pękną w wiośnie swoich dni.

Mężu! Ojcie! Miej litość nad nami, ufaj i miej wiarę w Wszechmocnego, a przemieni jako sam się przemienił na górze Tabor, gdy Go ukamieniować i z góry zepchnąć chcieli, a on przeszedł wśród nich, że Go nie widzieli i nic złego nie zrobili.

Oprzytomniał Aleksander, cofnął się na most, zrozumiał, że rodzina go potrzebuje i nie może ich tak nagle i w taki sposób opuścić. Zawstydził się swojej słabości, spojrzał na zegarek, była 1.00, połowa listopada 1892 roku. Ulice były puste, Aleksander szedł z wolna do pobliskiej ulicy Tamka, gdzie w małym pokoiku mieszkał z Felicją Chmielowska z córką Józią i synem Julianem. Wiedli oni nader nędzny żywot, chociaż Julek pracował, jako telegrafista na Kolei Nadwiślańskiej, to zarabiał zaledwie 30 rubli miesięcznie. Józia szła od rana do nocy zarabiając nawet nie 20 rubli na miesiąc. W Warszawie mieli oni zamożnych krewnych, ale na ich pomoc nie mogli specjalnie liczyć. Aleksander też nie próbował zwracać się o pracę, chociażby do syna Higinia Liszko Juliana, który pracował na kolei. Tam nie było solidarności rodzinnej, chociaż mamy też wiele przykładów pomocy w znalezieniu pracy.



Rankiem zdesperowany Aleksander postanowił za ostatnie ruble pojechać na budowę Kolei Nadnarwiańskiej mimo, że inż. Kamiński ostrzegał go, iż prace tam zakończone. Miał tylko 8 rs, na bilet wydał 4 rs, więc zostało mu już naprawdę niewiele. Pociąg stanął na będącej w budowie stacji Ostrołęka i Aleksander udał się do biura budowy. Tam zobaczył wielki tłum ludzi cisnących się do kasy, gdyż rozliczano właśnie zakończenie prac. Robotnicy i urzędnicy odbierali należne im pieniądze i martwili się, jak przeżyją zimę. –Rację miał Kamiński, po cóż ja tu

przyjechałem-pomyślał zrozpaczony Aleksander. Dowiedział się od pracowników, że zarządcą robót jest inżynier Kapliński, którego miał okazję poznać na jednej z poprzednich budów. -Skoro już tutaj jestem, to spróbuję z nim pogadać-postanowił Aleksander. Nie mam po prostu wyjścia z tej sytuacji. Nazajutrz udał się do mieszkania Kaplińskiego i przedstawił mu swoją tragiczną sytuację. Ten jednak powtórzył mu to samo, co wcześniej Kamiński. Zjawił się Aleksander w dniu zamknięcia wszystkich robót na tej linii i nic już nie można było zrobić. Ale zacny Kapliński zrozumiał, że temu człowiekowi grozi śmierć głodowa, a jego 6. osobowa rodzina jest bez środków do życia gdzieś w dalekiej Mołdawii. Wysłał go więc do stacji Czerwony Bór, gdzie wraz z grupą robotników miał układać tory do czasu, aż nie uderzy mróz. Pensja miała wynosić 50 rubli miesięcznie, więc szczęśliwy Aleksander wziął 25 rubli zaliczki, z czego 20 natychmiast wysłał do Mołdawii. Niedługo jednak trwały prace, gdyż nadeszły mrozy, piasek zamarzał i prace przerwano. Przyjechała komisja do odbioru gotowych torów, Kapliński próbował załatwić stałą posadę mistrza odcinka torowego dla Aleksandra, ale nic z tego nie wyszło. Uważano tą linię za strategiczną i obowiązywał zakaz zatrudniania Polaków. Nie pozostało więc nic innego, jak powrócić do Bielc z marnymi 25 rublami w kieszeni. Ale Zosia dostała w sumie 35 rubli, a każdy był na wagę złota, gdyż Wacek zachorował na tyfus i leczenie kosztowało. Trzeba było wyprzedać meble za które Aleksander zapłacił swego czasu blisko 100 rubli, teraz przyniosły ledwo 30 rs. Kiedy więc Aleksander ponownie przyjechał do Bielc zszokował go widok mieszkania ogołoconego ze sprzętów. Ale dzieci były już zdrowe, żona ucieszyła się bardzo, gdyż wcześniej Aleksander nie powiadomił jej o swoim powrocie. A miała już tylko 3 ruble na wydatki domowe.

Na pracę w kraju nie można było liczyć, ale przecież imperium rosyjskie budowało linie kolejowe na całym swoim ogromnym terytorium i decyzja mogła być tylko jedna. Aleksander decyduje się na wyjazd do Saratowa, gdzie od 1866 roku budowana była Riazańsko-Uralska kolej. Do wykonania był odcinek Atkarsk-Wolsk, który zostanie ukończony w roku 1896. Po radzie z Zosią postanowiono, że Aleksander pojedzie sam do Saratowa, a dopiero, gdy się na nowym miejscu urządzi, to wówczas sprowadzi rodzinę. Problemem były pieniądze, które trzeba było zostawić Zosi na utrzymanie, a cały majątek to było marne 28 rs. Na szczęście kuzyn Zosi Walerian Wysocki (był świadkiem na ślubie), przysłał 25 rs, a dłużnik Aleksandra zwrócił 15 rs z pożyczonych 40 rs. Pomógł też inżynier Rogowski, który tak się przejął ciężką sytuacją rodziny, że oprócz listów rekomendacyjnych dał 20 rs na podróż. Na początku lutego 1893 roku ruszył więc Aleksander w daleką podróż do Saratowa, gdzie mieściły się biura zarządu kolei Riazańsko-Uralskiej. Podróż trwała blisko tydzień, a widok Saratowa zadziwił Aleksandra. Wyobrażał sobie to miasto, jako małą, brudną miejscinę zamieszkałą przez dziczających, azjatyckich tubylców, a oczom jego ukazało się wielkie miasto niczym nie różniące się od miast europejskich. Z Azją łączyło to ponad stutysięczne miasto jedynie nazwa, gdyż *Sary tau* oznacza Piękną Górę w języku Tatarów. Położone nad Wołgą było ważnym portem rzeczny i ośrodkiem handlowym. Już w XVII wieku handlowano tu solą i rybami. W połowie XIX wieku nastąpił gwałtowny rozwój miasta w związku z ożywieniem żeglugi na Wołdze i dużymi transportami zboża, które przechodziły przez port i dalej były przewożone istniejącą od lat 70. kolejną do Moskwy. Aleksander podziwiał szerokie ulice i bulwary, które były oświetlane elektrycznie. Odwiedził miejski teatr oraz muzeum starożytności. Po ulicach kursowały tramwaje, a chodniki były asfaltowe. Mieszkańcy to głównie Rosjanie, Tatarzy i Niemcy wyznania katolickiego. Polaków było niewielu, a jedynym kościele katolickim odprawiano msze naprzemiennie jednego tygodnia w języku polskim, a drugiego w niemieckim.

Ponieważ Aleksander musiał się liczyć z każdą kopiejką notował wszystkie swoje wydatki w podręcznym notesie. Zapoznajmy się z nimi, gdyż jest to interesujący dokument tamtych odległych czasów i dalekich miejsc.

W Karbuttaku (jakaś stacja kolejowa po drodze do Saratowa) -0,20 rb na herbatę i kanapkę. W Saratowie 0,40 rb na dorożkę, zajazd u niejakiego Niewiadomskiego-1,50 rb. Na kartki pocztowe Aleksander wydał 0,12 rb, poczym udał się do teatru, który kosztował go 1,37 rb. Tamże kawa aż 0,60 rb, potem obiad za skromne 0,35 rb. Dla portiera w zajeździe -0,50 rb, kolacja 1,15 rb i jabłka 0,31 rb. Następnego dnia w czwartek wydatki Aleksandra przedstawiały się następująco: kawa-0,45 rb, gazety-0,30 rb, dorożka-0,40 rb, pokój w hotelu- 0,90 rb, lokajowi i pokojówce trzeba było dać 0,30 rb. Razem w tym dniu wydatki 2,88 rb, gdyż 0,53 rb poszło na preferansa. W piątek na herbatę z koniakiem wydał Aleksander 0,25 rb, zapalki kosztowały 3 kopiejki. I dalej już w podróży kolejną obiad w Kiersańsku 0,30 rb, bufet w Kozłowie 0,10 rb. Dalsze notatki są dosyć monotonne, więc je pomijam, wspomnę tylko że bilet do cyrku kosztował 1,55 rb.

Poszukując pracy Aleksander napotkał początkowo na trudności, gdyż z uwagi na klimat roboty torowe mogły ruszyć nie wcześniej, niż w końcu kwietnia. Poznany na miejscu inżynier Tokarijew, kiedy tylko dowiedział się, że ma przed sobą specjalistę od układania torów niezwłocznie zatrudnił Aleksandra z pensją 75 rs miesięcznie. Sam wyjechał do Moskwy, aby zakupić sprzęt potrzebny do budowy. Kiedy wrócił okazało się, że roboty na tym odcinku przejmuje inna firma i z zatrudnienia nic nie wyszło. I znowu biegał Aleksander za pracą, aż napotkał Rosjanina Nowosiłowa, który zaprotegował go inżynierowi Murzo. Ten był naczelnikiem odcinka budowy 120. kilometrowej linii z bazą w powiatowym Wolsku i zgodził się zatrudnić Aleksandra, lecz dopiero od dnia rozpoczęcia robót torowych. Ponieważ był dopiero marzec Aleksander miał otrzymywać zaliczkowo niewielkie kwoty, aby mógł opłacić mieszkanie i wyżywienie. Wyjechał więc Aleksander z Saratowa do Wolska, gdzie za 15 rs wynajął dwa pokoje z wyżywieniem za 15 rs miesięcznie. Zamieszkał przy cichej ulicy Twerskiej w domu wdowy Kuźniecovej. Po kilku dniach zachorował ciężko na dyzenterię, co przypisywał zmianie klimatu i pożywienia. Kolejowy lekarz bardzo mu pomógł w tej chorobie i już po tygodniu Aleksander mógł codziennie chodzić do biura budowy, aby zgłosić gotowość do pracy, poczym wracał na swoją kwaterę. Zostało to nagrodzone, gdyż inżynier Murzo dał mu etat z tymczasową pensją 50 rs do czasu rozpoczęcia budowy. Tam miał Aleksander kierować brygadą robotników układających podkłady i tory. Otrzymane pieniądze natychmiast powędrowały przekazem do Biela dla żony Aleksandra. Kiedy ruszyły prace przy budowie torów pensja Aleksandra wzrosła, mógł już sprowadzić do Wolska swoją rodzinę. Stefan został przyjęty do klasy przygotowawczej szkoły realnej w lipcu 1893 roku, ale został na drugi rok tylko dlatego, że nie miał skończonych 10 lat. Wacek miał iść do drugiej klasy szkoły realnej, ale musiał poznać język niemiecki, więc rok cały uczył się w domu, poczym oblał decydujący egzamin. Poślano go więc w lipcu 1894 roku do I. klasy Szkoły Miejskiej w Wolsku, gdzie uczył się bardzo dobrze.

Aleksander zarabiał 70 rs miesięcznie i trzymał konia do wyjazdów na odległe odcinki budowy linii kolejowej. Na utrzymanie tego konia otrzymywał dodatkowo 20 rs, z czego blisko połowę mógł zaoszczędzić. A za 80 rs można było dosyć wygodnie żyć w tym dalekim mieście nad Wołgą. Dostał też Aleksander 511 rs w postaci zwrotu składek emerytalnych za 15. letnią służbę na Kolei Nadwiślańskiej. Z tego 300 rs poszło na ubrania i sprzęty domowe, a reszta trafiła do kasy oszczędnościowej, jako żelazna rezerwa na gorsze czasy.

Były to szczęśliwe dla rodziny Niewiarowiczów czasy. Aleksander, co prawda ciężko pracował przy budowie linii kolejowej do Atkarska, ale był ceniony przez zwierzchników za fachowość i solidność. Tereny do budowy kolei nie były łatwe. Teren był pofałdowany, występowały lasy i bagna. Stawiać trzeba było wiele mostów i wiaduktów na tym 250. kilometrowym odcinku. Aleksander radził sobie świetnie, stopniowo awansował i zarabiał coraz lepiej. Synowie chodzili do szkoły, a w wakacje całe dnie spędzali nad Wołgą pływając, nurkując i łowiąc ryby.

Rok 1894 kończył się śmiercią cara Aleksandra III, który zmarł na Krymie w swej rezydencji w Liwadii. Przyczyną śmierci cara urodzonego w roku 1845 było zapalenie nerek. Jego następca został

Mikołaj II, któremu historia wyznaczyła rolę ostatniego cara Cesarstwa Rosyjskiego. Lata 1895-96 były także pomyślne dla rodziny Aleksandra. Dobrze zarabiając zdołał zaoszczędzić 6 tysięcy rubli, kwota na owe czasy znacząca. Żyto kosztowało wtedy 30 kopiejek za pud (16,4 kg), ryby od 2-10 kop. za funt, zając 10-15 kop., a parę cietrzewi można było dostać za 1 rubla.

Wacek skończył w roku 1897 szkołę miejską i zamierzał wstąpić do najlepszej w Rosji szkoły morskiej w Odessie. Wyrósł wysoki i barczysty ten przyszły wilk morski, o głowę wyższy od ojca. Stefan uczęszczał do szkoły realnej i też marzył o morzu, ale na to się Zofia nie chciała zgodzić. Dwóch synów marynarzy, to zbyt duże ryzyko, uważała. I pewnie miała rację, gdyż Wacław zginie śmiercią marynarza, ale będąc już w wieku, w którym powinien być na emeryturze.

Rodzina Niewiarowiczów żyła w Wolsku dostatnio i bezpiecznie, gdyż budowa linii kolejowej była stałym źródłem dobrych zarobków. Synowie wyrastali na zdrowych osiłków wyżywając się uprawianiu boksu, zapasów oraz w ujarzmianiu Wołgi. Rzeką tą było spławiane drewno powiązane w wielkie galary i to pod nimi trzeba było zanurkować i wypłynąć nieraz ponad 100 metrów dalej bez możliwości wcześniejszego wynurzenia. Jak wspominał Stefan po latach, raz omal nie postradał życia w trakcie tych ekstremalnych zawodów, gdyż galary przesunęły się z prądem i zabrakło powietrza w płucach.

W lakonicznych notatkach Aleksandra czytamy: „*Wołga-stanęła 22 listopada 1895 r.*” lub „*Wołga stanęła w 1896 r., 13. ruskiej daty listopada.*” Znaczyło to, że łód całkowicie zatrzymał nurt tej potężnej rzeki 25 listopada 1896 roku. W tymże roku miały miejsce zaćmienia słońca i księżyca w ten oto sposób odnotowane przez Aleksandra.

„*Księżyc widzialny w całej Rosji 16 lutego, zaćmienie zaczęło się o 20.47, a zakończyło o 23.46. Słońce-całkowite zaćmienie widzialne w całej Rosji, początek o godzinie 5.14, koniec 10.05 czasu moskiewskiego*”. Z notatki PRZEPOWIEDNIA FALPA ASTRONOMA dowiadujemy się, że kometa widoczna na niebie w roku 1866, pojawi się znowu 13 listopada 1899 roku. Ale przecież już brytyjski astronom Edmund Halley przewidział w roku 1758 ponowne pojawienie się komety nazwanej jego imieniem. Inna notatka informuje nas, że jarmark w Wolsku zaczyna się 23 czerwca i trwa cały tydzień. Podobny jarmark odbywa się także jesienią, ale tutaj daty Aleksander nie podaje. Na plagę komarów licznych przecież nad ogromnym rozlewiskiem Wołgi, notatka zaleca wodę karbolową, którą należy skropić ściany, trochę łóżko, a także twarz i ręce „*a żaden komar nie ugryzie*”. Metoda to może i skuteczna, ale w większym stężeniu niebezpieczna, gdyż owa płyn ten to nic innego, jak fenol, z którego wytwarzano środki dezynfekujące takie, jak kwas karbolowy (10% roztwór), czy wodę karbolową (roztwór 1,3%). Aleksander odnotowuje nawet takie nietypowe zdarzenia, jak fakt iż „*słowik przestał śpiewać 23 czerwca*”, a innym razem zaczął śpiewać w zimie 15 grudnia!

Na bezsenność otrzymujemy radę, aby przed snem zjeść łyżkę stołową miodu patoki, czyli w postaci płynnej, „*a sen wnet przyjdzie*”. W razie zachorowania na ospę należy szyby pomalować na czerwono lub zawiesić czerwone zasłony na oknach, co zapobiegnie powstawaniu śladów na twarzy. Nie było w tym czasie masowych szczepień przeciwko ospie wietrznej, jak to jest obecnie. W tych małych notatkach Aleksandra znajdziemy jeszcze:

- sposób na pozbycie się szczurów (cynoglossum officinale), czyli ostrzeń pospolity,
- usuwanie plam z laku,
- usuwanie plam z atramentu z bielizny,
- sposób na oparzenia i ukąszenia pszczoł (liście chrzanu),
- jak zmiękczać wodę,
- jak zachować świeżość kurzych jaj (smarować oliwą).

A także wiele innych, czysto praktycznych porad przydatnych w gospodarstwie domowym ponad 110 lat temu.

W roku 1896 Rosja podpisała z Chinami tajny sojusz przeciwko spodziewanej inwazji japońskiej. Warunkiem wejścia tego sojuszu w życie była budowa kolei Wschodniochińskiej przez spółkę akcyjną Rosji. Faktycznie jednak 100% akcji było własnością Ministerstwa Finansów Rosji. Zgodnie z umową kolej ta po 80. latach miała przejść na własność Chin, aczkolwiek mogła być wykupiona wcześniej tj. po 36. latach od zakończenia budowy. Akcje tej kolei będą później mogli nabywać zarówno Chińczycy, jak i Rosjanie, poprzez Rosyjsko-Azjatycki Bank w Chabarowsku.

Wcześniej Rosjanie w latach 1891-97 zbudowali Kolej Ussuryjską, która połączyła Chabarowsk z Władywostokiem. W węzłowej stacji w Nikolsku miało w przyszłości nastąpić połączenie Kolei Ussuryjskiej z Wschodniochińską i Transsyberyjską. Miasto to w latach 1935-57 zwało się Woroszyłowsk, a obecnie Ussuryjsk. W czasie, gdy przebywał tam Aleksander była to zaledwie stacja kolejowa wybudowana w roku 1893, a sama miejscowość powstała pięć lat później z połączenia dwóch wiosek: Nikolskoje i Kietricewo.

To właśnie na tą budowę w Mandżurii władze rosyjskie rozpoczęły werbunek doświadczonych specjalistów od budowy linii kolejowych, którzy mogliby pokierować tanią siłą roboczą dostarczoną przez Chińczyków. Propozycje takie dotarły do Aleksandra i po naradzie z Zosią postanowili, że podpisze on kontrakt na trzy lata, aby już ostatecznie zabezpieczyć finansowo rodzinę. Była na to szansa, dlatego że pensja budowniczego miała wynosić 1.200 rubli miesięcznie, a zaliczka na podróż wyniosła 1.600 rs. Decyzja zatem zapadła, rusza Aleksander do Odessy, aby tam zaokrętować się na parowiec Floty Ochotniczej „Włodzimierz”. 15 kwietnia 1897 roku Zosia pojechała z mężem do stacji Kozłowa, tam po całym pożegnaniu wysiadła i wróciła do Wolska. Rozpoczęła się mandżurska przygoda Aleksandra, która zostanie opisana w innym miejscu. Wróci do Wolska dopiero 16 czerwca 1900 roku.

Część pensji Aleksandra była wysyłana do Wolska dla Zosi na utrzymanie domu i opłacenie szkół dla synów. W razie potrzeby Zofia pobierała też gotówkę z Banku Saratowskiego i okresowo odsetki od złożonych tam oszczędności. Z odręcznej notatki Aleksandra wynika, że przez trzy lata poszła na to kwota 3.800 rb, co daje 105 rb miesięcznie.

.....

Pora otworzyć widok na kolejną gałąź naszej rodziny bardzo mało znaną do tej pory. Mam na myśli ród Gerrethów, który wiąże się z Eborowiczami, Chmielowskimi i Szletyńskimi, ale pozostanie dla nas tylko na jednej, opisanej fotografii. Żadnych wspomnień rodzinnych, żadnych opowieści ze strony dziadków, śladowe świadectwa na piśmie. Tą szczelną zasłonę trzeba nieco uchylić, gdyż bez opisu dziejów rodziny Gerrethów, ta historia byłaby dalece niepełna.

Żalozycielem polskiej odnogi rodu Geretów (będę używał uproszczonej pisowni tego nazwiska wg herbarza Bonieckiego) był doktor obojga praw Samuel Ludger Geret (1730-1797), syndyk miasta Torunia, który szlachectwo otrzymał od Sejmu w roku 1775. Ściśle biorąc był to indygenat, czyli uznanie obcego szlachectwa na gruncie naszego kraju. Właśnie od tego 1775 roku wymagano od indygenów, podobnie jak od nobilitowanych, nabycia dóbr ziemskich o ściśle określonej wartości, przynależności do Kościoła rzymskokatolickiego, a także przeniesienia stałej siedziby do kraju. Obdarzeni szlachectwem polskim składali kanclerzowi przysięgę wierności Rzeczypospolitej i królowi, jednak prawo do urzędów dygnitarskich i dóbr królewskich uzyskiwali dopiero w trzecim pokoleniu. Trudno jednak uznać Samuela Gereta za założyciela rodu, raczej był nim nieznany nam bliżej jego ojciec, gdyż on sam był zatwardziałym, starym kawalerem. Ożenił się będąc w zaawansowanym wieku z wdową po administratorze salin królewskich Konstancją urodzoną Goebel i nie miał z nią potomstwa. Po śmierci ojca Samuel zaciągnął pożyczkę, aby utrzymać w całości majątek ziemski, czego wymagało od niego uzyskanie szlachectwa polskie, choć w tym czasie dopiero się o nie starał. Z tej pożyczki spłacał swoich braci, którzy nie zabiegali o indygenat i

utrzymali tradycyjną, pruską pisownię nazwiska. Dosyć szybko jednak spolonizowali się żeniąc się z Polkami i osiedlając się w okolicach Warszawy oraz Radomia. To właśnie w Rajcu, małej wsi pod Radomiem urodził się w roku 1810 Antoni Daniel Gerreth, a nieco wcześniej jego brat Karol. Ten ostatni ożenił się z Katarzyną Zawadzka i to z tego małżeństwa kielkowała dalsza linia rodowa. Mieli oni dwóch synów: Konstanty Aleksander urodził się w roku 1824, a Ignacy urodził się w roku 1828 w Dęblinie. Ożenił się on w roku 1849 w Opatowie z Aleksandrą Skrzypczyńską (zmarła w r. 1908) i mieli dwóch synów: Karola ur. w r. 1851 oraz trojga imion Apolinarego Konstantego Chryzostoma urodzonego rok po bracie. Ten poślubił w roku 1880 Józefę Gagatnicką, zmarł w roku 1909. Wróćmy jednak do Konstantego Aleksandra Gerretha, który 4 kwietnia roku 1848 poślubił w Warszawie Honoratę Śliwińską. Świadkami tej ceremonii byli: Józef Żyro, urzędnik oraz Antoni Wasiłowski tej samej profesji. Z zachowanego aktu ślubu dowiadujemy się, że pan młody urodził się we wsi Garbatka pod Radomiem z nieżyjącego już ojca Karola i żyjącej Katarzyny Zawadzkiej. Rodzicami panny młodej byli: Mikołaj Śliwiński oraz Barbara z Mierzejewskich mieszkający w Warszawie przy ulicy Marszałkowskiej nr 1370. Były tylko jedne zapowiedzi w parafii Św. Krzyża, od dwóch pozostałych została udzielona dyspensa. Honorata miała wówczas 20 lat i przeżyła w tym związku 38 lat umierając w roku 1886. Jej mąż po odbyciu obowiązkowej żałoby, poślubił w roku 1887 znaną nam już wdowę po poruczniku żandarmerii Unierzyskim Paulinę Władysławę Eborowicz, wówczas dobiegającą już pięćdziesiątki. Nie wiemy, jak i kiedy się poznali, ale był to początek dosyć trwałych związków rodziny Eborowiczów i Chmielowskich z Gerrethami. Zaledwie trzy lata po tym małżeństwie wdowy z wdowcem, syn Konstantego Aleksandra, też Konstanty, ale Honorat, poślubił Feliksę Julię Eborowicz. Tutaj już nie możemy mieć wątpliwości, że ciocia Władzia, jak nazywano w rodzinie Paulinę, doprowadziła do tego małżeństwa. W końcu Feliksa była jej bratanicą, a jej samej widocznie zależało na dalszym zacieśnianiu więzów z rodziną Gerrethów chlubiących się swym pruskim szlacheństwem. Z tego udanego związku w roku 1891 urodził się syn Wacław (+13.IV.1947), a rok potem córeczka Helena Władysława (+18.V.1959).



27. Władysława Chmielowska

Inna Władzia, siostra Zofii Chmielowskiej, zamieszkiwała w tym czasie w Żytomierzu, ale często bywała w Warszawie, gdzie odwiedzała swoją matkę i dalszych krewnych. W kwietniu 1897 roku, czyli w czasie, gdy Aleksander ruszał do Odessy, zrobiła sobie zdjęcie zadedykowane „dla moich kochanych sióstr”, które tutaj zamieszczam. Z pewnością wysłała je Zosi do Wolska, gdyż ocalało ono w zbiorach Stefana Niewiarowicza. Miała wówczas 35 lat i była podobna do swojej starszej siostry Zosi. Zamieszkała potem z mężem i córką Felicją w Łucku, gdzie w okresie międzywojennym lubił spędzać urlop kapitan Wacław Niewiarowicz z żoną Ireną. Z dała od morza i oceanów, odpoczywał nad leniwie płynącym Styrem. Swoją pierwszą praktykę morską odbył on jeszcze przed wstąpieniem do Szkoły Morskiej w Odessie na statku „Bracia Paramonow” w czasie od 8 kwietnia do 31 sierpnia 1898 roku.

Wróćmy jednak do ślubu z początku 1881 roku, kiedy to przed ołtarzem przysięgali sobie wierność Szymon Antoni Eborowicz i Karolina Górka. Oni także wyruszyli do dalekiej Besarabii, aby tam zarabiać na życie pracując przy budowie kolei, dokąd skierował ich inżynier Kostecki. Już 25 sierpnia tegoż roku w dalekich Benderach na świat przyszło dwóch synów bliźniaków: Jerzy Włodzimierz i Julian Aleksander. Obaj chodzili razem do szkół, przy czym szkołę średnią kończyli w Charkowie, a uniwersytet w Petersburgu. W roku 1913 Julian Aleksander poślubił Janinę Zdanowicz, a Jerzy Aleksandrę, o której nic bliższego nie wiemy. Co ciekawe w roku 1920 brat Janiny Maksymilian

Zdanowicz liczący sobie 43 lata weźmie sobie za żonę 37. letnią Marię Teresę Eborowicz, także córkę Szymona i Karoliny. Na ich ślubie w Warszawie pojawi się Zofia Chmielowska i będzie to jej ostatnie spotkanie rodzinne z Eborowiczami.

Na razie jednak zastajemy Zofię Chmielowską w oczekiwaniu na powrót męża z dalekiej Mandżurii. Była pełna niepokoju i obaw przez cały czas pobytu Aleksandra w Chinach, ale kiedy dotarły do niej wiadomości o powstaniu bokserów (nazwa ta nie była jeszcze wówczas stosowana) i niszczeniu linii kolejowych, prawie oszalała z rozpaczy. Straż kolejowa i personel heroicznie bronili obiektów kolejowych, ale i tak 80% linii zostało opanowane przez rebeliantów. Jedynie 400 km linii wyszło bez szwanku z tych zamieszek. Na pozostałych odcinkach spalono budynki stacyjne, splądrowano składy, zniszczono linie telegraficzne oraz kopalnie węgla. Zniszczenia te szybko odbudowano, a budowę całej linii zakończono w październiku 1901 r.

Z kierownictwa budowy Kolei Wschodniochińskiej Zosia otrzymała informacje, że wszystkich pracowników zatrudnionych przy budowie bezpiecznie ewakuowano, ale nie za bardzo w to wierzyła. Tymczasem Aleksander był już w drodze z Mandżurii do Wolska, ale podróż miała trwać tygodniami. Na początek ponad 500 km konno, czego nie powstydziliby się najlepsi kowboje Dzikiego Zachodu. Ale Aleksander podbijał Dziką Wschód na koniu z karabinem i rewolwerem w rękę, o czym przeczytamy w odrębnym e-booku poświęconym jego niesamowitym przygodom w Mandżurii. Po szczęśliwym powrocie Aleksandra do Wolska rodzina Niewiarowiczów rozpoczęła przygotowania do przesiedlenia się do Warszawy. Czas życia nad majestatyczną Wołgą dobiegł kresu. Wacek i Stefan na zawsze zapamiętają tą rzekę, której drugiego brzegu w czasie wiosennych rozlewisk nie sposób było zobaczyć. Wydawała się być wielki morzem płynącym nieustannie w jednym kierunku od milionów lat. A że sama jest morzem, do morza wpadać nie powinna, więc kończy swój bieg w jeziorze, choć zwanym Morzem Kaspijskim. Jest to największa i najdłuższa na świecie rzeka uchodząca do jeziora, jest rzeką matką i matką rzek Rosji.

Rozstając się z Mandżurią Aleksander został szczerze potraktowany przez szefa i głównego konstruktora całej budowy Aleksandra Jugowicza. Na koszt podróży wypłacił mu 243 rs, premii 300 rs, odprawa za 3 miesiące 300 rs i diety 260 rs. Razem dało to 1.103 rs, które wpłacił Aleksander do rosyjsko-chińskiego banku w Harbinie wraz z pozostałym zarobionym kapitałem. Przekaz poszedł na Wołżsko-Kamski Bank w Saratowie na kwotę 7.400 rubli, a 463 ruble zachował Aleksander na podróż z Harbina do Wolska. Harbin w tym czasie to była ledwo stacja kolejowa i niewielka osada założona w roku 1898 przez Polaka inżyniera Adama Szydłowskiego. Wielu jego rodaków osiedliło się tam na stałe po zakończeniu budowy kolei Wschodniochińskiej.

Na dojazd do Warszawy otrzymał Aleksander bezpłatne bilety oraz kwity na bagaże, których było sporo. Po 4. dniowej podróży rodzina zawitała 13 września 1900 roku do stolicy i zatrzymała się w „pokojach umeblowanych” przy ulicy Nowogrodzkiej nr 26. Jest to długa ulica w centrum Warszawy biegnąca równolegle do Alei Jerozolimskich. Opłata za dobę zamieszkania wynosiła 1,20 rubla. Pod koniec września Zofia i Aleksander przenieśli się na stałe lokum położone przy ulicy Hożej nr 36, za które czynsz miesięczny wynosił 21 rs. Wacek był już studentem szkoły morskiej w Odessie, a Stefana wysłano na korepetycje przygotowawcze do wstąpienia do Szkoły Miejskiej, skąd po jej ukończeniu przejdzie do Szkoły Technicznej.

Z trudnych do rozszyfrowania zapisków Aleksandra dowiadujemy się, że zarobione 12 tysięcy rubli ulokował w papierach rządowych na procent. Ponadto miał spory woreczek srebrnych dolarów meksykańskich i srebrnych rubli zarobionych w Mandżurii. I wreszcie miał też słynne „złoto mandżurskie”, jak niesie wieść rodzinna, nie wiadomo w jaki sposób zdobyte. W tym dzikim wówczas kraju było wiele sposobów, aby zaopatrzyć się w złoto w mniej lub bardziej uczciwy sposób. W każdym razie złoto było i po latach ten kapitał pozwoli na rozpoczęcie przez synów

Aleksandra budowy kamienicy w Gdyni. Sam Aleksander zakupił w roku 1901 dom letniskowy w Falenicy pod Warszawą, gdzie przez następne 12 lat będą się odbywały spotkania rodzinne z Eborowiczami, Szletyńskimi, Chmielowskimi i dalszymi krewnymi.

Piętrowa, drewniana willa była pięknie położona w sosnowym lesie na blisko hektarowej działce. Niewiarowiczowie wreszcie mieli coś własnego, gdyż w tym koczowniczym trybie życia od jednej budowy do drugiej trwali od wielu już lat. Willa nie posiadała ogrzewania, więc można było w niej przebywać tylko od wiosny do jesieni. Wacek studiował w dalekiej Odessie, potem ruszył na morze i Falenicę odwiedził tylko raz. Stefan bywał tam często, zapraszał swoich kolegów i profesorów ze Szkoły Technicznej, a także poznane panienki. Unikał jednak starannie większych zjazdów rodzinnych, które się tam odbywały w miesiącach letnich. Przyjeżdżały wtedy siostry Zosi, czyli Władzia i Józia, często bywała Paulina Eborowicz primo voto Unierzyska, zwana ciotką Władzią i inni krewni. Na tym zdjęciu od lewej stoi Aleksander, dalej Seweryna Szletyńska i żona Zofia Niewiarowicz. Siedzi Władysława Geret, (Unierzyska), wówczas już matrona 66. letnia. Nad nią Ludwika Szletyńska i panienka z warkoczami Helena Geret. Obok niej siedzi brat Wacław. Z prawej stoi małżeństwo Feliksy i Konstantego Geretów.

Z pracą dla Aleksandra nie było łatwo. Od 15 września 1900 r. pracował przy budowie mostu kolejowego dla inż. Niewiadomskiego w Siedlcach, ale 18 listopada roboty były skończone i nastąpiła



28. Falenica-1904 r. Rodzina na letniku

zima. Kolejne 4,5 miesiąca Aleksander był bez zajęcia, ale na szczęście rodzina miała z czego żyć. Od 15 kwietnia 1901 roku pracował przy rozbudowie stacji towarowej przy ulicy Zakroczymskiej, a potem prawie do końca roku w Nowym Dworze Maz., czyli cały czas niedaleko Warszawy. Na kolejną budowę trzeba było jednak ruszyć dalej. Przy pomocy Niewiadomskiego zdobył Aleksander

zlecenie na budowę drugiego toru na linii Dąbrowickiej w Chęcinach pomiędzy 154, a 158 wiorstą. Z Niewiadomskim i Rogozinem był Aleksander w cichej spółce, gdyż to u nich ulokował część swego kapitału, który finansował budowy dróg żelaznych i mostów. Po rozliczeniu budowy Niewiadomski wypłacał mu z góry umówione odsetki. Jak wynika z luźnych notatek Aleksandra zaangażował on w to przedsięwzięcie ok. 6 tysięcy rubli, które przynosiły mu od 49-120 rb miesięcznie. W najgorszym razie kapitał ten dawał mu 10% zysku rocznie, a obligacje rządowe tylko połowę tego, ale za to bez ryzyka związanego z obrotem kapitałem i współnikami. Ale wejście w tę cichą spółkę dawało Aleksandrowi możliwości zarabiania pieniędzy za nadzór nad prowadzonymi pracami i to było najważniejsze. Kapitał pozostawał nienaruszony, odsetki dawały środki na utrzymanie rodziny przez pół miesiąca, a resztę zarabiał Aleksander w okresie prowadzonych prac. Tego zarobku zimą często

brakowało i wtedy sięgano po „srebrny skarb”. Znamy już także „złoty skarb”, pora zatem wspomnieć o „brązowym skarbie”. Było to starożytne zwierciadło z brązu, które nabył Aleksander w Mandżurii za 25 rubli srebrnych. Używano je w Chinach od 3000 lat i dopiero za dynastii Qing (1644-1911), zastąpiono je lustrami szklanymi. Początkowo zwierciadła te były używane do przeglądania się-były wygodniejsze niż lustro wody-wkrótce jednak zyskały zastosowanie w praktykach magicznych. Uznano, że zwierciadło to ma moc ochrony przed złymi duchami i nazywano je „zwierciadło chroniące serce”.



29. Rewers lustra chińskiego z brązu

Nosili je na piersiach umocowane na jedwabnych sznurkach przeciągniętych przez otwór w specjalnej gałce żołnierze udający się na wojnę oraz narzeczone mające na zawsze opuścić rodzinny dom. Zwierciadła dawano też zmarłym na ostatnią drogę kładąc je na piersiach. Przywiezione przez Aleksandra zwierciadło było okrągłe, a takie były najstarsze lustra, gdyż kształt ten symbolizował niebo. Najmniejsze miały 2,5 cm średnicy, a największe 25 cm. Odlewano je ze specjalnego stopu brązu o dużej zawartości cyny, dzięki czemu ich powierzchnia była biała. Istniał wtedy odrębny zawód polerownika zaśniedziałych lub porysowanych zwierciadeł. Na odwrotnej stronie występowały różne dekoracje. Na najstarszych często występuje maska zwierzęca tzw. *taotie* i wizerunki mitycznych stworów. Aleksander miał je do śmierci, nie wiadomo w czyje ręce trafiło to

lustro później. Z pewnością było bardzo stare, gdyż wspominał o nim Stefan, jako o rzeczy wartościowej. Przy podziale majątku mogło trafić w ręce kapitana Wacława, którego Niemcy wysiedlili z jego domu w Gdyni w 1939 roku z jedną walizką. Wiele cennych pamiątek wtedy przepadło na zawsze.

Na zakończenie tego rozdziału spójrzmy, z kim utrzymywał kontakty Aleksander na początku XX wieku, gdyż zachowała się częściowo jego książka adresowa. Mamy tam zatem Karolinę z domu Fleszner (cóрка Karola), primo voto Gromyko, secondo voto Niewiarowicz, czyli drugą żonę Jana Niewiarowicza, która wychowała małego wówczas Aleksandra i jego siostrę Anastazję. Jak się wydaje to właśnie z Anastazją i jej mężem Antonim Siewrukiem mieszkała na stacji kolejowej linii romelsko-libawskiej, gdzie był zatrudniony Siewruk. Po śmierci Anastazji przeniosła się do syna Aleksandra, który mieszkał w Mohylewie. Drugi syn Włodzimierz Gawryłowicz Gromyko mieszkał w tym czasie w Homlu. Anastazja miała z Antonim Siewrukiem 4. synów urodzonych w latach 1872-1882. Imion żadnego z nich do tej pory nie znaliśmy, ale w książce adresowanej odnajdujemy Marcina Kazimirowicza Siewruka, maszynistę kolei homelsko-libawskiej. Drugie imię wskazuje jedna, że ojcem jego był Kazimierz, zatem był to raczej brat Antoniego. Ale mogło to być drugie imię Marcina, gdyż Aleksander robił podobne błędy przy innych zapiskach. Marcin był już dorosłym człowiekiem i mógł pracować jako maszynista. Później Aleksander Gromyko przenosi się nad Wołgę do Samary, ale prawdopodobnie tylko na okres ukończenia kursów z buchalterii.

Konstanty Gerret (wg pisowni z książki adresowej) mieszkał w stolicy przy ulicy Hożej nr 26, a jego ojciec prawdopodobnie pod nr 11. Nic dziwnego zatem, że i rodzina Niewiarowiczów wynajęła tam

mieszkanie tyle, że pod nr 36. I wreszcie wspólnik Aleksandra w interesach Roman Niewiadomski mieszkał przy Alejach Jerozolimskich nr 63, mieszkania 5. Inny jego adres, prawdopodobnie z okresu budowy linii kolejowej, to stacja Mrozy Terespolskie. Linia warszawsko-terespolska powstała już w roku 1867, więc w grę wchodzić mogły jedynie prace remontowe lub budowa drugiego toru. Jak wszystkie linie na wschód od Warszawy była to kolej szerokotorowa. W roku 1896 połączono ją z koleją Nadwiślańską.

Aleksander pozostawał w Warszawie tylko z powodu swego syna Stefana, który uczył się w Szkole Technicznej. Gdy ją w roku 1904 ukończył, podjął pracę w cukrowni Młodzieszyn Fabryczny i mógł się usamodzielić. Wacław w roku 1901 ukończył szkołę morską w Odessie i przez rok pływał na brytyjskim statku żaglowym nabywając praktyki i szlifując język angielski. Od roku 1902 pływał na statkach handlowych Rosji odbywając w międzyczasie szkolenie wojskowe w carskiej marynarce wojennej. Mieszkał cały czas w Odessie, gdzie w końcu wyjechał także jego ojciec, gdyż były tam większe możliwości zdobycia kontraktów na budowę lub remonty linii kolejowych. W Odessie przetrwają aż do rewolucji bolszewickiej.

7

W ostatnim rozdziale tej książeczki opiszę dalsze losy wszystkich opisywanych tutaj postaci, aby zamknąć otwarte wątki. Jako, że wiek XX był wiekiem walk o wolność i czasem dwóch krwawych wojen światowych. Nie było Polaka, na którego losy nie wpłynęłyby wojny i ruchy rewolucyjne, także te dziejące się w wieku XIX. Bohaterowie tej opowieści także walczyli i ginęli za Polskę. Cierpieli w więzieniach i kazamatach hitlerowskich i stalinowskich. Albo po prostu wypełniali swoje obowiązki zmobilizowani w czasie wojennym.

Piękną kartę walk o wolność ojczyzny otwiera Ludwik Szletyński, który był oficerem w wojsku Królestwa Polskiego i wziął udział w powstaniu listopadowym, co zostało opisane w poprzednich rozdziałach. Później jednak wiernie służył w policji carskiej swoją gorliwością i dążeniem do awansów budząc niechęć swoich rodaków. Czy mamy prawo nazywać go kolaborantem i sługusem opresyjnego caratu? Z pewnością nie, gdyż jak każdy człowiek miał on przecież prawo założyć rodzinę i pracować na jej utrzymanie. Perspektywa odzyskania niepodległości po przegranym powstaniu listopadowym była nikła, a historia pokazała, że trzeba było czekać na wojnę pomiędzy zaborcami przez długie dziesiątki lat. Zgodnie z doktryną margrabiego Wielopolskiego Polacy mieli walczyć o zachowanie narodowości i poszerzanie autonomii, ale w ramach istniejącego systemu zaborczego, a nie poprzez zbrojne wystąpienia, które nie miały szans powodzenia i narażały naród na niepotrzebne cierpienia. Wielopolski był rówieśnikiem Ludwika Szletyńskiego, w czasie powstania 1831 roku był posłem na sejm powstańczy, odbył też misję dyplomatyczną do Londynu. Po upadku powstania był na emigracji w Dreźnie, a po uzyskaniu amnestii powrócił do kraju. Jego poglądy z pewnością bliskie były Ludwikowi Szletyńskiemu, dlatego stał się on lojalistą i poplecznikiem aparatu represji. Nie przestał jednak być patriotą, swoje dzieci wychowywał w duchu głębokiej miłości do ojczyzny w wierze, że odzyska ona kiedyś upragnioną niepodległość. Jak się przekonamy wychowanie dało rezultaty i z rodziny tej wyrósł niejeden bohater walk z ciemnościami Polski.

W powstaniu styczniowym walczył Julian Liszko urodzony w roku 1832, brat Józefa, męża Konstancji Eborowicz. Musiał być bohaterem tych walk, gdyż zamiast mogiły wzniesiono mu i jemu nieznanemu towarzyszowi broni imponujący kurhan, widoczny na zdjęciu zamieszczonym na str. 51.

Nie znamy niestety szczegółów jego walk z wojskami cara, ani też kiedy i gdzie poległ. W rodzinie zachowała się tylko stara fotografia, z której po wielu staraniach odczytałem imię i nazwisko tego powstańca. Zrozumiałem wtedy, dlaczego ta fotografia była przechowywana przez ponad 100 lat w naszej rodzinie.

Znacznie więcej wiemy o Jerzym Szletyńskim poległym w walkach I Brygady Legionów Józefa Piłsudskiego w maju 1915. Był on wnukiem Ludwika Szletyńskiego, synem Mikołaja i Zofii z Daszewskich. Oboje rodzice bardzo mocno inwestowali w przyszłość swoich dzieci. Starali się jak najlepiej zadbać o ich wykształcenie. Dom rodzinny w bardzo mocnym stopniu wypełniony był duchem patriotycznym. Jerzy uczył się w Prywatnym Gimnazjum Męskim Zgromadzenia Kupców w Łodzi, później w Gimnazjum J. Radwańskiego. Od 14 sierpnia 1908 do 23 listopada 1909 r. przebywał w Krakowie. Tu przygotowywał się do matury, jednocześnie działał i uczestniczył w szkoleniach organizowanych przez tamtejszy ruch niepodległościowy. Po powrocie do Łodzi zaangażował się w działalność w łódzkim ruchu niepodległościowym. 1 marca 1914 został aresztowany przez policję carską w momencie prowadzenia zajęć terenowych drużyny harcerskiej. W więzieniu przebywał do 28 marca 1914 r.



30. Jerzy Szletyński

Grupa blisko 30 harcerzy, na czele z J. Szletyńskim zgłosiła się na akcję werbunkową do komendantury Wojsk Polskich przy ul. Mikołajewskiej 44 (obecnie Sienkiewicza). Pod dowództwem por. Panienki wyruszyli oni 28 października 1914 r. z Łodzi dołączając do I Brygady. W czasie działań zbrojnych pod Konarami zginął 25 maja 1915 J. Szletyński. Dostał się do stopnia starszego sierżanta. Raniono go 23 maja 1914 r. ale dopiero następnego dnia koledzy ściągnęli go nieprzytomnego z pola bitwy. Pośmiertnie został odznaczony Krzyżem Walecznych i Krzyżem Virtuti Militari. Nie miał skończonych 21. lat.

Także starszy o rok brat Jerzego Stefan Szletyński działał w ruchu niepodległościowym, w roku 1918 brał udział w rozbrajaniu Niemców i opanowaniu w Łodzi ważnych punktów. Potem walczył w wojnie bolszewickiej w 1920 roku. W 1923 roku ożenił się z Jadwigą Wocalewską, która podobnie jak i on, działała w ruchu harcerskim. W roku 1939, jako porucznik rezerwy, został zmobilizowany i walczył z Niemcami. Dostał się do niewoli sowieckiej i zginął w roku 1940 w Katyniu. Jego żona i córka zostały rozstrzelane przez Niemców w pierwszych dniach powstania warszawskiego. Represjonowany przez UB był także syn Stefana Andrzej Szletyński ur. w r. 1932. We wrześniu 1949 r. wstąpił do organizacji niepodległościowej „Związek Białej Tarczy”, której został przywódcą. W

dniu 24 czerwca 1950 na skutek rozpracowania organizacji przez Urząd Bezpieczeństwa został aresztowany. W procesie przed Wojskowym Sądem Rejonowym został skazany z art. 86 paragraf 2 Kodeksu Karnego Wojska Polskiego na karę 15 lat więzienia i 5 lat pozbawieni praw obywatelskich, „za próbę obalenia ustroju ludowo – demokratycznego przemocą”. W więzieniu przebywał w Łodzi, Rawiczu i Jaworznie do listopada 1954 r. Jak widać rodzina ta złożyła wielką ofiarę na ołtarzu niepodległego bytu naszej Ojczyzny.

Piękną kartą bojową poszczycić się może Stefan Juliusz Maria Liszko urodzony w roku 1892 w guberni łomżyńskiej, który był wnukiem Konstancji Eborowicz i Józefa Higina Liszko. W 1914 wstąpił do Legionów Polskich; służył w 2. szwadronie Legionów, który pod dowództwem rtm. Zbigniewa Dunin-Wąsowicza szarżował 13 czerwca 1915 roku pod Rokitną. Walczył następnie w kampanii bukowińskiej i wołyńskiej. Po odzyskaniu niepodległości służył jako młodszy oficer w szwadronie konnym żandarmerii rtm. Henryka Tarło, który to po połączeniu z szwadronem konnym Ziemi Lwowskiej "Wilki" stał się I. dywizjonem 3. pułku strzelców konnych i w czasie kampanii 1920 roku stanowił kawalerię dywizyjną 6. Dywizji Piechoty. W 1920 roku Stefan Liszko został mianowany rotmistrzem. Po zakończeniu wojny polsko-bolszewickiej pełnił funkcje dowódcy szwadronu 5. pułku strzelców konnych. W roku 1927, jako major został przeniesiony na stanowisko kwatermistrza 26. pułku ułanów wielkopolskich; dwa lata później objął funkcje zastępcy dowódcy w 6. pułku ułanów kaniowskich. W roku 1930 został awansowany do stopnia podpułkownika i mianowany dowódcą ułanów kaniowskich. W 1937 roku otrzymał awans na pułkownika. Dowodził pułkiem w kampanii 1939 roku walcząc w bitwie nad Bzurą i obronie Warszawy. Następnie był jeńcem niemieckiego oflagu w Murnau, a po oswobodzeniu w 1947 roku powrócił do Polski. Zmarł w roku 1991 w Warszawie, przeżył więc blisko 100 lat w ciągłej walce o wolność Polski. Był więc Stefan Liszko świadkiem historii XX. wieku, a swoją karierą oficerską nawiązał do pięknej tradycji rodzinnej swego stryjecznego dziadka, który poległ jako bohater powstania styczniowego.

W powstaniu warszawskim w r. 1944 walczył ppor. Tadeusz Chromecki (ps. "Bieske", "Doktor"), syn Mariusza i Jadwigi Eborowicz ur. 07.VIII. 1904 r. w Czarnożyłach). Jego konspiracyjny przydział to Delegatura Rządu na Kraj - Departament Spraw Zagranicznych "Moc", pewnie w związku z jego przedwojenną karierą dyplomatyczną. Oficer ten walkę w konspiracji i w powstaniu przeżył, pracował nawet, jako dyrektor Departamentu Zachodniego w MSZ w r. 1947, ale wkrótce potem został aresztowany i ostatecznie skazany na 12 lat więzienia w procesie biskupa Kaczmarka w roku 1953. W maju 1956 r. ogłoszono amnestię dla więźniów politycznych, która objęła także Tadeusza Chromeckiego. Jednak krótko po opuszczeniu więzienia popełnił on samobójstwo.

Bracia Jerzy Włodzimierz i Julian Aleksander Eborowiczowie urodzili się o 11 lat wcześniej, aniżeli płk. Stefan Liszko i dlatego ich kariery wojskowe przebiegały odmiennie. Jako poddani cara musieli odbyć służbę wojskową w wojsku rosyjskim w latach 1915-17, gdyż wcześniej byli podchorążymi rezerwy. Jerzy Włodzimierz walczył po wybuchu rewolucji bolszewickiej w polskich formacjach zbrojnych na Wschodzie. W październiku 1918 roku trafił do niewoli, z której został zwolniony w grudniu i w tym samym czasie wrócił do Polski. Będąc nadal w służbie czynnej w stopniu kapitana został zatrudniony jako radca prawny w Departamencie Gospodarki Ministerstwa Spraw Wojskowych. W styczniu 1928 roku przeniesiono go do rezerwy w stopniu majora. Z akt wojskowych wynika, że za zasługi w służbie otrzymał między innymi Krzyż Walecznych, Złoty Krzyż Zasługi, Medal „Polska Swemu Obrońcy” oraz Medal „De la Victoire”. Po przejściu do cywila Jerzy pracował jako adwokat w Warszawie, choć wydaje się, że jeszcze nosząc mundur prowadził prywatną praktykę za zgodą władz wojskowych. Żonaty z Aleksandrą mieszkał przy Marszałkowskiej nr 48 i utrzymywał kontakty z ojcem Szymonem zamieszkałym przy ul. Pięknej. Z chwilą wybuchu wojny we wrześniu 1939 roku został zmobilizowany, początkowo był bez przydziału ze względu na wiek, ale po 7 września otrzymał przydział do sądu polowego 39. Dywizji Piechoty Rezerwowej. Dywizja ta w pierwszych dniach września miała się koncentrować w rejonie Gór Świętokrzyskich,

lecz dopiero 6 września jej pododdziały zaczęły napływać w rejon środkowej Wisły. W miarę koncentracji obsadzały one mosty i przeprawy na Wiśle. Formowanie dywizji zakończyło się ostatecznie ok. 10 września i otrzymała ona rozkaz obrony odcinka Dęblin-Kazimierz Dolny. Wchodziła wówczas w skład Armii "Lublin" gen. Tadeusza Piskora. Z powodu choroby dowódcy dywizji w rzeczywistości dowodził nią płk Bronisław Duch. 14 września – po zniszczeniu materiału wojennego w głównej składnicy uzbrojenia w Stawach i spaleniu benzyny lotniczej w magazynach w Dęblinie – dywizja odeszła w rejon Chełma. Po 20 września jednostki tej dywizji znalazły się w rejonie Tyszowiec, a wraz nimi major Eborowicz. W tym czasie trwała już agresja Frontu Ukraińskiego Armii Czerwonej dowodzonego przez Siemiona Timoszenkę. Zadaniem frontu było opanowanie południowo-wschodnich ziem RP od Prypeci na północy do granicy Polski z Rumunią i Węgrami, a następnie wyjść nad środkową Wisłę (na południe od Dęblina) i rubież Sanu do Przełęczy Użockiej. Walki z agresorem sowieckim były toczone jedynie przez oddziały Korpusu Ochrony Pogranicza w dniach 17-18 września, potem wydano rozkazy o zaprzestaniu oporu. Mjr. Eborowicz wiedział o zbliżających się oddziałach sowieckich i grożącym mu niebezpieczeństwie, ale nie zdecydował się na zdjęcie munduru. Jego kwatera znajdowała się w domu Andrzeja Jaremczuka w Zamłynie, miał do swojej dyspozycji samochód z kierowcą, ale zamiast uciekać w kierunku granicy rumuńskiej został na miejscu. Prawdopodobnie nie zdążył wyjechać z Zamłyna, gdyż nie napotykające oporu oddziały Armii Czerwonej poruszały się szybko, zajmując wyznaczone rejony. Razem z nimi szły eszelony NKWD, dla których wyłapywanie wyższych oficerów WP było zadaniem priorytetowym. Majora zadenuncjowała miejscowa Ukrainka Jantocha Białosiewicz i major został aresztowany na kwaterze, a przetrzymywano potem w kuźni Wiktora Czarneckiego pod strażą. 26 września przed południem odbyła się parodia rozprawy sądowej. Majorowi postawiono zarzut dowodzenia polskim oddziałem, który stawiał opór wojskom sowieckim. Nie pomogła perfekcyjna znajomość języka rosyjskiego przez polskiego oficera, wyrok był z góry przesądzony. Prowadzonego na egzekucję miejscowa Ukrainka miała oblać nieczystościami, krzycząc: „*Tak, tawariszcze, zabijcie tego Lacha i wszystkich Paliaczków!*”. Major Eborowicz został zabity przez oficera sowieckiego strzałem w tył głowy. Stało się to przy tylnej ścianie niedokończonego młyna, stojącego obok rowu przy drodze do Wojciechówki. Sowieci mieli ściągnąć z majora mundur i buty. Ciało zostawili na miejscu zbrodni. Majora pochowali na miejscowym cmentarzu mieszkańcy Zamłyna. Kowal Czarnecki przez kilka dni po tym nic nie robił w kuźni. Miał jednak do wykonania zaległe zlecenie na okucia do wozu. Zaczął wygarniać popiół. Były tam jakieś spalone papiery. W popiele znalazł skórzany mapnik. Były tam ryngraf z Matką Boską oraz adres majora. Zaniósł to do Stanisława Jachymka, swego kuzyna, prawnika. To on, napisał potem list do żony majora, do Warszawy.

Tragiczny los spotkał szofera majora Eborowicza – szeregowca Pawła Helmuta Prieba. Ten, wówczas 21. letni młodzieniec, urodził się w Kolonii nad Renem w Niemczech. Był synem Stanisława i Anny z Petniackich. Przed wojną był w Polsce taksówkarzem. Został zmobilizowany, wojsko wzięło też jego samochód. Tragicznego dnia zaparkował auto majora w Zamłynie. Poszedł do Jaremczuków. Tam został zabity bagnetem przez Sowietę, konał w mękach przez dwie godziny. Tragiczne wydarzenia, do których doszło na Zamłynie w czasach PRL, okryte były mrokiem. Na grobach wojskowych był jedynie napis, że kryją prochy bohaterów tragicznego września 1939 roku.

Dopiero 1 września 1989 r. w obelisk znajdujący się na cmentarzu wmurowano nową tablicę informującą, że żołnierze polegli w walce z Sowietami. Na anonimowych do tej pory grobach pojawiały się tablice z nazwiskami żołnierzy i ich przydziałem służbowym. Wtedy też jedną z tablic poświęcono majorowi Jerzemu Borowiczowi, wskazując jako datę jego śmierci 29 września 1939 roku. Błędy w nazwisku i dacie śmierci skorygowano po kilku latach.

Brat Jerzego, Julian początkowo zamieszkał w Warszawie i podobnie, jak jego brat, pracował w sądownictwie wojskowym. W roku 1919 jego syn Wacław urodzony w Petersburgu miał 4 lata, matką jego była Janina z domu Zdanowicz. Ale już rok później rodzina przeniosła się do Poznania, gdzie Julian pracował w VII. Wojskowym Sądzie Okręgowym w stopniu podpułkownika. Nie został on zmobilizowany w roku 1939, ale pozostał w Poznaniu i w czasie okupacji działał w konspiracyjnej organizacji „Ojczyzna”. Jej współzałożycielami byli m.in. Kirił Sosnowski ps. "Konrad", "Sępiński", ksiądz prałat Józef Prądyński, hrabia Adolf Bniński, Witold Grott, Czesław Kiełczewski. „Ojczyzna” miała charakter kadrowego ruchu społeczno-politycznego. Prowadziła głównie działalność propagandową, tajne nauczanie, samopomoc i akcje charytatywne wśród Polaków na ziemiach wcielonych do Rzeszy. Ważną rolę odgrywało przesyłanie do władz Polskiego Państwa Podziemnego raportów sytuacyjnych dotyczących tych ziem. Po aresztowaniach w Poznańskim w latach 1941-1942 jej kierownictwo przeniosło się do Warszawy, gdzie zorganizowano Sekcję Zachodnią w Departamencie Informacji i Prasy oraz Biuro Ziem Zachodnich Delegatury Rządu na Kraj. W tym czasie Julian był już osadzony w Forcie VII w Poznaniu, skąd po śledztwie przewieziono go do obozu koncentracyjnego w Flossenbürgu (Bawaria). 9. kwietnia 1945 roku, na dwa tygodnie przed wyzwoleniem zamordowano w tym obozie członków niemieckiej opozycji antyhitlerowskiej, związanych z zamachem na Hitlera z dnia 20 lipca 1944, stracono m.in. Wilhelma Canarisa, Hansa Ostera i Dietricha Bonhoeffera. W zbliżonym czasie został rozstrzelany Julian Eborowicz uważany przez Niemców za główną postać konspiracji w Poznaniu.

Obaj bracia bliźniacy zginęli z rąk dwóch najeźdźców: hitlerowskiego i bolszewickiego, obaj zginęli zamordowani strzałami w tył głowy. Jeden poległ na początku wojny, choć można przypuszczać, że gdyby dostał się do niewoli sowieckiej, zginąłby nieco później w Katyniu. Drugi brat nie doczekał końca wojny zamordowany w obozie koncentracyjnym, gdzie przebywał z wyrokiem śmierci od 1943 roku. Kolejna wielka ofiara złożona na ołtarzu ojczyzny. Syn Juliana Wacław został księdzem i na nim ta męska linia rodowa wygasła. Zmarł on w roku 1992 w miejscu zamieszkania autora tej książeczki.

Dziwny zbieg okoliczności, który doprowadził do rozpoczęcia badań nad losami tej rodziny spowinowaczonej z naszą. W tym samym bowiem czasie ustalałem miejsce zgonu i pochówku Zofii Niewiarowicz, córki Józefa Chmielowskiego i Felicjanny Eborowicz, której losy zostały już dosyć szczegółowo opisane. Zostawiliśmy ją w Odessie, gdzie udała się wraz z mężem i gdzie mieszkał ich syn Wacław. Ponieważ dużo czasu spędzał na morzu widywali się niezbyt często. Nie znali też początkowo narzeczonej Wacława Ireny Biełogurowej. Urodziła się ona w roku 1896 w Nikołajewie w guberni Chersońskiej. Ojcem jej był Ukrainiec Nikifor Andrejewicz Biełogurów, a matką Rosjanka Tatiana Stefanowa, oboje wyznania prawosławnego. Po ukończeniu miejscowej szkoły elementarnej Irena wyjechała w r. 1914 do Odessy, gdzie zamieszkała razem ze swoją koleżanką z Nikołajewa. Pracowała, jako kelnerka, w jednym z licznych lokali w dzielnicy portowej i tam poznała Wacława Niewiarowicza, młodego porucznika floty handlowej. Spotykali się dosyć rzadko, w czasie krótkich postojów statku Wacława w porcie. Rewolucja bolszewicka 1917 roku wprowadziła chaos i bezprawie w mieście i jego okolicach. Okupacja niemiecka rozpoczęła się tutaj w lutym 1918 roku, a potem szło przez ten port zaopatrzenie dla interwencji alianckiej przeciwko bolszewikom.

Tymczasem wobec coraz większego zagrożenia Polski przez spodziewaną ofensywę bolszewików, marszałek Józef Piłsudski interweniował u marszałka Ferdinanda Focha w celu sprowadzenia 4 Dywizji Strzelców Polskich do kraju. W rezultacie gen. A. Denikin otrzymał rozkaz wysłania całej formacji do Odessy i do stycznia 1919 przetransportowano tam wszystkich polskich żołnierzy. Po przybyciu do Odessy gen. L. Żeligowski rozwiązał Dowództwo Wojsk Polskich na Wschodzie i Samodzielną Brygadę Strzelców Polskich, a na ich miejsce utworzył dowództwo 4 Dywizji Strzelców Polskich, na czele której sam stanął. 3 grudnia 1918 oddziały ukraińskie Semena Petlury zdobyły

Odesse, w związku z czym 4 Dywizja Strzelców Polskich została zepchnięta do portu, gdzie broniła się do czasu przybycia 18 grudnia desantu francusko-greckiego, weszła wtedy w skład francuskiego korpusu interwencyjnego dowodzonego przez gen. d'Anselme'a. W wyniku wspólnej akcji miasto zostało w ciągu kilku dni odzyskane. Warto dodać, że w ramach polskiej dywizji brał udział w walkach porucznik Jerzy Włodzimierz Eborowicz, ale do Odessy nie dotarł, gdyż w październiku 1918 roku dostał się do niewoli ukraińskiej. Gdy wojska bolszewickie pod koniec marca przeszły do ofensywy, atakując Odesę, a Francuzi i Grecy zostali ewakuowani, gen. L. Żeligowski skorzystał z praw alianckich przysługujących jego wojsku i podpisał umowę z wojskami "białych", na mocy której przeszedł w kwietniu przez Dniestr do Rumunii. Po wejściu do Besarabii dywizja otrzymała zadanie obrony odcinka Dniestru, z którego wywiązała się pomyślnie. W dniu 23 maja 1919 została zluzowana przez dywizję grecką, a 26 maja 1919 roku skierowana do Polski. Była to jedyna wielka jednostka wojskowa, która zdołała wydostać się z Rosji w szyku bojowym i z bronią.

Wobec ofensywy bolszewików Aleksander Niewiarowicz zdecydował się opuścić to miasto i wrócić do niepodległej już od kilku miesięcy Polski. Zgłosił się do działającego w Odessie konsulatu polskiego i tam otrzymał dokument zwany „Świadectwo Obywatelstwa Państwa Polskiego” z datą 15 marca 1919 roku. Zostało ono wydane na podstawie paszportu rosyjskiego wydanego przez zarząd gminy Jaszczów z 24 października 1889 roku za nr 285. Zgodę na wyjazd otrzymał Aleksander dopiero pod koniec listopada, ale ostatecznie ewakuował się do kraju w lutym 1920 r. W tym samym czasie wraca do Polski Wacław, który nie zgodził się pracować w radzieckiej focie i dlatego początkowo bolszewicy nie chcieli go wypuścić z Odessy. Wcześniej jednak oddał nowej władzy wiele cennych usług przy odblokowaniu i rozminowaniu portu oraz uruchomieniu przeładunków, co zdecydowało o daniu mu zgody na wyjazd. Wcześniej musiał jeszcze przeszkolić grupę pilotów, którzy mieli dla nowej władzy pilotować wpływające do Odessy statki.

W Polsce Wacław nie przebywał długo, gdyż zrujnowany wojnami kraj nie posiadał floty handlowej, a on miał niedawno poślubioną żonę Irenę, którą wywiózł z Odessy. Wyjechał więc do Marsylii, gdzie bez trudu uzyskał zatrudnienie, jako kapitan parowca kursującego do portów francuskiej Afryki Północnej. Na morzu spędził przedtem 20 lat i zawsze miał doskonałe opinie. Dzięki temu mógł dobrze zarabiać we Francji, ale gdy tylko zacznie powstawać flota handlowa w Polsce wróci do kraju przyprowadzając jeden z pierwszych statków handlowych. Był to s/s „Kraków” – masowiec zbudowany w roku 1925 we francuskiej stoczni Chantiers Navais Francais Blainville w Caen.

Bliźniaczymi statkami były s/s „Wilno”, s/s „Katowice”, s/s „Poznań” oraz s/s „Toruń”. Statki te nazywane były, ze względu na pochodzenie, francuzami i pływały pod banderą Żeglуги Polskiej. Stefan Niewiarowicz po ukończeniu stojącej na wysokim poziomie Szkoły Technicznej w Warszawie odbył staż w cukrowni Młodzieszyn, tam też poznał swoją przyszłą żonę Aleksandrę Pade, córkę pracownika tej samej cukrowni Leona Pade i Józefy z domu Milewskiej. W Młodzieszynie pracował do 1 maja 1909 roku, poczym został zatrudniony na wyższym stanowisku w cukrowni Cielce. Z Aleksandrą był zaręczony, ale na ślub musieli poczekać do czasu poprawy materialnego statusu Stefana. Od września 1911 roku Stefan pracował w cukrowni Zbiersk pod Kaliszem na stanowisku szefa laboratorium, co dawało już znacznie lepsze zarobki i można było pomyśleć o ślubie z długoletnią narzeczoną Oleńką. Podobała się mu także jej młodsza o 8 lat siostra Izabella, ale to najstarsza córka musiała wprawdzie iść za mąż i Stefan się z tym pogodził. Ślub ich odbył się w samym środku gorącego lata, czyli 15 lipca 1913 roku w kościele św. Piotra i Pawła w Warszawie. Jako adres domu weselnego narzeczeni i rodzice podali kamienicę przy ulicy Pięknej nr 4, gdzie najpewniej faktycznie mieszkali spokrewnieni Gerethowie. Była to bardzo wytworna kamienica o ciekawej historii.



31. Ulica Piękna w r. 1913-w głębi po lewej kamienica nr 4

Zanim kamienica stała się własnością hr. Gustawa Tarnowskiego, należała do rosyjskiego dyrektora Banku Polskiego Aleksandra Krauzego. To on w 1865 r. zbudował willę przy Pięknej 6 na terenie rozparcelowanego ogrodu. Wkrótce, już w latach 70. XIX wieku, Krauze rozparcelował resztę ogrodu od strony narożnika Wiejskiej z Piękną i Instytutową, czyli dzisiejszą Matejki. Wyciął też drzewa i zbudował w ich miejscu trzy kamienice. Jedną u zbiegu z Instytutową, dwie inne - wzdłuż Pięknej. Kamienice powstały w celach spekulacyjnych i od razu były przeznaczone na sprzedaż. Tak trafiły w ręce jednego z najbogatszych rodów arystokratycznych ówczesnej Polski.

Kamienica przy Pięknej 4 miała dwa piętra i elewację zwróconą także w kierunku willi Krauzego. Jej narożnik został od tej strony zaakcentowany belwederkiem. Podobnych budynków z oknami zwróconymi ku zieleni, pozbawionych mrocznych podwórek studni, bardzo luksusowych było w ówczesnej Warszawie niewiele. W kamienicy mieszkali zdziwaczale hrabiny, a także zupełnie niezwykła Hiszpanka, o której wiemy na pewno, że mieszkała tam także w roku 1913. To hiszpańska poetka, prozaiczka i działaczka feministyczna Sofia Perez Eguia y Casanova Lutosławska. W latach 30. wymieniano ją nawet, jako kandydatkę do Pokojowej Nagrody Nobla. W Polsce mieszkała od 1887 r., kiedy to wyszła za mąż za Wincentego Lutosławskiego, profesora filozofii, poliglotę, dziennikarza, mesjanistę i działacza narodowego. Miała z Lutosławskim cztery córki. Małżeństwo jednak się rozpadło. Lutosławski rozwiódł się z nią i pomimo nadal ważnego ślubu kościelnego z Sofią w 1913 r. (ten sam rok!) ponownie ożenił się z Wandą Paszyńską. W kamienicy przy ul. Piusa XI - jak przed II. wojną nazwano Piękną - Sofia mieszkała prawdopodobnie do 1944 r. Podczas Powstania Warszawskiego budynek spłonął. Po wojnie już go nie odbudowano. Dziś w tym miejscu znajduje się skwer tuż obok ambasady Kanady. Sofia żyła prawie 100 lat, pozostała w Polsce, gdzie zmarła w roku 1958.

W tej stylowej kamienicy zamieszkali czasowo nowożeńcy wraz z Zofią Niewiarowicz, gdyż matka panny młodej Józefa Pade z mężem Leonem po uroczystości ślubnej wrócili to Młodzieszyna. Aleksander przebywał w Odessie, skąd wysłał 50 rs w charakterze prezentu ślubnego. Na Piękną nr 4 przyszło ogółem 17 depesz z życzeniami dla młodej pary, jedna z Marsylii, kolejna z dalekiego Kurska w Rosji. Tam mieszkała sędziwa matka Zofii Felicjanna Chmielowska wraz z synem Julianem, który znalazł zatrudnienie z zakładzie produkującym dachówki u niejakiego Kepelmana. W tym czasie nie było wiadomo, gdzie przebywa i co robi siostra Zofii Józia, nam też ginie ona z horyzontu zdarzeń, gdyż po roku 1913 nie znajdujemy żadnych wzmianek na jej temat. Po tygodniu pobytu w stolicy Zofia wraz z synem i jego żoną wyjechali do Zbierska, gdzie Stefan miał duże mieszkanie służbowe z ogrodem, który niezwłocznie zagospodarowała Oleńka. Trzymała też tam kury, choć przecież zarobki Stefana w tym czasie były już znaczne i nie było potrzeby uzupełniania domowego budżetu. Po prostu lubiła coś robić, od rana krzątała się w domu, potem w ogrodzie, zawsze czymś

zajęta. Taką ją też pamiętam ze Wschowy, gdzie mieszkała ze Stefanem w latach 1950-59, czyli do śmierci w wieku lat 73. Natomiast Felicjanna zmarła w dalekim Kursku przed wybuchem rewolucji bolszewickiej i tam została pochowana. Dalszych losów jej syna Juliana Chmielowskiego, utalentowanego malarza, nie udało się na razie ustalić.

Cztery lata po tym ślubie dom przy ul. Pięknej 4 gościł znowu liczne grono gości weselnych. Za mąż wyszła córka Konstantego Geretha i Felicji z d. Eborowicz. 18 stycznia 1917 roku przed ołtarzem w parafii św. Aleksandra stanęli: Jan Osterman, z zawodu inżynier mechanik liczący sobie lat 27 oraz Helena Władysława Gereth lat 24. Pan młody był synem ziemianina z okolic Wilna Ryszarda Teodora Ostermana, osadnika niemieckiego w trzecim pokoleniu, którego rodzina zachowała wyznanie ewangelickie, co stanowi zwykle istotną przeszkodę w zawarciu związku małżeńskiego do dnia dzisiejszego. Problem ten rozwiązano poprzez dyspensę udzieloną w dniu 10 stycznia przez Warszawski Konsystorz Generalny, czyli organ kościoła ewangelicko - augsburskiego. Z kościołem katolickim też były problemy, na co wskazują wymienione w akcie ślubu upoważnienia i zezwolenia wydane zwykłemu wikaremu, który ślubu tego udzielał, a który był z innej parafii. Świadkiem na tym ślubie był brat panny młodej Wacław, z zawodu handlowiec oraz kupiec Antoni Ptaszyński. Jan Osterman przeżył swoją żonę, zmarł w roku 1969, a Helena 10 lat wcześniej. Mieli syna Janusza zmarłego 12 czerwca 1997 roku. Najkrócej żył Wacław Gereth, który zmarł w marcu 1947 roku. Trzy lata potem zmarła jego matka Feliksa, a ojciec Konstanty odszedł pod koniec roku 1944, czyli jeszcze w czasie wojny. Przed wybuchu powstania w lipcu 1944 Geretowie wyjechali do Milanówka, gdzie zamieszkali u krewnych, dzięki czemu przeżyli represje niemieckie. Tam też zmarł Konstanty pochowany obecnie na cmentarzu Powązkowskim wraz z żoną.

.....

Kiedy Aleksander Niewiarowicz wrócił do wolnej Polski w lutym 1920 roku zamieszkał we wsi Pilawa położonej w gminie Jazgarzew, powiat grójecki. Jako emerytowany kolejarz i przesiedleńiec otrzymał tam rotacyjne mieszkanie służbowe, w którym zameldował się 1 marca. Planował przeniesienie się do Warszawy, ale latem wybuchła wojna bolszewicka i Aleksander zgłosił się jako ochotnik do wojska mimo podeszłego wieku 67 lat. Otrzymał zadanie „ochrony technicznej robót mostowych” na bezpośrednim zapleczu frontu. Wrócił do Pilawy na początku października i razem z żoną zamieszkał u syna Stefana w Zbiersku w ich 5. pokojowym mieszkaniu. W tym samym czasie przybyła tam młodsza siostra Aleksandry Izabella. Urodzona 26 grudnia 1894 roku była czwartą z kolei z 6. rodzeństwa. Była obecna na ślubie swojej siostry w Warszawie i tam pozostała zdobywając zawód krawcowej. Pracowała w sklepie z odzieżą damską zajmując się tam drobnymi przeróbkami, a mieszkała przy ulicy Litewskiej pod nr 13. Niewiele zarabiała i w roku 1915 zdecydowała się na powrót do rodziny w Młodzieszynie. Atmosfera w tym domu była jednak ciężka, gdyż jej ojciec nadużywał alkoholu i awanturował się bez powodu. Wraca na Litewską 29 października 1918 roku, a po roku wyjeżdża za pracę do miasta Końskie. I znowu po roku zjawia się u siostry w Zbiersku ciągle szukając swego miejsca na ziemi. Trafia w sam środek kryzysu w małżeństwie Stefana i Aleksandry spowodowanego diagnozą lekarską, iż nie będą mogli mieć dzieci z powodu choroby siostry. A minęło już 7 lat od ślubu, kiedy ostatecznie nadzieje rodziny zostały pogrzebane orzeczeniem lekarskim. W tej sytuacji Izabella, która od dawna kochała się w Stefanie zbliża się do niego pragnąc go pocieszyć. Skutek tego był taki, że zachodzi w ciążę i na początku lipca 1921 roku rodzi się mała Krysia.

Rok wcześniej w piękny, pogodny dzień 22 czerwca 1920 roku o godzinie 10.30, odbył się wspomniany już tutaj ślub Marii Teresy Eborowicz z Maksymilianem Zdanowiczem. Inwazja bolszewicka trwała, w maju rozpoczęła się ofensywa Frontu Zachodniego na Ukrainie i Białorusi. 7 czerwca Armia Konna Budionnego zajęła Żytomierz wycinając w pień cały polski garnizon. 10

czerwca Budionny zajął Równe, co spowodowało wielki odwrót sił polskich, które cofnęły się o blisko 300 km na zachód. Warszawa nie była jeszcze bezpośrednio zagrożona, ale trwała mobilizacja wszystkich sił do obrony kraju. W tej atmosferze odbyły się zaślubiny Marii Teresy, wówczas już 37. letniej z oficerem rezerwy Maksymilianem, lat 43. Świadkami byli dwaj porucznicy Wojska Polskiego: Witold Kirszenstein, późniejszy dowódca 65. Starogardzkiego Pułku Piechoty i Jerzy Zaleski z 1. Pułku Ułanów Krechowieckich. Witold Stefan Kirszenstein urodził się 16 września 1891 roku i brał udział w walkach o niepodległość. W latach 1921-1922 był słuchaczem Kursu Doszkolenia Wyższej Szkoły Wojennej w Warszawie. 3 maja 1922 roku zweryfikowany został w stopniu kapitana ze starszeństwem z 1 czerwca 1919 roku. Na czele 65. pułku walczył w bitwie nad Bzurą. To kolejny oficer w tej opowieści, który walczył w tej bitwie wraz z ojcem autora Tadeuszem Penkalskim, rannym w tym boju. W dniu 18.09.1939 r. ppłk. Kirszenstein został ciężko ranny w m. Ruszki k/ Wyszogrodu, odtransportowany do Kutna. Trafił do Oflagu IX B.

Pułk por. Zaleskiego w wojnie z bolszewikami prowadził zwycięskie walki w Koziatyniu, z armią konną Budionnego pod Wołodarką, Korosteniem, Zamościem i Ostrogiem. Po zakończeniu wojny, na wiosnę 1921, pułk zajął stare "carskie" koszar w Augustowie, w których stacjonował do r. 1939. Także obaj bracia panny młodej byli oficerami w służbie czynnej – Jerzy Włodzimierz Eborowicz był radcą prawnym w Ministerstwie Spraw Wojskowych, a jego brat Julian sędzią w sądzie wojskowym w Poznaniu.



32. Wesele Marii Teresy Eborowicz i Maksymiliana Zdanowicz pod Warszawą

Dziwnym trafem zachowała się fotografia z przyjęcia weselnego, dzięki któremu można było zidentyfikować większość osób. Pierwszy z prawej to jeden ze świadków, za nim opiekunka dla dzieci. Zdanowski siedzi czwarty, obok niego panna młoda i jej ojciec Szymon Eborowicz, w tym czasie już 65. letni. Po obu stronach drzewa pośrodku stoją bracia Eborowicze z żonami. Trzecia od lewej siedzi Zofia Niewiarowicz. Niewykluczona jest tutaj obecność starszego już małżeństwa Mamerta Szwentnera i jego żony Eugenii Justyny z domu Eborowicz, którzy połączyli się w roku 1892. Mogła też być jedna z sióstr Zofii siedząca obok niej, czyli Józefa lub Władzia, ale nie mamy

tutaj pewności. I tak ta bardzo zniszczona i wyblakła fotografia w sepii po żmudnej rekonstrukcji, powiedziała nam bardzo dużo. Dopiero po 87 latach od wykonania wpadła w moje ręce po śmierci matki, dla której Zofia była prawie nieznaną babką. Nieznaną, mimo że mieszkała z ojcem Krysi w Zbiersku, ale tam doszło do wielkiej tragedii. Powstał, bowiem trójkąt niemożliwy do zaakceptowania – Izabella z nieślubnym dzieckiem Stefana i jego prawowita małżonka Aleksandra. Izabella chciała zabrać dziewczynkę i wyjechać, ale na to nie chciał się zgodzić ojciec dziewczynki. Wówczas Izabella zdecydowała się na krok ostateczny i popełniła samobójstwo poprzez wypicie trucizny. I wtedy Zofia zdecydowała, że Krysię należy umieścić w domu dziecka. Aleksandra wahała się długo, ale decyzja została podjęta i Stefan ją początkowo akceptował. Szybko jednak zdał sobie sprawę z faktu, że z własną żoną nigdy dzieci nie będą mieli i rozpoczął walkę o odzyskanie małej Krysi. Wspierał go w tym jego ojciec Aleksander, który mieszkał w pobliskim Stawiszynie. Wyprowadził się ze Zbierska od swej żony Zofii, gdyż zbyt często się kłócili i nie zgadzali się prawie w żadnej sprawie. Nadal ją kochał, nadal pragnął mieszkać razem z synem i żoną, ale ona stała się kłótniwa nie do zniesienia. Samobójstwo Izy do końca zepsuło wzajemne relacje w rodzinie. Nie mogli lub też nie chcieli dogadać się w sprawie losu małej Krysi. W tej napiętej atmosferze dojrzała następna tragedia rodzinna. Za udział w wojnie bolszewickiej Aleksander został odznaczony 24 października 1921 roku przez gen. Hallera „Odznaką Ofiarnych” nadawaną osobom cywilnym, które miały znaczący udział w wspieraniu wysiłku wojennego w pokonaniu Czerwonej Armii. Kilkakrotnie zmieniał miejsca zamieszkania, gdyż w czasie prób pogodzenia się z Zosią mieszkał w Zbiersku, a po kłótniach wyprowadzał się do Stawiszyna lub Kalisza. 7 października 1924 r. zamieszkuje we wsi Rypinek pod nr 19, ale w tym czasie miejscowość była już włączona do obszaru miejskiego Kalisza, choć jeszcze nie miała wyznaczonych nazw ulic. A Zofia opuszcza Zbiersk i zamieszkuje u syna Wacława w Gdyni, który wrócił już z Marsylii. Jest więc daleko i nic nie wskazuje na to, aby kiedykolwiek miało dojść do zgody między nimi. Aleksander udaje się do firmy fotograficznej FOTO BAYER w Stawiszynie. Zabiera z sobą fotografię ubóstwianej Zofii i ulubionego pieska. Ubiera jasny garnitur w ciemne paski, przypina odznaczenia.



33. Ostatnia fotografia Aleksandra Niewiarowicza

Na odwrocie gotowej już fotografii Aleksander pisze równym, kaligraficznym pismem:

**„Stawiszyn 10-tego sierpnia 1925 r.
Ostatnie moje zdjęcie
Obecnie mam 73 rok Życia
Osamotniony A. Niewiarowicz
Przy mnie wierni przyjaciele, fotografia i piesek
Stawiszyn Ziemi Kaliskiej Miasteczko i poczta”**

Kilka dni później odbiera sobie życie...

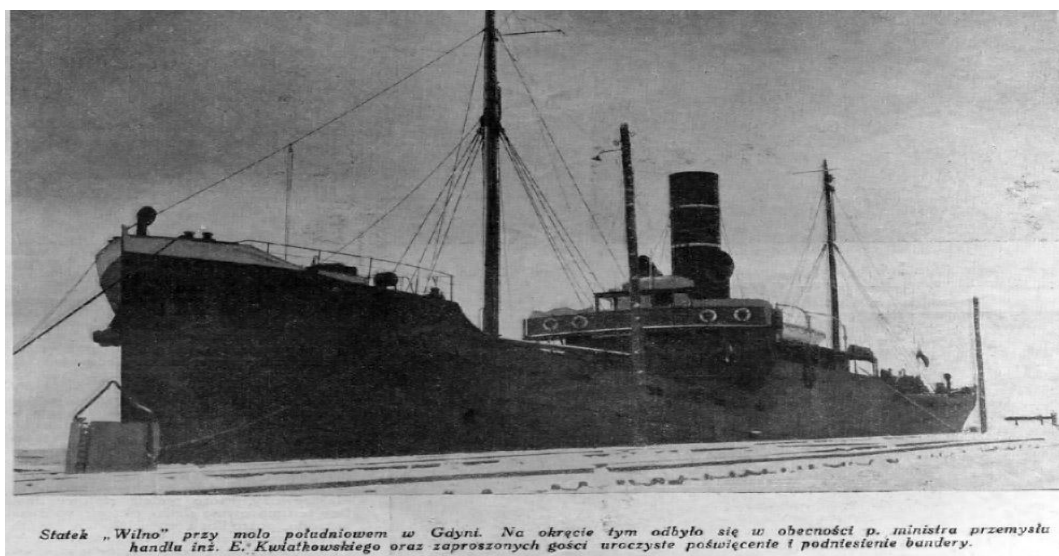
"Śmierć to jedyny egzamin, którego nie można oblać" (Paul Claudel).

Był to wielki szok i dramat dla rodziny Aleksandra, nikt nie spodziewał się, że starszy pan podejmie taką ostateczną decyzję, w dodatku motywując ją nie dającą się znieść samotnością. Przepęłni to poczuciem winy zarówno Stefana, jak i Zofię. A przecież Stefan był blisko, odwiedzał ojca, nakłaniał go do powrotu do Zbierska. Z drugiej strony był jednak mocno obciążony obowiązkami zawodowymi, a w czasie kampanii cukrowniczej praktycznie wracał do domu tylko po to, aby się przespać. Po kampanii natomiast kierował całością prac remontowych fabryki. Był cenionym szefem laboratorium, potem dyrektorem technicznym zbierskiej cukrowni założonej przez Wilhelma Repphana w 1852 roku. Wykupiona przez zachodni koncern PFEIFER, została postawiona w stan likwidacji w roku 2005 i obecnie już nie istnieje. Podobny los spotkał większość wielkopolskich cukrowni.

Po śmierci Aleksandra i stałym zamieszkaniu Zofii w Gdyni Stefan i Aleksandra podjęli decyzję o adopcji małej Krysi. Przede wszystkim zabrali 4. letnią już dziewczynkę z domu dziecka w Kaliszu. Ponieważ Stefan, jako ojciec, nie mógł ze względów prawnych adoptować własnej córki, postanowiono sprawę uregulować w akcie chrztu. Według księgi chrztów parafii w Zbiersku chrzest ten odbył się w dniu 15 maja 1927 roku (nr aktu 38/1927), a rodzicami chrzestnymi został brat Stefana Wacław i jego żona Irena, którzy z tej okazji przyjechali do Zbierska z Gdyni. Przy okazji Krysię odmłodzono o dwa lata podając, że urodziła się w roku 1923, czyli w chwili chrztu miała prawie 4 lata, a faktycznie 6. Była bardzo drobna i szczupłutka, więc nikogo to nie zdziwiło. W akcie chrztu, jako matka Krysi, została podana Aleksandra i w ten sposób problem ten został prawnie uregulowany. Wszystkie późniejsze cywilne akty urodzenia wydawane były na podstawie akt kościelnych, co wyraźnie zaznaczony tylko w dokumencie wydanym w czasie okupacji, a więc w języku niemieckim. Ten „dokument urodzenia” został wystawiony w dniu 22 czerwca 1944 roku, a więc na niespełna miesiąc przed moimi narodzinami, przypuszczalnie Krystyna myślała o zawarciu małżeństwa. Ale w Warthegau obowiązywało prawo zabraniające małżeństwa Polakom o ile mężczyzna nie skończył 28 lat, a kobieta 26, pod koniec wojny podwyższono te granice do 30 i 28 lat. O ile ojciec mój spełniał ten wymóg, gdyż miał 38 lat, o tyle matka zgodnie z metryką, miała tylko 23 lata.

Chrzest małej Krysi odbył się ze sporym opóźnieniem z powodu licznych obowiązków kapitana Niewiarowicza, który został jej ojcem chrzestnym. Jeszcze przebywając we Francji udał się do stoczni w Caen, gdzie budowano statki dla Żeglugi Polskiej. Tam spotkał kapitana Mamerta Stankiewicza, który nadzorował budowę masowca s/s „Wilno”. On sam został mianowany kapitanem bliźniaczego statku s/s „Kraków”, który został wybudowany w roku 1925 i pływał pod banderą francuską, jako s/s „Frimaire”. Pod koniec grudnia 1926 roku statki te ruszyły do Polski wraz z s/s „Poznań” z kapitanem Stanisławem Łabędzkim. Znał on dobrze kapitana Niewiarowicza,

gdyż wychowywał się w Odessie, ale skończył mniej prestiżową szkołę morską w Chersoniu 3 lata później od swego starszego kolegi. Razem pływali potem, jako oficerowie na statkach Rosyjskiego Transportowego Towarzystwa Okrętowego stopniowo awansując w hierarchii służbowej. Oczekiwanie na stanowisko kapitańskie wydało się Łabędzkiemu zbyt długie i z tego powodu przeniósł się on w roku 1912 do marynarki bułgarskiej. W 1917 roku zorganizował w Batumi, a potem w Odessie Związek Oficerów Marynarki Handlowej zrzeszający Polaków służących w carskiej flocie, do którego należał także Wacław Niewiarowicz. W latach rewolucji obaj pracowali w porcie w Odessie na różnych stanowiskach poczynając od poławiaczy min, a kończąc na lodołamaczu „*Loderetz*”. Miłe to było spotkanie, gdyż obaj kapitanowie nie widzieli się od czasów odesskich, więc dzielili się wspomnieniami podczas niejednej suto zakrapianej kolacji w hotelu w Caen. S/s „*Wilno*” przyprowadził kpt. Albert Turżański (1874-1935), najstarszy z polskich oficerów rosyjskiej floty handlowej, absolwent szkoły morskiej w Taganrogu, który od roku 1896 pływał na statkach Rosyjskiego Towarzystwa Żeglugi i Handlu. W konwoju płynął także s/s „*Katowice*” z kapitanem Tadeuszem Bramańskim (1875-1943), który wywodził się z floty niemieckiej, a zginął z rąk hitlerowców w Stutthofie. Ostatni z tzw. „*Francuzów*” to s/s „*Toruń*” dowodzony przez kapitana Adolfa Munzela wywodzącego się z floty austriackiej. Podobnie, jak s/s „*Kraków*” ten masowiec został wybudowany w roku 1925 i pływał pod nazwą „*Brumaire*”, zanim został sprzedany do Polski. Wszystkie te statki spotkały się razem na redzie Cherbourga, gdzie pobierały zaopatrzenie i bunkier. Kapitan Stankiewicz miał za 1. oficera i zastępcę zwolnionego na urlop z marynarki wojennej komandora Włodzimierza Steyera (jego syn Donald był moim profesorem w czasie studiów na Uniwersytecie Gdańskim), a starszym mechanikiem był inż. Goworowski.



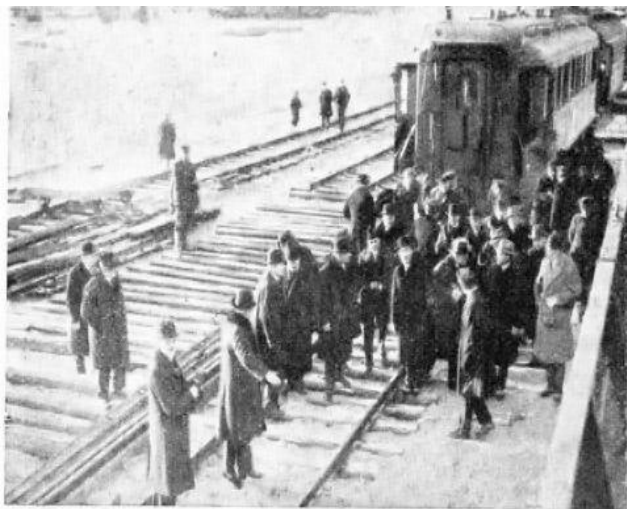
Statek „*Wilno*” przy moło południowym w Gdyni. Na okręcie tym odbyło się w obecności p. ministra przemysłu handlu inż. E. Kwiatkowskiego oraz zaproszonych gości uroczyste poświęcenie i podniesienie bandery.

34. S/s „*Wilno*” w Gdyni w styczniu 1926 r.

„*Wilno*” przyplłynęło, jako pierwsze i 4 stycznia 1927 roku (kpt. Stankiewicz pisze w swoich wspomnieniach, że były to ostatnie dni grudnia) i stanęło przy nabrzeżu moła Węglowego. Moło nie było jeszcze ukończone, nabrzeża były puste, chociaż doprowadzono do nich tor kolejowy. Gdy statek przycumował zebrała się przy nim grupa pracowników portu i spontanicznie odśpiewała hymn Polski. Potem na statku odprawiono nabożeństwo udziałem starosty, burmistrza i organizacji społecznych ze sztandarami.

Dwa dni później hymn grała już orkiestra marynarki wojennej, gdy na wszystkich „*Francuzach*” podnoszono uroczyste banderę polską przy udziale ministra przemysłu i handlu inż. Eugeniusza Kwiatkowskiego, dyrektora „*Żegluga Polskiej*” Juliana Rummela, komisarza generalnego RP w

Gdańsku min. Henryka Strassburgera, starosty morskiego gen. Mariusza Zaruskiego i wojewody pomorskiego gen. Kazimierza Młodzianowskiego. Był też burmistrz m. Gdyni Augustyn Krause i dowódca marynarki wojennej komandor Unrug. Wszyscy ci dostojnicy podjechali specjalnym pociągiem do końca mola i weszli na pokład „Wilna”.



P. Minister E. Kwiatkowski oraz grupa wyższych urzędników ministerjalnych po wyjściu z pociągu, podstawionego do końca



P. Minister E. Kwiatkowski na czele orszaku przybyłych gości wstępuje na pokład statku „Wilno”.

35. Minister Kwiatkowski udaje się na pokład s/s "Wilno"

A potem zaczęły się dla kapitana Niewiarowicza dosyć monotonne rejsy z węglem do Szwecji i z drewnem do Anglii. W Gdańsku ładowano drewno, co trwało 5-6 dni, a potem w Anglii wyładunek trwał tyle samo. W Newcastle lub Sunderland polskie masowce brały ładunek powrotny do jednego z portów Danii, a potem, zwykle już bez ładunku, wracały do portu i cały cykl się powtarzał. Właśnie dlatego kapitan Niewiarowicz nie mógł wcześniej wyjechać do Zbierska, aby zobaczyć swoją chrześniaczkę Krysię. W dodatku w tym samym roku musiał załatwić formalności związane z wydaniem mu polskiego dyplomu kapitana żeglugi wielkiej na podstawie jego uprawnień zdobytych w Rosji.

Podczas spotkania braci w Zbiersku w sierpniu 1927 roku zakiełkowała idea zbudowania w Gdyni kamienicy, w której obaj mogliby zamieszkać, a resztę domu przeznaczyć na wynajem. Stefan początkowo wahał się, gdyż jego praca specjalisty-cukrownika w żaden sposób nie wiązała się z morzem, ale zadecydowały argumenty Wacława, że będzie to najlepszy sposób zainwestowania odziedziczonych po ich ojcu środków pochodzących z „mandzurskiego złota”. Poza tym powstająca Gdynia oferowała inwestorom szereg udogodnień w nabywaniu działek oraz tanie kredyty bankowe. Była szansa na własną nieruchomość, o czym zawsze marzył Stefan od czasu, gdy jego ojciec sprzedał w roku 1911 letnią willę w Falenicy z powodu wyjazdu do Odessy. Obaj bracia w tym czasie mieli pewne zatrudnienie i bardzo dobrze zarabiali. Byli w stanie spłacać preferencyjne kredyty, a początkowy wkład na budowę był w ich rękach. Uzgodnili więc, że Stefan przyjedzie do Gdyni i razem wybiorą miejsce, gdzie stanie ich kamienica. Oto własne słowa Stefana zanotowane w jego notesie, który odnalazłem po jego śmierci :” *Od młodych lat stałe uparte dążenie do posiadania swojej własnej nieruchomości. Cierpienia moje w Cielcach, kiedy się dowiedziałem o sprzedaży przez Ojca Falenicy*". Propozycja jego brata Wacława padła więc na podatny grunt. Jeszcze w grudniu 1927 działka rolna pod budowę własnego domu została przez braci zakupiona od rybaka Jakuba Scheibe i jego żony Elżbiety. W Urzędzie Katastralnym w Wejherowie działka (wówczas jeszcze

ponad 400 metrowa) była zarejestrowana w tomie 9. ksiąg katastralnych, karta nr 163. Później, już w Gdyni otrzymała księgę hipoteczną nr wykazu 342, a po wojnie nr 1. Działka była położona w ciągu ulicy Świętojańskiej. Projekt domu wykonał inż. Marian Baranowski z Poznania, który otworzył swoje biuro w Gdyni, kiedy nowe miasto zaczęło się gwałtownie rozrastać. W roku 1930 zaczęto kopać fundamenty, ziemię wywożono wozami konnymi, niektóre z nich przyjechały aż z dalekiego Polesia za zarobkiem.



36. Kopanie fundamentów pod kamienicę w Gdyni w r. 1930

Kapitana Niewiarowicza widzimy w centrum fotografii, jak stoi w meloniku na głowie. W tle Kamienna Góra, a widoczna betonowa konstrukcja służyła w początku lat 30. Zarządowi Portu Gdynia w charakterze latarni morskiej. Budynek, według odręcznych zapisków Stefana Niewiarowicza, kosztował (bez oficyny) 200 tysięcy ówczesnych złotych, z czego 41-43% pochodziło z kredytu zaciągniętego w Banku Gospodarstwa Krajowego. Pierwszy kredyt na kwotę 75 000 zł zaciągnięto 20 czerwca 1930 r., następny 12 000 zł kilka miesięcy później. Zabezpieczeniem tych kredytów była *"kaucja w złocie"*. Oto mamy namacalny dowód, że mandżurskie złoto istniało i to nie w postaci złotych rubli, ale jako kruszec, być może przetopiony w sztabki. Taki zapis figuruje bowiem w dokumentach bankowych, które odnalazłem w pełnej dokumentacji księgi wieczystej kamienicy. W maju 1931 roku kredyty z BGK skonwertowano i ustanowiono dla ich zabezpieczenia hipotekę na nieruchomości w kwocie 87 000 zł. Była także pożyczka z Komunalnej Kasy Oszczędności w Gdyni na kontynuowanie budowy w wysokości 12 000 zł udzielona 13 stycznia 1931 r. i oprocentowana w wysokości 11% w skali roku. Wiele materiałów potrzebnych do budowy załatwił po korzystnych cenach Stefan Niewiarowicz. Zachowało się ponaglenie cukrowni Zbiersk, której zapłacił z pewnym opóźnieniem za dostawę kilku wagonów tarcicy. Kapitan Niewiarowicz pływał nadal na s/s *"Kraków"* i w zimie jego statek utknął w Cuxhaven z powodu bardzo ostrej zimy na przełomie 1928/29 roku. W połowie stycznia zacumował w tym porcie u ujścia Łaby i stał beczynnie przez wiele tygodni. Ponieważ zabrał ze sobą żonę Irenę z synkiem w ten krótki, jak się wydawało rejs, nie mógł się doczekać powrotu do Gdyni. Irena bowiem narzekała na nudę i mało komfortowe warunki na statku, ale o powrocie do Polski pociągiem

słuchać nie chciała. W lutym cały Bałtyk, a wcześniej cieśniny, skuły lody i żegluga została przerwana. Stare kroniki gdańskie podawały, że podobnie ostra zima była na Bałtyku przed 120. laty. Wtedy to jeden z gdańskich mieszczan przejechał z Brzeźna na Hel saniami. W roku 1929 podobną podróż, ale motocyklem, odbył inżynier Stanisław Szytko. Oprócz „*Krakowa*” w Cuxhaven (Dolna Saksonia) utknęły jeszcze dwa polskie statki, w tym s/s „*Niemen*”. W marcu na Bałtyku lody puściły, ale w cieśninach i w Kanale Kilońskim lody nadal trzymały. „*Kraków*” wioził tomasynę z Gandawy i miał lekko uszkodzony przez lody kadłub. Było to groźne memento, gdyż kapitan Niewiarowicz znał dobrze historię małego parowca o tej samej nazwie, który należał do towarzystwa żeglugowego „*Sarmacja*”. Tamten s/s „*Kraków*” miał nośność 426 ton, drewniane poszycie kadłuba i zatonął 7. lutego 1922 roku w Kattegacie zgnieciony przez lody. 14. osobowa załoga uratowała się w komplecie. Po upływie zaledwie 7. lat pamięć o tej katastrofie była jeszcze świeża. „*Sarmację*” założył pułkownik marynarki Bogumił Nowotny, pierwszy szef polskiej Marynarki Wojennej. 2 lutego 1920 Nowotny kupił w Kopenhadze pierwszy mały statek dla „*Sarmacji*”, czyli s/s „*Kraków*” (rok budowy 1919), będący pierwszym polskim parowcem na Bałtyku. Z powodu braku wykwalifikowanych kadr, Nowotny zamustrował załogę złożoną z oficerów byłej marynarki austrowęgierskiej (dzięki kontaktom Nowotnego z czasów służby w tej marynarce) oraz niemieckich gdańszczan, którzy przyjęli w tym celu obywatelstwo polskie, skutkiem czego początkowo na statku używany był język niemiecki. Przez pierwsze pół roku, z powodu braku polskiej infrastruktury żeglugowej, statek był wycarterowany firmie brytyjskiej i pływał z węglem z Newcastle do Francji. W drugiej połowie 1920 statek przybył na Bałtyk. W dalszym ciągu pływał m.in. eksportując polskie drewno, a także transportując węgiel z Wielkiej Brytanii do portów zachodnioeuropejskich.

Nudę panującą na „*Krakowie*” przerwała zmiana na stanowisku starszego mechanika. Ten z „*Krakowa*”, czyli Paweł Karpejczyk przechodził na s/s „*Niemen*”, a na jego miejsce dojechał z Gdyni Władysław Milewski. Był pretekst, aby z pożegnania starego i powitania nowego chiefa zrobić huczne przyjęcie. W salonie kapitańskim zebrali się więc oficerowie „*Krakowa*” oraz żona kapitana Irena. Był I. oficer Janusz Piekarski, II. mechanik Roland Lidtkę oraz III. mechanik Marian Galiński. Dobrze trunki lały się strumieniami, ale pierwszy tempa nie wytrzymał I. oficer, który wycofał się do kabiny. Lidtkę miał żonę w Cuxhaven, Polkę z pochodzenia, a on sam był z pochodzenia Niemcem. Niemiecki znał jednak słabo, a jego żona równie słabo mówiła po polsku. Jakoś się jednak dogadywali, miłość przełamała wszystkie bariery. I on więc wycofał się z libacji i popędził do żony. Karpejczyk padł na polu chwały i Milewski wraz z Galińskim zanieśli go do kabiny rezerwowej. Niespodziewanie wysiadł też, znany z mocnej głowy, kapitan Niewiarowicz i zabawa się skończyła ku wielkiemu żalowi kapitanowej, która dopiero się rozkręcała.

Cuxhaven było niewielkim portem rybackim, była tam jedna tylko sala, gdzie w soboty odbywały się zabawy taneczne. Z braku rozrywek wybrali się tam oficerowie z uwięzionych polskich statków. Wyprawa była nieudana, omal nie doszło do bójki z lokalnymi niemieckimi „patriotami”, którzy na widok polskich mundurów zaczęli skandować „*Raus mit Polen*”. Właściciel lokalu błagał Polaków, aby sobie poszli, oferował mi za darmo to, co już zjedli i wypili, ale bez skutku. Marynarze spokojnie dokończyli jedzenie i trunki, poczym wychodząc zaproponowali Niemcom, aby wyszli za nimi przed knajpę. Żaden z niemieckich krzykaczy nie odważył się jednak wyjść, polscy marynarze mieli ugruntowaną opinię w portach Europy. Kapitan Niewiarowicz wspominał, jak musiał w jednym z portów francuskich wykupić z aresztu palacza ze swego statku, który poturbował dwóch Francuzów. Kiedy rzuciło się na niego pięciu, wyciągnął z kieszeni nóż i za to został aresztowany. Uważał, że miał pełne prawo bronić się przed przewagą liczebną żabojadów.

Wreszcie Kanał Kiloński został otwarty dla żeglugi i wszystkie polskie statki idące z zachodu spotkały się na redzie Holtenau. „*Niemen*”, „*Wilno*” i „*Kraków*” miały iść do Gdyni i trzymać się razem.

„*Kraków*” z uwagi na uszkodzony w lodach dziób i dość silne przecieki do komory dziobowej, miał iść ostatni, już przetartym farwaterem. W ciągu dnia wszystko szło dobrze, ale o zmroku statki idące przodem zaczęły znikać, a kapitan Niewiarowicz wydał komend „maszyna stop”. Rano kierunek wiatru zmienił się i kapitan lawirując ostrożnie wśród lodów, skierował statek bardziej na południe. Wielkie było zdziwienie, kiedy „*Kraków*,” jako pierwszy przyłynął do Gdyni. Okazało się, że pozostałe dwa statki idące bardziej północną drogą, trafiły na dryfujące bariery lodowe i przyszły do Gdyni dopiero następnego dnia. Pływał potem „*Kraków*” do Rouen, Le Treport, Dieppe, Fecamp, Dunkierki. Z Rouen robiono wyprawy do Paryża. Ulubionym portem załogi „*Krakowa*” była Dunkierka. Podobnie, jak inne porty w tamtych czasach, Dunkierka miała wiele lokali dostosowanych do gustów marynarzy i liczne domy publiczne, znajdujące się na jednej ulicy, dobrze i fachowo prowadzone.

Poza Francją „*Kraków*” najczęściej zawijał do Szwecji, głównie z węglem do Sztokholmu. Była to okazja do przemycania alkoholu, który w Szwecji był bardzo drogi.

Po kapitanie Niewiarowiczu na „*Kraków*” przyszedł jego dobry znajomy Ludgard Krzycki uważany za seniora marynarzy z zaboru rosyjskiego. Był o rok starszy od kapitana Niewiarowicza, ale dotychczas pływał w stopniu starszego oficera. Urodzony w Odessie zatrudnił się na statkach rosyjskich, jako wolontariusz. W roku 1900 zamustrował jako praktykant na statek „*Petersburg*” Rosyjskiej Floty Ochotniczej, gdzie awansował od praktykanta do stopnia III. oficera. W 1904 roku zdał egzamin na kapitana żeglugi wielkiej, a rok później walczył w słynnej bitwie morskiej pod Cuszimą, gdzie flota wojenna Japonii rozgromiła flotę rosyjską. W wolnej Polsce od 1922 roku pełnił służbę wojskową w marynarce wojennej, skąd wyszedł do rezerwy w stopniu komandora. Tak też tytułowano go na „*Krakowie*”, gdzie jednak był dowódcą pechowym i dwukrotnie uszkodził statek nieudolnie manewrując w porcie.

Tymczasem w życiu obu braci zaszły istotne zmiany. Kapitan Niewiarowicz przeszedł w listopadzie 1929 roku na statek s/s „*Niemen*”, a jego brat Stefan po blisko 20. latach opuścił Zbiersk i od 1 sierpnia 1930 roku zaczął pracować w cukrowni Gostyń, jako główny chemik-szef laboratorium. Otrzymał tam duże i wygodne mieszkanie służbowe, a także przydomowy ogródek, gdzie Aleksandra mogła uprawiać swoje warzywa i hodować drób na potrzeby domowe. Ta zmiana miejsca zatrudnienia zadecydowała o miejscu urodzenia autora tej książeczki i jego sióstr.

S/s „*Niemen*”, nowoczesny podówczas masowiec – został odkupiony przez ówczesną Żeglugę Polską (pierwszego armatora z prawdziwego zdarzenia w odrodzonej Polsce) jeszcze podczas budowy dla innego armatora. Zwodowany został 7. marca 1928 r. w Wielkiej Brytanii. Wprowadzony do służby niedługo później, został ówczesnym rekordzistą wielkości wśród statków PMH. Bliźniacza „*Wisła*” – zwodowana w tej samej, co „*Niemen*” stoczni 6. czerwca 1928 roku – była historycznie pierwszym statkiem, zbudowanym specjalnie na polskie zamówienie dla armatora Żegluga Polska. Po wejściu do służby pływał, jako tramp. 24. lutego 1931, w drodze z portugalskiej Madery do jednego z portów Ameryki Płd. (panamskiego Colon), pod dowództwem kpt. Leona Rusieckiego, jako pierwszy polski statek handlowy przekroczył z ładunkiem równik (wcześniej dokonał tego jedynie żaglowiec szkolny „*Lwów*”). Dwukrotnie statek miał związek z osobą Józefa Piłsudskiego: pierwszy raz, gdy podczas jego pobytu w Egipcie wynajęty został przez rząd, jako jednostka łącznikowa i pozostawał na wodach egipskich, drugi raz, gdy zawinął na Maderę podczas pobytu tam marszałka i kapitan statku Leon Rusiecki (pierwszy polski kapitan wykształcony w polskiej Państwowej Szkole Morskiej) złożył marszałkowi wizytę. Zatonął na skutek kolizji, 1 października 1932 o godz. 3.07 w ciągu 8 minut na wodach Kattegatu po uderzeniu w lewą burtę przez fiński żaglowiec „*Lawhill*”, bez strat w załodze. Ale w tym czasie kapitan Niewiarowicz nie dowodził już pechowym statkiem, tym niemniej zdarzenie to opiszemy szerzej w następnym rozdziale z uwagi na fakt, że jednak był on pierwszym dowódcą tego masowca. Pływał na nim blisko rok, a potem powrócił na swój stary „*Kraków*” po

uzyskaniu przez kapitana Rusieckiego pełnych uprawnień zawodowych. Izba Morska oczyściła kpt. Rusieckiego z zarzutów i mógł odbyć w końcu 1934 roku pionierski rejs do portów Afryki Zachodniej statkiem s/s „Poznań” zakontraktowanym przez Ligę Morską i Kolonialną.

Oficer ten pływał on po wojnie na statkach PŻM dowodząc m.in. statkiem s/s „Kolno” (były niemiecki „Nordlicht”).

8



37. S/v "Lawhill" w chwili zderzenia z s/s "Niemen"

Trudno uwierzyć, ale jeszcze tym czasie po morzach pływały wielkie żaglowce, które przewoziły towary na ogromne odległości konkurując z parowcami i statkami motorowymi niższymi kosztami. Czteromasztowy „Lawhill” miał 5000 ton wyporności i w fińskim porcie Kotka załadował drewno z przeznaczeniem do Anglii. Po wyładowaniu drewna miał zabrać z Anglii węgiel do Afryki Zachodniej, a potem płynąć pod balastem do Australii, aby załadować zboże. Holownik wyprowadził

żaglowiec z portu i ruszył on o świcie w kierunku cieśniny Kattegat. Trzy dni później statek rzucił kotwicę przed wejściem do Sundu czekając na pomyślny wiatr, aby przepłynąć cieśninę. Nie miał bowiem żadnych silników pomocniczych. Oczekiwanie na wiatr trwało blisko dobę, obok przepływały parowce, a żaglowiec stał na kotwicy. Powiało pod wieczór i można było kontynuować rejs. O północy objął służbę II oficer, rejs przebiegał spokojnie, gdyż wiatr pędził statek daleko od uczęszczanych szlaków. Ale widoczność była ograniczona, padał ulewny deszcz. W pewnej chwili wachtowy poczuł zapach dymu, przebiegł więc na nawietrzną burtę i zobaczył duży parowiec, który szedł kursem kolizyjnym z żaglowcem. Padła komenda „ster prawo na burtę” i zaraz potem „wszyscy na pokład”, ale było już za późno. „Lawhill” wpadł na parowiec, nastąpił potężny wstrząs od którego runął przedni maszt, wachtowy oberwał spadająca stengą i padł nieprzytomny na pokład. Zaraz po przednim maszcie zwałił się drugi, znowu silne uderzenie, reje przebiły pokład, część masztu wypadła za burtę i wlokła się na linach. Trzeci maszt padając rozwalił łodzie ratunkowe na drobne kawałki, sytuacja była groźna. Parowiec natomiast zniknął w ciemnościach, nikt nie wiedział, co się z nim stało. Oficer wachtowy leżał w kałuży krwi na rufie i zanim nadeszła pomoc skonał. Żaglowiec, jakby żywcem przeniesiony z XIX wieku, nie miał nawet radia! Na ostatnim zachowanym maszcie wywieszono sygnał wzywający pomocy. O świcie na miejsce kolizji doплыnęły dwa statki ratownicze z Göteborga, gdzie odebrano sygnały SOS nadane przez s/s „Niemen”. Jeden pozostał przy żaglowcu, a drugi popłynął na miejsce kolizji. Nic tam jednak nie znalazł oprócz pływających na wodzie szczątków. Polski statek po uderzeniu został niemal przecięty na dwie połowy i szybko poszedł na dno. Na szczęście nikt nie zginął, a załoga została uratowana przez motorowiec „Margaretta”. Marynarze zdążyli wsiąść do łodzi ratunkowych, to niewiarygodne, ale w ciągu 4. minut od uderzenia byli już w miarę bezpieczni na wodzie. Statek tonął dziobem do przodu, rufa sterczała w górę, po eksplozji kotłów „Niemen” zatonął. Załoga przez kilka godzin dryfowała w łodziach, kiedy została wypatrzona przez szwedzki statek, który zawrócił z rozbitkami do Göteborga, skąd właśnie wyszedł w rejs do Ameryki Płd.

Rok później podczas wizyty w Gdyni szwedzki statek został uhonorowany tablicą pamiątkową, nagrody otrzymali też jego kapitan i oficer, który wypatrzył rozbitków. Polska Izba Morska nie dopatrzyła się winy „Niemna” w spowodowaniu kolizji, zarzucając „Lawhillowi” nieudzielenie pomocy załodze polskiego statku. Orzeczenie to może jednak budzić wątpliwości, gdyż według prawa drogi morskiej żaglowiec ma pierwszeństwo przed statkiem o napędzie mechanicznym; prawdopodobnie jednak światła „Lawhilla” były zbyt słabe lub zasłonięte przez żagle, w związku z czym, nie były widziane na polskim statku. Wrak „Niemna” leżący dość płytko został w latach 60. XX. w. wysadzony przez Duńczyków ładunkami wybuchowymi, a złom i przewożony węgiel wydobyto. Była to jedna z ostatnich tego typu kolizji na Bałtyku. Kończyła się era żaglowców, które pozostały w służbie jedynie, jako statki szkolne.

W tym czasie kpt. Niewiarowicz już nie pływał, gdyż przeszedł do pracy w administracji morskiej i został starszym pilotem w porcie Gdynia. Wcześniej jednak odbył historyczny rejs, gdyż dowodził pierwszym polskim statkiem, który przepłynął Kanał Sueski. Jak wspomniano kapitan ponownie objął dowodzenie s/s „Kraków”, którym pływał do portów skandynawskich, angielskich i holenderskich. Wrócił właśnie na początku lipca 1930 roku z Gandawy z ładunkiem nawozów fosforowych, kiedy dowiedział się, że ma płynąć do Hidżasu w Arabii. Na przełomie 1925/26 roku region ten został podbity przez Ibn Sauda, a od 1932 weszło w skład Arabii Saudyjskiej. To właśnie Ibn Saud tytułujący się królem Hidżasu i Nedżdu, zakupił w Polsce dziesięć tysięcy karabinów wraz z dużą ilością amunicji, do której przewiezienia został zafrachtowany „Kraków”. Załoga była bardzo zadowolona, że po latach pływania do tych samych portów przyjdzie im popłynąć do takich egzotycznych krajów, o których istnieniu nie mieli nawet pojęcia. Rozpoczęły się intensywne przygotowania do tej nietypowej wyprawy. Kompletowano mapy i wyposażenie nawigacyjne, został

zrobiony przegląd maszynowni, przeprowadzono czyszczenie kotłów. Statek nie był w najmniejszym nawet stopniu przystosowany do żeglugi w tropikach. Nie tylko nie miał chłodni, ale nawet wentylacji mechanicznej w kabinach. Kupiono więc zwykłe wentylatory biurowe, które miały ratować załogę i pasażerów przed przegrzaniem. A tymi pasażerami miała być rodzina kapitana Niewiarowicza, gdyż zabrał on w rejs swoją żonę i 6. letniego syna Wiktora.

Zapasy żywności stanowiło pół wołu zawieszone w worku brezentowym na sztagu masztu, klatki z kurami i świnia. Oprócz tego zabrano suche wędliny i solone mięso w beczkach. Oprócz broni i amunicji „Kraków” zabrał jeszcze kilkaset ton cukru i węgla dla tego samego odbiorcy. Ponieważ statek nadal nie miał pełnego ładunku do drugiej ładowni wrzucono 400 ton węgla do opalania kotłów, gdyż bunkier w portach Bliskiego Wschodu był drogi. Oprócz rodziny kapitana na statek zaokrętował się jeszcze jeden pasażer, majster z fabryki amunicji, który miał się opiekować ładunkiem, a na miejscu przeszkolić artylerzystów arabskich w obsłudze działka górskiego. Jako dar marszałka Piłsudskiego zabrano też dwa pięknie grawerowane sztucery dla króla Ibn Sauda. „Kraków” wypłynął z portu gdyńskiego 31 lipca. Przy dobrej pogodzie przejście do Port Saidu zajęło dokładnie trzy tygodnie.



38. S/s "Kraków"

Tutaj kapitan Niewiarowicz nie mógł nie wrócić myślami do swego ojca Aleksandra, który 33 lata wcześniej (21 kwietnia 1897 r.), także zatrzymał się w Port Saidzie w drodze do Mandżurii, gdzie miał pracować przy budowie kolei. Wraz z innymi pasażerami Aleksander zwiedzał miasto, co opisał swoich wspomnieniach. Kapitan miał też zaproszenie do konsula polskiego na kolację, ale wymówił się obowiązkami służbowymi. Zamiast niego na kolację udali się: I. mechanik Władysław Milewski oraz II. oficer Michał Niczko. Ciekawa to postać, warto tu przedstawić w skrócie jego drogę życiową. Michał Niczko urodził się 12 stycznia 1904 roku w majątku rodzinnym pod Kijowem, jako syn Gustawa i Heleny Moskalew. Po zakończeniu I wojny światowej wraz z rodzicami przeniósł się do Polski i rozpoczął naukę w gimnazjum w Miechowie. W 1920 roku zgłosił się jako ochotnik do Wojska Polskiego, zatajając swój młody wiek. Jako żołnierz 8. Dywizjonu Artylerii Konnej wziął udział w bitwie warszawskiej i walkach nad Bugiem we wrześniu. Zdemobilizowany po zawarciu zawieszenia broni, powrócił do szkoły. W latach 1923–1924 studiował prawo na Uniwersytecie Warszawskim, później rozpoczął studia w Szkole Morskiej w Tczewie, której Wydział Nawigacyjny ukończył w 1927 roku. W roku następnym odbył kurs podchorążych rezerwy przy Oficerskiej Szkole Marynarki Wojennej w Toruniu. Następnie rozpoczął pracę w marynarce handlowej, w 1936 roku uzyskał dyplom kapitana, od 1937 roku dowodził kolejno statkami „Puck”, „Hel”, „Śląsk” i

„Oksywie”. Zapisał piękną kartę wojenną w roku 1939, jego ucieczki z niewoli to gotowy materiał na film przygodowy, a w swoich popularnych książkach opisał już tę postać Karol Borhardt pod przydomkiem Dalaj Lama.

W lutym 1945 roku Niczko wrócił z niewoli do domu w Gdyni i został pilotem w zniszczonym przez wojnę porcie.



39. Kpt. Michał Niczko

Pod koniec kwietnia dołączył do niego kapitan Niewiarowicz wysiedlony w czasie wojny pod Częstochową, który także zaczął pracować, jako starszy pilot w porcie. Jak widać ich losy często się splatały, bo przecież Niczko w dalszej swojej karierze morskiej dowodził najpierw „*Krakowem*”, a potem statkami „*Morska Wola*”, „*Borysław*” i „*Generał Bem*”.

Był również wykładowcą w Państwowej Szkole Morskiej w Szczecinie. Odsunięty od pływania w okresie stalinowskim, powrócił na morze po 1956 roku. Był dowódcą „*Bytomia*”, którego poprowadził w pierwszym rejsie do Japonii, następnie statków „*Pokój*” i „*Adolf Warski*”. Mianowany dowódcą m/s „*Bydgoszcz*” w jego dziewiczym rejsie, zmarł na pokładzie 9 stycznia 1961 roku, dwie godziny po opuszczeniu portu.

Na drugi dzień statek wpłynął do kanału Sueskiego zabierając dodatkowych pasażerów do Dżiddy. Był to generał Janusz Gąsiorowski z małżonką i polski kupiec Zakrzewski, który finalizował całą transakcję zakupu broni i amunicji przez króla Hidżasu. Zakrzewski przed I. wojną mieszkał w Bejrucie, prowadził tam interesy i znał doskonale język arabski.

Generał reprezentował marszałka Piłsudskiego i zajmował w tym czasie stanowisko szefa Gabinetu Głównego Inspektora Sił Zbrojnych. Był oficerem do specjalnych zleceń marszałka. Szefem Sztabu Generalnego został w grudniu 1931 roku.

Rejs do Dżiddy trwał siedem dni, kotwicę na redzie rzucono 29 sierpnia 1930 roku. Mimo, że tutaj właśnie przyplływały statki z tysiącami pielgrzymów do pobliskiej Mekki, portu nie było, a pielgrzymów przewożono na ląd barkasami. A było to największe źródło dochodów dla tego królestwa, gdyż ropy naftowej jeszcze wtedy nie eksportowano. Dopiero w roku 1933 król podpisał umowę ze Standard Oil Company of California na eksploatację złóż ropy. Cały ładunek z „*Krakowa*” przeładowano więc na barki i przewieziono w głąb kraju na wielbłądach, gdyż samochodów było tam mniej niż 10 sztuk.

Król zaprosił na uroczyste przyjęcie do Dżiddy kapitana Niewiarowicza, generała Gąsiorowskiego i kupca Zakrzewskiego. Na przyjęciu, poza notablami arabskimi byli obecni ministrowie finansów i spraw zagranicznych oraz prezydent miasta. Ibn Saud nie przybył na przyjęcie, ale goście wrócili zadowoleni i obdarowani cennymi prezentami. Natomiast prezentem króla dla marszałka Piłsudskiego były dwa wspaniałe ogiery arabskie. Przewieziono je tylko do Port Saidu, skąd miały zostać przetransportowane w lepszych warunkach, gdyż „Kraków” miał zapełnić swoje ładownie towarami dla Danii.

Przed odpłynięciem kapitan Niewiarowicz zainkasował należność za fracht w złotych funtach-było tego kilka ciężkich woreczków. Przelewów bankowych czy też banknotów w Hidżasie nie używano. W Port Saidzie kapitan otrzymał wiadomość, która bardzo ucieszyła załogę. Mieli iść tym razem do Rumunii, a to oznaczało że przepłyną Dardanele i Bosfor. Potem Morze Czarne i rejs w głąb Dunaju, gdyż ładunek mieli pobrać w Braili i Gałaczu. Było to 80 km od morza, a Dunaj był żeglowny dla statków morskich o zanurzeniu nie przekraczającym 7. metrów. Był tam dla nich przygotowany ładunek jęczmienia browarnego do portu w Kopenhadze.

I znowu kapitan Niewiarowicz mógł, spoglądając z mostka kapitańskiego na Stambuł, wspominać pobyt jego ojca w tym mieście 33 lata wcześniej. Podobnie, jak w Port Saidzie nie zwiedził on miasta tak, jak jego ojciec, ale tym razem po prostu nie było to możliwe. Na Morzu Czarnym zachorowała poważnie żona kapitana Irena, miała wysoką gorączkę i pretensje do wszystkich, że jej skutecznie nie leczą. II. oficer był lekarzem okrętowym, ale jak wiemy była to funkcja czysto formalna i zwyczajowa, gdyż żadnego przygotowania zawodowego w tym fachu przecież nie miał. W tej sytuacji statek zawinął do pierwszego portu w Rumunii, gdzie wezwany lekarz orzekł, iż kapitanowa ma zapalenie opon mózgowych i zabrał ją niezwłocznie do szpitala. Po wyleczeniu wróciła do Gdyni pociągiem.

Po wyjściu z Suliny „Kraków” popłynął do wyżej położonej Braili, gdzie ze względu na zanurzenie załadowano tylko część jęczmienia, a potem dopełniono ładownie w Gałaczu. Postój w tym ostatnim porcie rzeczny był bardzo atrakcyjny. Doskonałe ryby, kawior, owoce, wino i to wszystko bardzo tanie. Załoga bawiła się w restauracjach i nad ranem pod burtę statku podjeżdżały sznurem dorożki przywożąc zmęczonych zabawą członków załogi.



40. Kpt. Wacław Niewiarowicz w r. 1930

W drodze powrotnej 28 września przypadały imieniny kapitana Wacława Niewiarowicza. Steward kapitański uważał za swój obowiązek dopilnować, aby uroczystość wypadła jak najlepiej. Załoga

jeszcze w Gałaczu złożyła się na prezent dla solenizanta, gdyż kapitan był szczerze lubiany przez wszystkich. Obiad imieninowy dzięki staraniom kucharz i stewarda był i wystawny i smaczny. Do Gdyni powrócił „Kraków” w końcu października, a to znaczy, że cała wyprawa trwała trzy miesiące. Przed wypłynięciem w rejs załoga brała udział 13. lipca w poświęceniu i podniesieniu bandery na nowo zakupionym statku szkolnym „Dar Pomorza”, a po powrocie witała stojący przy nabrzeżu liniowiec s/s „Kościuszko” przeznaczony dla Polskiego Transatlantyckiego Towarzystwa Okrętowego (od 1934 roku GAL). Na „Kościuszcze” polską banderą podniesiono 20 sierpnia, a dowodził nim kpt. Eustazy Borkowski. Bliźniaczym s/s „Polonia” dowodził kpt. Mamert Stankiewicz, a s/s „Pułaski” miał objąć kpt. Niewiarowicz.



41. Kpt. Mamert Stankiewicz, "Znaczy Kapitan"

Miał ku temu pełne kwalifikacje, był jednym z najbardziej doświadczonych i lubianych dowódców w polskiej flocie. Od kapitanów transatlantyków wymagano jednak więcej, aniżeli od ich kolegów z floty handlowej. Jednym z tych wymogów były też ich małżonki, które często pełniły rolę reprezentacyjną towarzysząc swoim mężom w różnych oficjalnych uroczystościach, bankietach oraz w rejsach. Tych wymogów Irena, prosta dziewczyna z Nikołajewa, niestety nie spełniała. Pomijając nawet brak wykształcenia i dobrych manier, Irena nie zdołała opanować w miarę poprawnie języka polskiego. Zdegustowany brakiem awansu na prestiżowe transatlantyki kapitan Niewiarowicz zrezygnował z pływania i zaczął pracę w porcie gdyńskim. Miał wtedy 53 lata i cieszył się doskonałym zdrowiem.

Po pamiętnym rejsie do Dżiddy „Kraków” miał płynąć w listopadzie do Lulei z węglem, a jako powrotny ładunek pobrano rudę żelaza. Starszy mechanik Milewski i II. oficer Niczko bardzo chcieli zdążyć na pierwszy zjazd absolwentów Szkoły Morskiej w Tczewie, który był planowany na 8 grudnia 1930 roku. I to się udało, „Kraków” wrócił do Gdyni 7 grudnia, można było więc wziąć udział w tym historycznym spotkaniu. Wieczorem odbył się bankiet w hotelu „Centralnym” w Gdyni, znanym nam bardziej pod późniejszą nazwą „Bristol” (obecnie "Lark"). W tym czasie szkoła morską przeniosła się z Tczewa do Gdyni i w czasie zjazdu odbyła się uroczystość poświęcenia nowego gmachu szkoły oraz sztandaru ufundowanego przez władze Tczewa. Obchodzono także 10. Lecie szkoły z udziałem znamienitych gości. Przemawiał nestor polskich kapitanów, obchodzący właśnie 50. lecie pracy na morzu, Karol Ryncki (1860-1936). Urodził się on w Odessie, a szkołę morską

ukończył w Genui. Po 3. letniej praktyce na włoskich żaglowcach wrócił w roku 1880 do Odessy i po zdaniu egzaminu otrzymał stopień porucznika żeglugi wielkiej. Od roku 1887 już jako kapitan żeglugi wielkiej pływał w rosyjskiej marynarce handlowej. W roku 1919 wrócił do Polski, gdzie pływał na parowcu „Bug”, a potem na s/s „Gdynia”. W roku 1930 przeszedł na emeryturę. W trakcie uroczystości przemawiał też inż. Kwiatkowski, minister przemysłu i handlu, wielki orędownik budowy Gdyni i polskiej floty handlowej. Na obchody jubileuszu szkoły morskiej był też zaproszony kpt. Niewiarowicz (zachowało się zaproszenie), ale nie brał w nich udziału. Nie popłynął też w listopadowy rejs „Krakowa” do Lulei, gdyż przekazał statek w ręce kpt. Józefa Borkowskiego, zwanego Józiem z uwagi na mały wzrost i stosunkowo młody wiek (37 lat). Drugim rejsiem „Krakowa” pod jego dowództwem był rejs z węglem do francuskiego portu Rouen już w czasie świąt Bożego Narodzenia 1930 roku. Potem statek przejął kpt. Adam Andrzejewski, a kpt. Niewiarowicz w tym czasie objął dowodzenie s/s „Niemen”. Zawsze jednak pamiętał o „Krakowie”, który cieszył się opinią szczęśliwego statku. Podczas wojny pływał w konwojach, brał udział w inwazji na Normandię, jako jeden z pierwszych zawiązał do oswobodzonej przez aliantów Antwerpii bombardowanej przez rakiety V-1. Wielokrotnie statek znajdował się w sytuacjach, wydawałoby się, beznadziejnych, a wychodził z nich zawsze obronną ręką. Z wojny wyszedł więc bez najmniejszego szwanku i jako pierwszy po wojnie polski statek handlowy ponownie został wprowadzony 21 września 1945 roku do portu przez wzruszonego tym faktem kapitana Niewiarowicza. Po raz drugi kapitan wprowadzał do portu gdyńskiego ten sam statek, ten prawdziwy *lucky ship*, na którym odbył wiele bliskich i dalekich rejsów. I tak, jak w roku 1927, znowu był to pierwszy polski statek handlowy w wolnej już Polsce. Tym razem dowodził nim kpt. Bolesław Miksza. Dzielnym to był żołnierz Rzeczypospolitej, wachmistrz kawalerii, odznaczony *Krzyżem Virtuti Militari* i czterokrotnie *Krzyżem Walecznych* za udział w wojnie bolszewickiej. Szkołę Morską w Tczewie ukończył w roku 1927, poczym odbył roczny kurs podchorążych rezerwy w Oficerskiej Szkole Marynarki Wojennej. Początkowo pływał na statkach Floty Pińskiej, a roku 1929 został przyjęty na niskie stanowisko starszego marynarza do Polsko-Brytyjskiego Towarzystwa Okrętowego „Polbryt”. Dopiero w „Polskarobie” został wpierw III., a potem II. oficerem. Już, jako kapitan żeglugi wielkiej od roku 1936 pływał na stanowisku I. oficera na „Lwowie” i na „Chorzowie”. W październiku 1937 roku został kapitanem „Krakowa”, na którym zastał go wybuch wojny w porcie w Antwerpii. Zgodnie z dyrektywami w przypadku stanu wojny odpłynął do Anglii, gdzie zaczął służbę wojenną. Do 1943 roku dowodził „Krakowem” pływając w atlantyckich konwojach, potem krótko „Katowicami” i do końca wojny „Krosnem”. Na piersiach zawisły mu kolejne medale brytyjskie i francuskie za zasługi wojenne, w tym *Officer of the British Empire* i *Atlantic Star*. To jemu przypadł zaszczyt przyprowadzenia do Gdyni „Krakowa”, który był pierwszym statkiem zwolnionym z czarteru Ministry of War Transport. Wielka to była uroczystość z okazji powitania „Krakowa”, znowu przemawiał inż. Eugeniusz Kwiatkowski, wówczas Delegat Rządu do Spraw Wybrzeża, a na Skwer Kościuszki wyległy tłumy mieszkańców Gdyni.

W tym czasie Stefan Niewiarowicz wiódł spokojne i dostatnie życie w powiatowym Gostyniu. W cukrowni zarabiał początkowo 400 zł miesięcznie, a potem 500 zł, co było wysoką pensją w połowie lat 30. XX wieku. Kamienica w Gdyni została wybudowana i zasiedlona, ale koszty spłaty zaciągniętych na jej budowę kredytów nie obciążały zbytnio budżetu domowego, gdyż przynosiła ona dochód, z którego lwia część szła do banków.

67. letniej Zofii Niewiarowicz. Została pochowana na cmentarzu w Wejherowie, gdyż Gdynia w tym czasie nie miała ani szpitala, ani też cmentarza. Zofia zachorowała poważnie już wiosną 1927 roku, a w tym akurat czasie mieszkała z synem w Zbiersku. W zachowanym liście z dnia 16 kwietnia 1927 r. kapitan Niewiarowicz pisał do brata Stefana do Zbierska: *"Otrzymałem przykrą wiadomość od Ciebie. Po powrocie do Gdyni ze Sztokholmu około 20 kwietnia, ja z Iry przyjedziemy do Ciebie. Obawiam się, aby nie było za późno. Czuję, że nasza biedna Mama wkrótce opuści nas."* Wtedy Zofia szczęśliwie wyzdrowiała, ale była to poprawa krótkotrwała. W czerwcu wyjechała do Gdyni i tam mieszkała do śmierci. Cmentarz na Witominie został oddany do użytku 1 czerwca 1929 roku, a zamiast szpitala funkcjonował od września 1928 punkt ambulatoryjny z 10. łózkami w ramach klasztoru sióstr szarytek. Nowy gmach szpitalny powstał w Gdyni dopiero w pierwszej połowie 1936 roku. Stefan w czasie urlopu jeździł każdego roku z Krysią do Gdyni, która uwielbiała wakacje w tym portowym mieście. W kamienicy mieli swoje mieszkanie, a rozrywek miasto dostarczało bez liku. Na zachowanych zdjęciach możemy dzisiaj oglądać wiele scen z tych bez troskich wakacji. Znacznie rzadziej przyjeżdżał kapitan Niewiarowicz w odwiedziny do Gostynia. Chociaż już nie pływał, ale był mocno obciążony pracą zawodową i społeczną. Działał w Lidze Morskiej i Kolonialnej, był też ławnikiem w Izbie Morskiej. Należał do Klubu Kapitanów Marynarki Handlowej założonego w roku 1930. Jego pierwszym prezesem został kpt. Tadeusz Ziółkowski, w zarządzie był m.in. nestor oficerów floty handlowej kpt. Karol Ryncki. Na wielki objazd rodziny wybrał się kapitan z żoną i synem w roku 1936, kiedy to odwiedził kolejno Warszawę, Łuck i Gostyń. Rok później Stefan Niewiarowicz wybrał się z córką na Wystawę Światową do Paryża. Wycieczkę, połączoną ze zwiedzaniem Kopenhagi, organizowało biuro podróży „Orbis”. Zachowały się ich paszporty wystawione 15 lipca 1937 roku przez Starostę Grodzkiego Północno-Warszawskiego z wizą francuską i wizami tranzytowymi niemiecką i belgijską. Był to paszport jednorazowy, o krótkim okresie ważności, właściwie tylko na czas wycieczki, a kosztował sporą sumę 40 zł. Na podstawie tegoż paszportu można było wymienić na dewizy zaledwie 30 zł.



42. Kryśia Niewiarowicz w Kopenhadze

Oczywiście Stefan posiadał własne środki dewizowe, a poza tym ówczesny złoty był walutą wymienną, choć nie we wszystkich krajach. Stefan z córką wyruszyli z Gdyni pociągiem 18 lipca 1937 roku po południu. Po dwóch dniach zwiedzali Kopenhagę wraz z grupą uczestników tej

wycieczki, poczym ruszyli do Paryża. Tereny Wystawy Światowej były usytuowane pod wieżą Eiffla, a ich zwiedzenie zajmowało cały dzień.



43. Krysia Niewiarowicz na World Expo w Paryżu

W środku tej fotografii stoi 16. letnia wówczas Krysia Niewiarowicz (obok damy w kapeluszu) na tle wejścia na tereny wystawowe. W programie wycieczki był naturalnie Wersal, opera i inne znane miejsca w stolicy Francji włączając nawet kabaret Moulin Rouge w godzinach wieczornych. Była to pełna wrażeń wyprawa i Stefan Niewiarowicz powrócił z niej z twardym postanowieniem, że w roku 1939 popłyną na kolejne EXPO do Nowego Jorku. Została ona otwarta 30 kwietnia 1939 roku w upalną niedzielę. Ale sytuacja międzynarodowa była już wówczas bardzo napięta i Stefan zrezygnował z tego wyjazdu, który musiałby trwać blisko miesiąc, podczas gdy wyprawa do Paryża i Kopenhagi trwała 10 dni. World Expo 1939 trwało, gdy wybuchła II. wojna światowa, jedynie pawilony Polski i Czechosłowacji zostały zamknięte.

Nasz statek pasażerski m/s „Batory” wiozł do Nowego Jorku sporą grupę turystów z Polski, którzy wybrali się na Expo. Dokładnie w dniu 28 sierpnia 1939 roku minął się ze swoim bliźniakiem m/s „Piłsudski”, który płynął w przeciwnym kierunku do Anglii. „Piłsudski” nigdy już nie wrócił do kraju, zatonął 27 listopada 1939 roku storpedowany przy wschodnim wybrzeżu Anglii. Jego dowódca kpt. Mamert Stankiewicz zginął. Natomiast „Batory” na polecenie konsula polskiego w Nowym Jorku otrzymał polecenie natychmiastowego przejścia do Halifaxu w Kanadzie. Wcześniej został odwołany dotychczasowo dowódca kpt. Eustazy Borkowski z powodu robienia zbyt wielkiego zgietku w prasie, wbrew zaleceniom władz. Statek do Halifaxu prowadził więc I. oficer Franciszek Szudziński, aby uniknąć aresztu „Batorego” w Nowym Jorku, o co zabiegała stocznia włoska Monfalcone z powodu niespłaconych kredytów na budowę.

Wróćmy jednak do Gostynia, gdzie w pięknym i obszernym mieszkaniu z ogrodem mieszkał Stefan z żoną Oleńką i córką Krysią. W tym samym budynku mieszkał dyrektor cukrowni Zygmunt Psarski, który sprowadził Stefana ze Zbierska do Gostynia. Ciekawa to postać, której losy od dawna wiązały się z losami Stefana. Urodził się on w roku 1886 Piotrkowie Trybunalskim w rodzinie ziemiańskiej, jako syn Władysława i Marii. Był więc o dwa lata młodszy od Stefana. W 1904 roku ukończył gimnazjum filologiczne w Warszawie. W roku następnym, jako student Wydziału Przyrodniczego Uniwersytetu Warszawskiego brał udział w strajkach szkolnych. Obawiając się represji carskich przeniósł się do Lwowa, gdzie kontynuował naukę na politechnice. W 1909 roku ukończył studia uzyskując tytuł inżyniera chemika. W latach 1909-1910 pełnił służbę wojskową w 14. Pułku Dragonów armii rosyjskiej. W ostatnich latach przed wybuchem I wojny światowej był zastępcą dyrektora fabryki cukru w Rytwianach pod Sandomierzem. 1 sierpnia 1914 roku zmobilizowany został, jako oficer ewakuacyjny pociągu sanitarnego w Białymstoku. W roku następnym oddelegowano go do 14. Pułku Dragonów, w którym służył kilka lat wcześniej. 15 listopada 1917 roku wstąpił do I Korpusu Polskiego gen. Józefa Dowbór-Muśnickiego z przydziałem do 1. pułku inżynierskiego. Tutaj otrzymał awans na podporucznika, a wkrótce na porucznika. 11 listopada 1918 roku objął komendę garnizonu miasta Kalisz. Brał udział w powstaniu wielkopolskim od 14 stycznia 1919 roku w charakterze dowódcy 2. kompanii 1. batalionu saperów w Poznaniu. 23 maja 1919 roku awansował do stopnia kapitana. W Kaliszu, a właściwie w Zbiersku, spotkał po raz pierwszy Stefana Niewiarowicza, szefa laboratorium w miejscowej cukrowni, którą brał pod uwagę, jako przyszłe miejsce swojej pracy po wojnie. Losy jednak skierowały go na drogę zawodowej kariery wojskowej. Po udziale w powstaniu śląskim i w wojnie bolszewickiej awansował w roku 1921 do stopnia podpułkownika. Dopiero 25 lutego 1922 roku na własną prośbę przeniesiony został do rezerwy i objął posadę dyrektora cukrowni w Świeciu nad Wisłą. Rok później zwiąże się do końca życia z cukrownią w Gostyniu. W okresie międzywojennym kierował rozbudową fabryki, był współinicjatorem powołania do życia przyfabrycznej OSP i patronem zakładowej orkiestry dętej. 18 marca 1928 roku wybrano go prezesem Towarzystwa Powstańców i Wojaków w Gostyniu. W latach 1929-1933 sprawował funkcję radnego Rady Miejskiej w Gostyniu. Od 1930 roku kierował sekcją Wychowania Fizycznego i Przysposobienia Wojskowego Komitetu Powiatowego. W 1937 roku wybrano go do zarządu Powiatowego Związku Strzeleckiego. Wszystkie te funkcje wiązały się z jego wysokim stopniem wojskowym pułkownika rezerwy. W sierpniu 1939 roku został zmobilizowany i przydzielony do dowództwa saperów przy sztabie Armii Poznań. Tu jego losy w kampanii wrześniowej wiązały się z służbą wojskową Tadeusza Penkalskiego, jako sapera w składzie tej samej armii. Saperzy armijni nie brali jednak udziału w bitwie nad Bzurą, gdzie Tadeusz dostał się do niewoli. Dlatego Zygmunt Psarski uniknął niewoli i działał w konspiracji kierując w roku 1943 cukrownią w Michałowie pod Błoniem.

Po zakończeniu II wojny światowej Zygmunt Psarski powrócił do Gostynia i ponownie objął stanowisko dyrektora miejscowej cukrowni. Stał na czele Komitetu Odbudowy zniszczonego przez Niemców gimnazjum. Jesienią 1951 roku został aresztowany przez Urząd Bezpieczeństwa pod zarzutami politycznymi, a razem z nim trafił do aresztu jego zastępca Stefan Niewiarowicz. Psarskiego traktowano okrutnie, był bity i trzymany w karcerze. Jako przedwojenny zawodowy oficer i uczestnik wojny bolszewickiej był znienawidzony przez swoich oprawców. Stefana też kilka razy pobito, ale nie był on oficerem, a jego udział w wojnie bolszewickiej nie został odkryty. Mocno wychudzony został po dziewięciu miesiącach zwolniony bez procesu. Wyszedł też Psarski, ale w stanie skrajnego wyniszczenia, co spowodowało jego przedwczesną śmierć w kwietniu 1954 roku. Ten oficer i doskonały fachowiec w branży cukrowniczej miał decydujący wpływ na dzieje naszej rodziny, można by zaryzykować stwierdzenie, że zadecydował o przyjściu na świat autora w

Gostyniu, a nie w jakimś innym mieście. Wielce zasłużony dla tego miasta, nie ma dzisiaj nawet ulicy swego imienia, choć przecież figuruje w Gostyńskim Słowniku Biograficznym.

Tymczasem świat nieuchronnie zmierzał do wojny, znamy już losy braci Eborowiczów, którzy jej nie przeżyli. Syn Juliana Wacław urodził się w roku 1915 w Piotrogradzie, maturę zdał w Poznaniu w roku 1934. Z natury naukowiec poszedł na studia filologiczne na Uniwersytecie Poznańskim, które ukończył w roku 1938. Zamierzał wstąpić do seminarium duchownego, ale prymas August Hlond skierował go na studia filozoficzne na Papieskim Uniwersytecie Gregoriańskim w Rzymie. Podjęcie tych studiów uniemożliwił Eborowiczowi wybuch II. wojny światowej. Wysiedlony w 1939 przez Niemców do Warszawy, znalazł posadę w Dziale Propagandy Zarządu Głównego Polskiego Czerwonego Krzyża, co pozwoliło mu uniknąć wywiezienia na roboty przymusowe. Przygotowywał się do przyjęcia święceń kapłańskich, studiując w latach 1940-1941 w seminarium pallotynów w Ołtarzewie oraz w latach 1941-1942 w seminarium w Sandomierzu, a potem w seminarium jezuitów w Warszawie. W roku 1945 został księdzem, nie mógł więc założyć rodziny i jego linia rodowa wygasła. Brat Juliana nie miał bowiem syna, a jedynie córki. Droga naukowa w dziedzinie teologii jest możliwa, o ile założymy, że teologia to nauka. Ale Wacław był przede wszystkim filologiem i filozofem, co umożliwiło mu rzeczywistą karierę naukową. Wiemy, że był np. członkiem rady naukowej czasopisma "*Filosofia oggi*" ukazującego się w Genui, uczył łaciny i francuskiego. Los skierował go do seminarium duchownego w Pelplinie, a kiedy zachorował umieszczono go w szpitalu w Starogardzie Gdańskim, miejscu zamieszkania autora tej książeczki. Zmarł tutaj w listopadzie 1994 roku, o czym oczywiście nie miałem wówczas pojęcia, gdyż nic nie łączyło mnie z nazwiskiem Eborowicz. Dopiero późniejsze badania genealogiczne wprowadziły mnie do zupełnie nowego i nieznanego świata moich przodków.

Wojna zburzyła świat istniejący do 1. września 1939, zniszczyła wiele istnień ludzkich i poplątała nici losów snutych przez boginie przeznaczenia. Jak pisał poeta:

*Trzy Parki snują przędziwo żywota.
Jednego długo cieszę plenną niwą,
Drugiego zgładzę, zanim skończył żniwo,
Za trzecim zamknę, ledwie wstąpił, wrota.*

Stefan Niewiarowicz pozostał w Gostyniu, nie próbował uciekać na wschód, wierzył że wojna nie potrwa długo. Tułaczkę pod bombami wybrało blisko 800 rodzin, niektóre dotarły aż do rejonu lubelskiego. A potem trzeba było wracać do Gostynia, znowu były pełne drogi, ale tym razem było to wrogie wojsko niemieckie. Powiat gostyński nie leżał w głównym pasie natarcia armii niemieckiej. Skierowano tutaj jednostki tyłowe i rezerwowe, jak 14. grupa Grenzschtzu, 183. pułk Landwehry oraz niektóre oddziały 252. dywizji piechoty. Wkroczyły one do miasta 6 września, które od tego dnia miało się zwać Gostin, zmienione później przez gauleitera Greisera na Gostingen. Niemcy przejmowali restauracje, sklepy i zakłady przemysłowe. Stefan pozostał na razie na swoim stanowisku, gdyż brakowało niemieckiej kadry kierowniczej, a zbliżała się przecież kampania cukrowa. Pozostał więc na stanowisku szefa laboratorium do 30 czerwca 1941 roku, dopiero wtedy okupanci mogli go zastąpić swoim chemikiem. Nie przeszkodziło to hitlerowcom wysiedlić Stefana z mieszkania przy ulicy Dobramyśl w listopadzie 1939 roku do jednego pokoiku w domku położonym na terenie gostyńskiej cegielni.

Już 24 września Stefan został uwięziony, jako jeden z 10. zakładników, którzy stanowili gwarancję, że Polacy nie będą dokonywali ataków na ludność niemiecką. Zakładnicy ci rotacyjnie zmieniali się, będąc więzieni przez kilka dni w piwnicach ratusza miejskiego. Jak się potem okazało z tych piwnic można było łatwo trafić pod ścianę śmierci, którą hitlerowcy ustawili skazańców na rynku 24 października. Pięć dni wcześniej przeprowadzono aresztowania wśród inteligencji, działaczy

patriotycznych i samorządowych. Aresztowano łącznie 40 osób i umieszczono je w piwnicach ratusza. W wyznaczonym dniu rozstrzelano 30. mężczyzn, ostatnia dziesiątka już prowadzona na miejsce egzekucji została niespodziewanie ułaskawiona i zwolniona do domów. 5 grudnia rozpoczęła się akcja wysiedleńcza, w pierwszej kolejności na listach do wywózki znalazły się rodziny rozstrzelanych 24 października. Punkt zbiorczy był w klasztorze, szybko ruszyły pociągi wywożące gostyńiaków do Rawy Mazowieckiej lub do obozu przejściowego w Łodzi. Mieszkańców powiatu gostyńskiego wysiedlano i wywożono na roboty przymusowe przez całą wojnę. W ich miejsce sprowadzano Niemców bałtyckich (*Baltendeutsche*), którzy mieszkali głównie w Estonii i na Łotwie. Przyszli też po rodzinę Stefana. 10 lipca 1944 załomotali o świecie do drzwi żandarmi z nakazem wywózki na roboty przymusowe. Krysia była w ostatnich dniach ciąży i fakt ten wykorzystali Stefan i Tadeusz (ojciec autora) uzyskując w ostatniej chwili odroczenie wywózki. Tragiczny był los tego transportu, ostatniego jak się okazało z Gostynia. Wagony z wywożonymi dostały się pod alianckie bomby już na terenie Niemiec, wielu ludzi zginęło. Po wojnie do rodzin powróciła ledwie połowa wówczas wywiezionych.



44. Gostyńskie kino w czasie okupacji

Po usunięciu z cukrowni Stefan dostał 12 lipca 1941 roku skierowanie do pracy w firmie budowlanej Spaudel. Ponieważ doskonale opanował rysunek techniczny zajmował się głównie tworzeniem dokumentacji budów. Tak się złożyło, że starosta powiatu (Landrat) poszukiwał właśnie pracownika o takich umiejętnościach, więc zatrudniono Stefana w wydziale komunalnym, gdzie tworzył dokumentację sieci wodociągowej i kanalizacyjnej, a także plany nowych inwestycji niemieckich takich, jak np. budowa nowego osiedla mieszkaniowego *Neue Heimat* niedaleko gimnazjum. Nie mógł wiedzieć, że zaraz po wojnie zamieszka tam jego córka Krysia z mężem. Po dwóch latach pracy w starostwie przechodzi Stefan do pracy w Foto-Atelier Herty Schneider. Został więc fotolaborantem podobnie, jak jego córka i jej narzeczony zatrudnieni u Niemca w dawnej drogerii Mroczkiewicza.

W mieszkaniu Stefana nie zamieszkał jednak żaden Baltendeutch, a niemiecki wysoki urzędnik Karl Heinz Bachman z *Göttingen* (Getynga). Krótko przed wojną uzyskał on doktorat na Uniwersytecie w Getyndze na podstawie pracy „*Koncepcja historii Thomasa Carlyle i jego idea wspólnoty w świetle intelektualnej i politycznej historii Anglii* „.

Kiedy w styczniu 1945 roku uczony ten mąż musiał w pośpiechu uciekać z zagrabanego rodzinie Stefana mieszkania, zostawił w nim prawie wszystkie swoje rzeczy, a w tym dużą bibliotekę, zbiory znaczków, radio, gramofon, rzadki wtedy odkurzacz i wiele innych rzeczy. Pozostały też meble Stefana, a nawet niektóre papiery osobiste schowane w szafce w piwnicy. Sprawiedliwości dziejowej stało się zadość. Także wtedy, gdy w roku 1946 w publicznej egzekucji w Poznaniu powieszono kata Wielkopolski gauleitera Arthura Greisera. Ślepo wierząc w ostateczne zwycięstwo w znacznym stopniu opóźnił on ewakuację wojska i ludności niemieckiej, która potem w olbrzymim

pośpiechu i panice musiała uciekać na zachód ginąc pod bombami i z powodu trzaskających mrozów.

Koniec wojny zamyka niejako wszystkie opisane tutaj sprawy rodzinne. Warszawa legła w gruzach, a z nią w znacznym stopniu została uszkodzona ulica Bednarska. Przestała istnieć kamienica, w której mieszkali Gerethowie przy ulicy Pięknej, a przebywał Stefan z Oleńką biorąc w roku 1913 ślub. W wywózkach na Syberię przypadli krewni zamieszkali w Równem i w Łucku. Splątały się i wymieszały losy ludzkie w tej wielkiej zawierusze. Ale 9. maj 1945 roku nie zakończył całkowicie wojny, trwała przecież wojna domowa, nadal ginęli ludzie, tym razem z rąk rodaków. Ale to już zupełnie inna historia, którą być może opiszę w innym e-booku.

Los rodu Eborowiczów dobiegł końca z powodu braku męskich potomków i kapłaństwa jedyne syna Juliana Wacława. Los rodu Niewiarowiczów dopełnił się, gdyż Wiktor Niewiarowicz, syn Wacława, miał dwie córki: Ewę i Annę. Obecnie mieszka w kraju 44. ludzi o tym nazwisku. Nie znamy losu rodu Chmielowskich, nie wiadomo czy Julian był żonaty, a jeśli był, to czy miał syna. Ludzi o tym nazwisku jest w Polsce ponad 1300 i zamieszkują oni głównie południowe rejony naszego kraju. Kiedy w Rosji wybuchła rewolucja Julian przebywał w dalekim Kursku i mógł w tym zamęcie zginąć, przepaść bez śladu. Gerethowie też gdzieś zaginęli, w Polsce żyje (lub żył) tylko jeden człowiek o tym nazwisku mieszkający w Łodzi. Jeśli natomiast przyjmiemy pisownię Gerreth, to mamy 3 osoby zamieszkałe w Poznaniu. Mamy tylko 4. Szletyńskich mieszkających w Łodzi i wiadomo, dlaczego właśnie tam.

Rok 1945 skończył się śmiercią kapitana Niewiarowicza na morzu. W kwietniu tego roku wracał z wysiedlenia do Gdyni i po drodze zatrzymał się u Stefana w Gostyniu. Zachowało się zdjęcie, na którym trzyma na kolanach autora tej pracy, jako 9. miesięcznego chłopca. Potem był powrót do własnej kamienicy na ulicę Świętojańską, gdzie w czasie wojny mieszkali gestapowcy i urzędnicy niemieccy. Spora grupa z tych narzuconych siłą mieszkańców kamienicy znalazła śmierć na dnie Bałtyku w storpedowanych przez Rosjan wielkich transportowcach "*Gustloff*" i "*General von Steuben*". Paniczna ucieczka hitlerowców i ich rodzin przed wojskami radzieckimi i polskimi, tak się często kończyła.

Jak wyżej wspomniano kapitan wrócił do pracy w porcie gdyńskim, który był w tym czasie zaminowany i zablokowany przez zatopiony celowo przez Niemców w marcu 1945 roku krążownik pancerny "*Gneisenau*".



45. Wrak pancernika "Gneisenau" w porcie gdyńskim

Ale port musiał funkcjonować, wyznaczono zapasowe wejście i statki mogły bezpiecznie wpływać do Gdyni. Po opisanym już powitaniu s/s "Kraków" kapitan Niewiarowicz z niecierpliwością oczekiwał na zwolnione z czarteru brytyjskiego statki s/s "Śląsk" (zawinął 11 grudnia pod kapitanem Bolesławem Mikszą) oraz s/s "Poznań" (22.XII). Twarde francuzy, tak zwano te pięć statków o nazwach polskich miast, i one w pełni zasłużyły sobie na to miano. Dowodzone przez twarde kapitanów wywodzących się głównie z marynarki rosyjskiej, ale także przez pierwszych absolwentów Szkoły Morskiej w Tczewie, przetrwały wojnę i służyły jeszcze wiele lat po wojnie w polskiej flocie handlowej. Ostatni z nich został złomowany w roku 1975 i był to właśnie s/s "Poznań".



46. Kapitan ż.w. Wacław Niewiarowicz

Kapitanowi Niewiarowiczowi nie było sądzone wprowadzić tych statków do portu w Gdyni. Nadszedł bowiem tragiczny dla niego wieczór 6 grudnia. Od rana na Bałtyku szalał sztorm, statki chroniły się w portach, ale szwedzki rudowęglowiec zmierzał w tym czasie do Gdyni i późnym wieczorem poprosił o pilota, aby wejść do portu. Ze względu na stan morza zapadła początkowo decyzja, aby szwedzki statek sztormował na redzie. Miał on jednak przecieki i obawiano się o jego bezpieczeństwo. W tej sytuacji kapitan Niewiarowicz nie chcąc narażać życia podległych mu pilotów zdecydował, iż sam wprowadzi ten statek do portu. Z portu wypłynęła pilotówka i po 40. minutach podpłynęła pod burtę statku. Rzucono sztormtrap, po którym zaczął się wspinać kapitan. Kiedy był w połowie drogi wysoka fala uniosła motorówkę w górę i rzuciła nią na burtę przygniatając pilota. Ciężko ranny kapitan spadł na pokład łodzi, zastąpił go inny pilot, a motorówka zawróciła do portu. Tam czekała już karetka pogotowia i kapitana odwieziono do szpitala miejskiego. Obrażenia okazały się poważne i Wacław Niewiarowicz zmarł nie odzyskawszy przytomności 7 grudnia 1945 roku nad ranem. Miał 66 lat, cieszył się doskonałym zdrowiem i miał wiele planów na życie w powojennej Polsce. Został pochowany w Alei Zasłużonych na cmentarzu w Gdyni-Witominie. Opowieść o życiu codziennym naszych antenatów dobiegła końca. Objęła ona wiele rodów, sięgnęła horyzontem czasowym do wieku XVIII. prezentując głównie życie Eborowiczów, Chmielowskich i Niewiarowiczów w wieku XIX. Weszliśmy też daleko w wiek XX., aby pokazać splątane losy naszych przodków w czasie dwóch wojen światowych, rewolucji i wojen w lokalnej skali, w których brali

udział. Celem tych walk okupionych daniną krwi i cierpienia była zawsze wolna od zaborców i okupantów Polska. Przede wszystkim jednak nasi antenaci starali się zapewnić sobie i swoim dzieciom godne życie i dlatego ciężko pracując budowali lepszą przyszłość.

KONIEC

E-book zakończony w dniu 10 maja 2013. Wszelkie prawa do tekstu © Zbigniew Penkalski.

Kopiowanie i rozpowszechnianie wymaga zgody autora.

zbigkurzawa@gmail.com

Fotografie i ryciny ze zbiorów własnych. Więcej archiwalnych fotografii na stronie genealogicznej oraz w zbiorach internetowych <https://picasaweb.google.com/lh/myphotos>

